Zamach w Krakowie • Ameryka wybrała reset • Tusk twardnieje • Co dalej z TK?
Milczenie pasterza • Miliony na Ozempiku • Spór o Kuroniów • Rodzinne zerwania

POLITYKA

LIDER SPRZEDAŻY

POLSKIE PATRIOTYZMY

Cena 16 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195
USA 5 USD; WIELKA BRYTANIA 4 GBP; KRAJE STREFY EURO 4,95 EURO TYGODNIK, nr 46 (3590), 10.11–17.11.2026

ILUSTRACJA MAGDALENA MAMAJEK-MICH

ISSN 0032-3500
Wydanie w sprzedaży do 17.11.2026
9 770032 350602 46>

eprasa.pl fe2da716d1

SKI team®

SKITEAM.PL | ROWERYCUBE.PL | SPYDER.PL

Zima blisko,

Black Weeks

jeszcze bliżej!

Start za 3... 2... 1...

Zimowe szaleństwo w niskich cenach!

Przygotuj się do sezonu zimowego w Ski Team

Godziny otwarcia sklepów Poniedziałek - Sobota: 12:00 - 20:00

Warszawa: ul. KOR 36/38, ul. Toruńska 107b, Poznań: ul. Bułgarska 117a, Katowice: ul. Sportowa 20, Wrocław: ul. Grabiszyńska 167

Sprawdź na skiteam.pl



© JESSICA KOSCIELNIAK/REUTERS/FORUM

14 USA: bolesny półmetek Trumpa

Rozmowa na święto

10 Prof. **Marcin Napiórkowski** o dwóch Polskach i radykalizmie patriotyzmu

Temat tygodnia

14 Tomasz Zalewski **Niebieskie tsunami w Ameryce**

Polityka

18 Rafał Kalukin **Tusk na twardo**
22 Ewa Siedlecka **Operacja Trybunał**
25 Wojciech Szacki **Prawicowy pakt niezgody**

Społeczeństwo

28 Paweł Walewski **Polska na Ozempiku: rynek musi się dostosować**
32 Rozmowa z prof. **Iloną Matysiak** o przemocy domowej na polskiej wsi i o tym, jak dzisiaj kobiety sobie z nią radzą
35 Zbigniew Borek **Biskup skazany za krycie pedofilii**
38 Agata Szczerbiak **Zerwania rodzinne**

Rynek

42 **Rafał Modrzewski** o tym, jak się robi interesy w kosmosie
45 Cezary Kowanda **Śmieciowa inflacja**

Świat

50 Rozmowa z **Ehudem Olmertem** o tym, co zrobił Izraelowi Netanjahu
53 Marcin Żyła SERBIA **Co wyniknie z serbskiej rewolucji**
56 Łukasz Wójcik TURCJA **Daltonowie – brutalny gang nowego typu**

Nauka/projektpulsar.pl

59 Agnieszka Krzemińska **Tajemnice maltańskich świątyń**
62 Janusz A. Majcherek ESEJ **Spiskowa teoria „wielkiego zastąpienia”**
65 Rozmowa z laureatem Nagrody Naukowej POLITYKI dr. inż. **Sebastianem Cygertem** o tym, jak okiełznać AI

Historia

68 Piotr Szlanta **Jak przywrócono Królestwo Polskie – i co z tego wyniknęło**
71 **Jeremi Galdamez Muñoz** o Polakach, którzy bili się o demokrację w Hiszpanii

Kultura

78 Rozmowa z **Janem Holoubkiem** o zbrodni połanieckiej, mechanizmie zła i kulisach pracy przy serialu „Wśród nocnej ciszy”
84 Kinga Strzelecka-Pilch **Sophie Marceau i jej „Warszawa”**
87 Janusz Wróblewski **Spór o „Naszą rewolucję” i historię Kuroniów**

Ludzie i style

96 Wojciech Bońkowski **Wino z Turcji**
97 MEA PULPA **Kuby Wojewódzkiego**

Stałe rubryki

- **4** Przypisy
- **6** Ludzie i wydarzenia
- **12**, **13**, **94**, **98** Galeria POLITYKI
- **74** Afisz • **90** Sulej
- **91** Chutnik i Plebanek
- **92** Orliński • **94** Mizerski
- **95** Do i od redakcji
- **98** To jeszcze nie koniec

eprasa.pl fe2da71bd4



Przydałby się reset

Jerzy Baczyński

Trudno przejść z dnia na dzień od żałoby narodowej do narodowego święta. Mam tylko nadzieję, że krakowska tragedia skłoni uczestników Marszu Niepodległości do rezygnacji z – tradycyjnego dla środowisk kibicowskich – łżenia policjantów. Przez ostatnie dni wielu polityków prawicy, a przede wszystkim TV Republika, używało sobie na policjantach pełniących służbę pod Trybunałem Konstytucyjnym, wyzywając ich od gestapo, zomowców, siepaczy. Zaraz po zamachu na krakowskim rynku – gdzie bohaterstwo i poświęcenie młodych policjantów zapewne zapobiegło większej liczbie ofiar – tzw. prawicowy internet szalał jak zawsze: kpinami z „nieporadnych służb", plotami o prowokacji Tuska, o ukraińskim albo lewackim pochodzeniu zabójcy itp. Klasyka. I resetu tu nie będzie. Niepohamowanie w języku, werbalna histeria, szerzenie spiskowych teorii jest od lat formą istnienia prawicowych środowisk i ich mediów. Zamach stanu, zbrodnia, więzienie, szubienica, zdrajcy, raz sierpem, raz młotem – to trwały komunikacyjny kod. Być może niezbędny po to, żeby wczuć się w rolę obrońców – zawsze zagrożonej i niszczonej – ojczyzny? Może.

Generalnie smutne to nasze święto 11 listopada. Od lat przejęte przez środowiska kibicowskie, konfederackie, nacjonalistyczne. Bez wątpienia patriotyczne, ale na sposób ponury, negatywny, wykluczający, przemocowy. Nawet hasło tegorocznego marszu „Polak w Polsce gospodarzem" jest przecież czystą insynuacją, że „są tacy", którzy w Polsce reprezentują obce interesy, jacyś niepolscy Polacy. To w tej samej poetyce Karol Nawrocki zwracał się na posiedzeniu Rady Bezpieczeństwa Narodowego do premiera, aby się opamiętał „i oddał Polskę Polakom". Znów sugestia, że Donald Tusk, a więc i popierająca koalicję 15 października część narodu, to nie są prawdziwi Polacy, prawdziwi są tylko prawicowi. I co mają zrobić ze swoim patriotyzmem ci nieprawdziwi? Prof. Marcin Napiórkowski, szef Muzeum Historii Polski, mówi (s. 10), że mają nie zżymać się na tych z racami, ale szukać swoich własnych rytuałów, sposobów świętowania. Jednak wyraźnie patriotyzm liberalny, „europejski" (o którym ładnie mówiła w Sejmie szefowa Europarlamentu Roberta Metsola) zawsze będzie letni, nie wzywa do obrony, walki, do krzyku. Tymczasem, jak tłumaczył rzecznik Marszu Niepodległości Rafał Buca, dziś trzeba bronić polskiej suwerenności przed zależnością od obcych stolic (zapewne miał na myśli Berlin i Brukselę, a nie Waszyngton) i już „mieć gotową procedurę wyjścia z Unii".

Rok do wyborów to nie jest czas na żaden reset. Więc nie będzie też spotkania w cztery oczy Tusk–Nawrocki. Prezydent najpierw się zgodził, ale kilkadziesiąt godzin później ten pomysł odrzucił. Zapewne zorientowano go, że wpada w zastawioną przez Tuska „pułapkę deeskalacji". Cała prawica, a zwłaszcza PiS, ogromnie dużo zainwestowała w teorię zamachu stanu, czyli „siłowego przejęcia" Trybunału Konstytucyjnego przez nowych sędziów. Także sam Karol Nawrocki, wdzierając się nocą do gmachu TK, a potem przez 20 minut besztając premiera na otwarciu posiedzenia RBN, podgrzewał tę narrację. Więc jak miałby się teraz spotykać z puczystą? Ustalać coś bez świadków, jak za przeproszeniem Tusk z Putinem na molo w Sopocie? Zresztą tuż przed Marszem Niepodległości sama zapowiedź „konszachtów" Tusk–Nawrocki zwarzyłaby antyrządową emocję marszu i mogła być dużym kłopotem dla biorącego udział w marszu prezydenta.

„Reset" stał się politycznym słowem tygodnia głównie za sprawą polityków mniejszych partii, próbujących zaznaczyć swoje miejsce pomiędzy „wyrywającymi sobie TK" Tuskiem i Kaczyńskim. Powstała nawet ad hoc „koalicja trzecich dróg" (z Hołownią, Kosiniakiem-Kamyszem, Mentzenem i Bosakiem), proponująca wyzerowanie obecnego składu TK i wybór nowego większością kwalifikowaną (co już w 2024 r. zawetował Andrzej Duda). Nasi publicyści, którzy analizują sytuację wokół TK od strony politycznej (Rafał Kalukin na s. 18) i prawnej (Ewa Siedlecka, s. 22), też są zdania, że dla dobra państwa i obywateli powinniśmy mieć Trybunał uznawany przez wszystkie siły polityczne, ale że jednocześnie jest to dziś kompletnie nierealne. Choć „odbicie Trybunału" budzi prawnicze wątpliwości, nowi sędziowie dają przynajmniej gwarancje profesjonalizmu i pracowitości, reanimacji podstawowych funkcji życiowych TK. Ale resetu z tego nie będzie.

Nie będzie też resetu w polityce zagranicznej czy w sprawie ambasadorów, choć były sygnały, że obie części władzy wykonawczej zgodnie lobbują na rzecz stworzenia w Polsce stałej bazy wojsk amerykańskich. Dramatyczna przegrana Donalda Trumpa i jego Republikanów w wyborach połówkowych (art. s. 14) tę perspektywę raczej oddala. Wielu komentatorów obawia się odwetu Trumpa na „winnych" jego porażki, a na tej liście znajdzie się zapewne Europa, która nie pomogła mu w wyczerpującej zasoby Ameryki i cierpliwość wyborców wojnie z Iranem. Teraz można się obawiać wszystkiego złego: nawet wycofania wojsk USA z Europy czy jednostronnej umowy z Putinem – jak zapowiedział Trump: „Wielkiego Wspaniałego Kontraktu, który obejmie nie tylko Ukrainę". Być może prezydent USA będzie próbował przehandlować z Rosją Ukrainę i bezpieczeństwo Europy? Karol Nawrocki, którego realne wpływy u Trumpa okazały się w praktyce zerowe, ma teraz ogromny problem. Jego patron poniósł sromotną klęskę, może uciec w obrazę i izolację. Więc już zaczęło się tłumaczenie, że jeśli bazy nie będzie, to „wina Tuska", reakcja Białego Domu na „zamach stanu" w Polsce. Ludzie prezydenta już ten spin kręcą.

Tragedia krakowska, która nagle połączyła Polaków w przerażeniu i współczuciu, mogłaby być pretekstem do choćby czasowej deeskalacji politycznych emocji, jakichś wspólnych gestów wzmacniających poczucie bezpieczeństwa, szacunek dla państwa. Także wycofania się z pomysłów „broni dla każdego", ostrożniejszego promowania kultu siły, pięści, strzelnicy. Ale tak nie będzie. U progu kampanii szykująca się do władzy prawica (patrz s. 25) nie odpuści najcięższych oskarżeń i gróźb rzucanych w stronę przeciwników. Tyle że seria ostatnich wyborczych porażek lokalnych trumpistów (Brazylia, Serbia, Izrael) i samego Trumpa pokazuje, że ani tupet, ani straszenie wrogami narodu, ani rozkręcanie nacjonalizmu, ani dominacja w internecie bynajmniej nie dają gwarancji zwycięstwa. Ludzie ulegają sianym w sieci emocjom i histeriom, ale widać też narastające zmęczenie rozgrzaną polityką. Wyborcy w USA już wcisnęli przycisk: reset.

eprasa.pl fe2da71bd4

Albatros travel



Wyspy Kanaryjskie i Madera

NOWOŚĆ

Rejs przez Atlantyk pełen atrakcji







Popłyń z nami w fantastyczny rejs komfortowym statkiem Costa Smeralda podczas którego odwiedzimy 5 wysp: Teneryfę, Lanzarote, Gran Canarię i Fuerteventurę oraz Maderę. Pełne wyżywienie i pakiet napojów w cenie.

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot na Teneryfę i rozpoczęcie rejsu. **Dz. 2** Lanzarote – wyspa wulkanów i wyjątkowej architektury. **Dz. 3** Relaksujący dzień na Atlantyku. **Dz. 4** Madera – wyspa kwiatów i spektakularnych górskich krajobrazów. **Dz. 5** Gran Canaria – historyczne Las Palmas i wyspa pełna kontrastów. **Dz. 6** Fuerteventura – złociste plaże i wulkaniczne krajobrazy. **Dz. 7** Teneryfa – Santa Cruz i historyczne miasto La Laguna. **Dz. 8** Powrót z Teneryfy do Warszawy.

8 dni | Wyloty z Warszawy 15/02, 15/03 2027 | od 7.998,-







Średnia ocena gości: 4,9/5

Tajlandia – zwiedzanie i plażowanie

Oto wyprawa, podczas której zobaczysz Bangkok, przepłyniesz rzeką Kwai, spędzisz noc w tropikach i dotrzesz na plażę marzeń.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy. **Dz. 2** Przylot do Bangkoku. **Dz. 3** Bangkok. Rejs po kanałach (po tajsku Klong) ze zwiedzaniem świątyni Wat Pak Nami, targu kwiatowego świątyni Wat Pho. **Dz. 4** Bangkok – Targ na torach – rzeka Kwai, przejazd Koleją Śmierci. **Dz. 5** Rzeka Kwai. Rejs do Parku Narodowego Sai Yok. **Dz. 6** Rzeka Kwai – Ayutthaya. **Dz. 7** Ayutthaya – Chanthaburi. Plantacja pieprzu i zwiedzanie miasta. **Dz. 8** Chanthaburi – Koh Chang. Las namorzynowy, podróż wzdłuż wybrzeża i prom na wyspę Koh Chang. **Dz. 9–14** Odpoczynek na Koh Chang. **Dz. 15** Koh Chang – wylot do Polski. **Dz. 16** Przylot do Warszawy.

16 dni | Wyloty z Warszawy

28/01, 27/10 2027, 28/01 2028 | od 9.998,-



Średnia ocena gości: 4,8/5

RPA – ucieczka do raju

Zapomnij o codzienności i wybierz się na safari, podziwiaj zapierające dech w piersiach widoki i zakochaj się w Kapsztadzie – najpiękniejszym mieście świata.

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot Warszawa – Johannesburg. **Dz. 2** Przylot do Johannesburga i przejazd do campu Mantobeni. **Dz. 3–4** Safari w Rezerwacie Dzikich Zwierząt Manyeleti w Parku Krugera. **Dz. 5** Rezerwat Dzikich Zwierząt Manyeleti – Trasa Panoramiczna – Zebra Nature Reserve. **Dz. 6** Zebra Nature Reserve. Wycieczka do Soweto i Pretorii. **Dz. 7** Zebra Nature Reserve - Centrum Gadów – Kapsztad. **Dz. 8** Kapsztad. Przylądek Dobrej Nadziei i pingwiny w Simon's Town. **Dz. 9** Kapsztad. Dzień do własnej dyspozycji. **Dz. 10** Kapsztad. Wizyta w winnicach Stellenbosh z degustacją wina, Ogród Botaniczny Kirstenbosch. **Dz. 11** Kapsztad, czas wolny i powrót do domu. **Dz. 12** Przylot do Warszawy.

12 dni | Wylot z Warszawy 09/10 2027 | od 14.998,-

albatros.pl
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.
rezerwacja +48 22 128 48 81

Kod reklamy: **PL43**

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe

eprasa.pl fe2da71bd4

Zamach w Krakowie: lekcje z tragedii



Podstawowe fakty znają już wszyscy: w sobotnie popołudnie na krakowski Rynek wjechało Subaru, którego kierowca otworzył ogień z karabinka AR15. Strzelał do przechodniów, turystów i dorożkarzy. Zabił sześć osób, ranił 15. O życie walczy dwóch policjantów, których postrzelił, kiedy próbowali go zatrzymać.

Sam sprawca, którego unieszkodliwiono po pościgu ulicami miasta, też jest w stanie krytycznym. To 24-letni mieszkaniec Ostrowca Świętokrzyskiego. Co ważne Polak. W Subaru znaleziono też inne egzemplarze broni. Policja przyznała, że terrorysta miał pozwolenie na jej posiadanie. Minister spraw wewnętrznych Marcin Kierwiński stwierdził – nie podając jednak źródeł – że Michał O. był zafascynowany ideologią skrajnej prawicy. Badane są jego powiązania, bo wciąż nie wyklucza się, że mógł mieć wspólników. W miejscu zamieszkania sprawcy odkryto zwłoki trzech osób – rodziców oraz siostry.

Krakowski Rynek został momentalnie otoczony podwójnym kordonem policji z bronią długą i straży miejskiej. Gdy dotarłem tam po niespełna dwóch godzinach od ataku, mijały mnie kolejne cywilne samochody z „kogutami" służb na dachach. Zwykle zatłoczone w weekend ulice Starego Miasta były pustawe. Apele o powstrzymanie się od wychodzenia do centrum poskutkowały. W mieście i państwie ogłoszono żałobę.

Kraków z symbolu europejskiej kultury stał się symbolem współczesnej barbarii. Dziś najważniejsze są ofiary, ale trzeba zapytać, dlaczego doszło do tragedii i co zrobić, by ograniczyć zagrożenia?

Piotr Gawlik, były funkcjonariusz Urzędu Ochrony Państwa i Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, a obecnie ekspert do spraw bezpieczeństwa, znający, co istotne, realia Krakowa, przyznaje: – *Takiego ataku można się było spodziewać od 2016 r., gdy nastąpiła eskalacja konfliktu politycznego. Teraz doszły wydarzenia pod siedzibą Trybunału Konstytucyjnego, gdy padły hasła o możliwości użycia broni.*

Ale też, jak dodaje nasz rozmówca, Michał O. jest klasycznym „samotnym wilkiem". Śledztwo musi pokazać mechanizmy, które doprowadziły do dramatu, aby ujawnić słabe punkty systemu.

Po pierwsze, „samotne wilki" to zwykle ludzie o słabej psychice, niewrażliwi na reguły moralne i społeczne. – *Co kluczowe: radykalizacji „wilków" towarzyszą rozmaite sygnały. Te najłatwiej odczytać najbliższemu otoczeniu: rodzinie, znajomym, nauczycielom. Policja czy służby, z najlepszą nawet pracą operacyjną, mają tu mniejsze szanse* – tłumaczy Gawlik. I dodaje: – *„Wilki" to ludzie z zaburzoną psyche, a ich samotność wynika często z wykluczenia, nawet w prozaicznym pozornie wymiarze komunikacyjnym – gdy nie mogą się ruszyć ze swojego miasteczka, by spotkać się z rówieśnikami choćby na atrakcyjnym koncercie czy meczu. Zauważmy, że najagresywniejsze niedawne ataki nożownicze zdarzały się w szkołach w małych miasteczkach. Michał O. też pochodzi z niewielkiego Ostrowca…*

Tu pierwszy wniosek dla państwa: co zrobić, by młodzi ludzie żyjący w blokowiskach czy na prowincji nie czuli się samotni. Bo samotność łatwo kończy się psychozą. Po drugie – jak podkreśla Piotr Gawlik – trzeba ograniczyć dostęp do broni: – *Mitem jest, że jak się ma w domu karabin, to można się obronić. Wiem coś o tym, bo nosiłem broń podczas służby. W Polsce tymczasem system dostępu do broni jest kompletnie nieszczelny. Nie chodzi tylko o wielki rynek broni nielegalnej. Równie groźne jest to, że pod pozorem posiadania broni kolekcjonerskiej kupuje się broń ostrą, a pod legendą broni sportowej trzyma się broń dużego kalibru i nie trenuje żadnych konkurencji strzeleckich. Na dodatek broń czarnoprochowa nie podlega rejestracji – a nią też można zabić.*

Michał O. zabijał z karabinka AR15. – *To precyzyjna broń szturmowa* – tłumaczy ekspert. – *Na dodatek umiał się nią posługiwać, bo strzelanie z jadącego samochodu nie jest łatwe i wymaga szkolenia. Co z tego, że miał pozwolenie? Po co w ogóle cywilom broń długa?! Jeśli już, to mogliby mieć najwyżej krótką.*

Co więcej, wszystko wskazuje na to, że po ataku na Rynku zamachowiec kierował się na Kazimierz, gdzie w weekendy bawi się jeszcze więcej ludzi. Tam mógłby spektakularnie dokończyć mordu – na szczęście bohaterscy policjanci wcześniej go unieszkodliwili. – *Są herosami także dlatego, że nie należeli do formacji kontrterrorystów, nie byli więc szkoleni w walce z takimi zamachowcami – a de facto w ich likwidacji. Wniosek jest prosty: funkcjonariusze policyjnej prewencji powinni być przygotowywani również do takich nadzwyczajnych sytuacji* – podkreśla Gawlik.

Jak zapowiada prezydent Krakowa Łukasz Gibała, najpóźniej na początku przyszłego roku miasto zamontuje specjalne wysuwane słupki, blokujące wjazd w okolice Rynku Głównego i centrum. Zwiększona zostanie także liczba patroli policji.

– *Należy jednak pamiętać, że kiedy zdeterminowany active shooter napotka taką przeszkodę, to i tak uderzy, choćby i przed nią. Więc na etapie ataku jedynym sposobem jest tylko jego zneutralizowanie, czyli najczęściej zabicie* – mówi Piotr Gawlik. – *Co przy tym istotne, państwo musi strzec monopolu na stosowanie przemocy. Bezwzględnie reagować na grupy tzw. obrońców granic, samozwańczych łapaczy uchodźców na granicy z Białorusią, Kamratów, straże miasteczek namiotowych czy happeningi polityków typu Grzegorza Brauna. Obywatele muszą czuć się bezpiecznie nie przez posiadanie broni, lecz dzięki sile państwa* – zaznacza.

KRZYSZTOF BURNETKO

© MAREK BEDNARZ/EAST NEWS, KPR. SŁAWOMIR KOZIOŁ/COMBAT CAMERA POLAND

eprasa.pl fe2da71bd4

Blask tombaku



Anna Siewierska

Profesor Uniwersytetu Rzeszowskiego, politolożka

Amerykańskie wybory połówkowe już dawno nie cieszyły się takim zainteresowaniem światowych mediów jak obecnie. Ale też już dawno amerykańska polityka tak mocno, arogancko i bez skrępowania nie ingerowała w wewnętrzne sprawy innych państw, w tym także sojuszniczych. Przez ostatnie 10 lat związany z Donaldem Trumpem ruch MAGA, przy wsparciu technologicznych gigantów, którzy w prezydencie USA znaleźli wygodne narzędzie realizacji własnych wizji, świadomie i celowo wspierał na całym świecie prawicowych populistów. Nawet wtedy, gdy ci jawnie łamali zasady demokracji liberalnej – jak Viktor Orbán na Węgrzech, flirtowali z Putinem – jak niemiecka AFD, czy przyjmowali pieniądze od rosyjskich oligarchów – jak Marine Le Pen we Francji. MAGA bezwarunkowo wspierała antyunijne partie, a Trump niejednokrotnie osobiście angażował się we wsparcie prawicowych kandydatów, chwaląc się później, że zawdzięczają mu zwycięstwo – jak zrobił to w przypadku Karola Nawrockiego.

Właśnie dlatego przegrana Partii Republikańskiej w listopadowych wyborach boleśnie uderzy we wszystkich, którzy przez ostatnie lata grzali się w złotym blasku Donalda Trumpa. A jest to przegrana wyjątkowa, bo największą klęskę ponieśli ci kandydaci, których amerykański prezydent wspierał osobiście! Wyborcy odrzucili nie tyle nawet Republikanów, ile pewien styl uprawiania polityki, który wraz z drugą kadencją Trumpa stał się normą: skorumpowany, nieliczący się z prawdą i zdrowym rozsądkiem, agresywny, arogancki, bezwzględny.

Przegrana trumpistów to cios także w polską prawicę – na czele z PiS – która w bezkrytycznym uwielbieniu dla Trumpa posuwała się do granic śmieszności. I nie myślę teraz o czerwonych czapeczkach z napisem: „Make America Great Again", noszonych przez Jarosława Kaczyńskiego, Mariusza Goska czy Dominika Tarczyńskiego, ani o skandowaniu w polskim parlamencie: „Donald Trump, Donald Trump" – czego zresztą Jarosław Kaczyński zdążył się już publicznie wyprzeć. Palce świerzbią, żeby wymieniać teraz te wszystkie dowody wiernopoddaństwa składane przez polityków PiS i Suwerennej Polski przed ludźmi prezydenta USA. Tyle że za tymi śmiesznymi gestami stało realne poparcie dla postulatów i działań ruchu MAGA, a te już śmieszne nie były. Były po prostu niebezpieczne. Demontaż organizacji międzynarodowych, w tym NATO, które jest gwarantem także polskiego bezpieczeństwa; sceptycyzm wobec nauki, łącznie z podważaniem konsensusu medycznego na temat obowiązkowych szczepień; polityczno-biznesowy sojusz z technooligarchami marzącymi o stworzeniu nowego świata na gruzach starego…

Choć dziś Marcin Przydacz, prawa ręka prezydenta RP, próbuje – dość nieudolnie zresztą – przekonywać, że przegrana Republikanów „to memento dla D. Tuska i jego ludzi", to problem ma polska prawica, która w ostatnich latach bezrefleksyjnie postawiła wszystko na Donalda Trumpa. Jak mówi przysłowie: „Kiedy Ameryka kichnie, Europa ma katar". Tym razem Ameryka kichnęła potężnie i europejska prawica, przed którą w najbliższych latach wiele kampanii wyborczych, odczuje to wyjątkowo boleśnie. Na katarze może się nie skończyć.

Ćwiczenia z zagrożenia



Słowa komendanta głównego policji brzmiały jak alarm: funkcjonariusze wspierani przez wojska specjalne rozpoczęli zabezpieczanie granicy z Rosją pod kątem możliwych aktów dywersji, a w Komendzie Głównej powołany został sztab kryzysowy. Ostrzeżenia, że szykuje się coś złego, miały przyjść od polskiej Służby Wywiadu Wojskowego i od sojuszników. Mówiły o groźbie przekroczenia granicy przez uzbrojone grupy dywersyjno-sabotażowe, a więc o ryzyku, z jakim Polska się jeszcze nie mierzyła. Za pojedyncze – i na szczęście odosobnione – ataki, incydenty czy próby zamachów odpowiedzialni byli werbowani na miejscu współpracownicy lub pojedynczy agenci Moskwy. O zorganizowanych grupach, wysyłanych przez granicę, do tej pory nie było mowy. Grozą powiało, gdy przed spotkaniem Rady Bezpieczeństwa Narodowego premier Tusk relacjonował, że nocą Straż Graniczna widziała „osobników z latarkami", których intencje były niejasne. Szybka interwencja, zdaniem premiera, zapobiegła incydentowi.

Natychmiast przypomniały się zdarzenia sprzed kilku lat na białoruskim odcinku granicy, ostrzeżenia o uzbrojonych dywersantach, o których mówią raporty służb kontrwywiadowczych wielu państw NATO, a nawet „zielone ludziki", wciąż brane pod uwagę w scenariuszach rosyjskiego ataku poniżej progu wojny. Ostatnie lata koncentrowały uwagę na zabezpieczeniu wcześniej niemal odsłoniętej granicy z Białorusią, co całkiem nieźle się udało. Odcinek rosyjski, z obwodem królewieckim, był od lat wygrodzony i strzeżony przez czujniki na wieżach, a teraz jest umacniany w ramach programu Tarcza Wschód. Skierowanie w ten rejon policyjno-wojskowych grup szybkiego reagowania z odwodem elitarnych sił specjalnych sugerowało, że dotychczasowa ochrona jest niewystarczająca.

Ale wojsko sytuację nazwało ćwiczeniami, a policja swoją operację zaplanowała na zaledwie tydzień. Możliwe więc, że przy okazji rzeczywistego niepokojącego zgłoszenia służby z wojskiem chciały przetrenować reagowanie alarmowe. Policja nie ograniczyła się do granicy. W warszawskim metrze pojawili się funkcjonariusze uzbrojeni w pistolety maszynowe – co PiS wykorzystał do straszenia, że to z powodu protestu pod TK. Broń automatyczną często widać w rękach policji i żandarmerii na ulicach Paryża, Brukseli czy Madrytu. W Polsce wydawana jest sporadycznie – ostatnio w czasie największych obostrzeń pandemii. Pistolety automatyczne mają głównie odstraszać, ale przebieg zamachu w Krakowie pokazuje, że siła ognia takich „rozpylaczy" także może decydować o powstrzymaniu napastnika w pierwszych sekundach policyjnej akcji. (MŚ)

eprasa.pl fe2da71bd4

Misja Eisenkota



Prezydent Izraela Icchak Hercog powierzył misję utworzenia rządu **Gadiemu Eisenkotowi**. Lider partii Jaszar, były szef Sztabu Generalnego, ma 28 dni na zbudowanie koalicji i przedstawienie jej Knesetowi (plus maksymalnie 14 dni). Decyzja zapadła po konsultacjach z ugrupowaniami, które weszły do parlamentu: Eisenkota poparło 67 deputowanych, a urzędującego premiera Beniamina Netanjahu zaledwie 46 (dotychczasowy koalicjant Zjednoczony Judaizm Tory nie wskazał żadnego kandydata). To ważny polityczny sygnał, chociaż większość rekomendacji nie oznacza jeszcze, że Eisenkot dysponuje gotową koalicją.

Netanjahu nie zamierza łatwo oddać władzy. W sobotę wezwał do utworzenia rządu jedności z partiami, które zalicza do „obozu narodowego". Według niego jego przeciwnicy chcą stworzyć rząd zależny od „zwolenników terrorystów", którzy – jak twierdzi – dążą do zniszczenia Izraela i zbudowania państwa palestyńskiego na jego ruinach. To reakcja na poparcie, jakiego Eisenkotowi udzieliły dwie partie arabskie. Eisenkot nazwał to wystąpienie „histerycznym" i zarzucił Netanjahu, że mówi o jedności jedynie w obliczu utraty stanowiska. Wezwał też Likud, by – jeśli rzeczywiście chce szerokiego rządu – zerwał z ekstremistami i przystąpił do koalicji pod wodzą Eisenkota.

Największą przeszkodą dla tego scenariusza może okazać się Awigdor Lieberman, lider partii Nasz Dom Izrael, z ogromną chrapką na fotel premiera. Jak się okazuje, od miesięcy rozmawiał z jedną z partii religijnych, mimo że oficjalnie prowadził kampanię głównie wokół powszechnej służby wojskowej, wbrew interesom ultraortodoksów. Po wyborach mówi o możliwym kompromisie. Może to oznaczać, że Eisenkot zostanie poświęcony w ramach porozumienia między Liebermanem a partiami ultraortodoksyjnymi. Do tego potrzeba jeszcze Szas, drugiej partii religijnej, której sześć mandatów mogłoby zapewnić brakującą większość. Na razie nie widać, żeby lider Szas był gotowy na ten scenariusz, ale koncesje dla studentów jeszcze mogą wiele zmienić.

Eisenkot stoi przed trudnym zadaniem – nie tylko odsunięcia od władzy Netanjahu, ale też pogodzenia sprzecznych interesów partii, które go poparły. Jeśli to się nie powiedzie, prezydent powierzy misję kolejnemu deputowanemu. W następnym kroku możliwy będzie trzeci kandydat, pod którym podpisze się 61 członków Knesetu. A później Izrael mogą czekać kolejne wybory. Z obozu Eisenkota płyną sygnały zaniepokojenia. Może się więc okazać, że „obóz zmiany" niespecjalnie gotowy jest na jakąkolwiek zmianę.

AGNIESZKA ZAGNER Z JEROZOLIMY

Rozmowa z Ehudem Olmertem s. 50.



Mury runą?

Joshua Wong, 30-letni chiński prodemokratyczny działacz, który już od blisko pięciu lat przebywa za kratami, został przez sąd w Hongkongu skazany na kolejne dziesięć lat więzienia. Najpierw zarzucono mu „działalność wywrotową" – za udział w pokojowych demonstracjach, a obecnie za kontakty z zagranicą, głównie w Stanach Zjednoczonych, by zabiegać o nałożenie sankcji na instytucje finansowe – zarówno w Hongkongu, jak i w Pekinie – za prześladowania demokratów. Władze uznają taki lobbing za „działania wrogie" wobec państwa i na nic zdały się argumenty obrońców, że Wong to działacz pokojowy, nieuciekający się do przemocy. We wrześniu ten sam sąd skazał na kary pięciu i siedmiu lat więzienia trzech organizatorów uroczystości upamiętniających masakrę na Placu Tiananmen. W Hongkongu co roku odbywały się takie pokojowe uroczystości ku czci ofiar tej masakry z 1989 r., co Pekin uważa za „podżeganie do działalności wywrotowej".

Jako wysłannik POLITYKI zapamiętałem noc z 30 czerwca na 1 lipca 1997 r., kiedy perłę brytyjskiej Korony – Hongkong – przekazywano w ręce komunistycznych Chin. Było to wielkie, autentyczne chińskie święto patriotyzmu, ale podszyte strachem. Chińczycy kończyli stulecie podległości tej kolonii – wiek upokorzenia. Jednak bali się, że komuniści z Pekinu z czasem położą twardą łapę na nich samych. Pokojowe przejęcie kolonii miało honorować obietnicę nieżyjącego już chińskiego przywódcy-reformatora Deng Xiaopinga: „Jeden kraj, dwa systemy". Tłumaczono to tak, że Hongkong, choć stanowi część komunistycznych Chin i nie prowadzi własnych spraw dyplomatycznych i wojskowych, to jest samorządny i może na 50 lat zachować swoje kapitalistyczne prawa, w tym swobody obywatelskie nieznane w Chińskiej Republice Ludowej. Słowem, mieszkańcy Hongkongu – w ramach Chin – mieli cieszyć się pewnymi swobodami demokratycznymi aż do 2047 r.

Dziś, po ćwierćwieczu, widać, że ludzie bogaci nie mieli się czego bać: obie oligarchie – komunistyczna w Pekinie i miejscowa w Hongkongu – dogadały się znakomicie; interesy kwitną. Oczywiście przy imponującym rozwoju technologicznym Chin zmieniły się proporcje – dawniej Hongkong stanowił 18 proc. całego PKB kraju, dziś ledwie ponad 2 proc. Jednak zasada „jeden kraj, dwa systemy" coraz bardziej się zaciera w odniesieniu do zwykłych obywateli. Dowodzą tego surowe wyroki na działaczy prodemokratycznych upominających się o przyznane przecież prawa.

MAREK OSTROWSKI

© SHIR TOREM/REUTERS/FORUM, MARTIN BERTRAND/HANS LUCAS AGENCY/FORUM, MP, WIKTOR DĄBKOWSKI/BLOOMBERG/GETTY IMAGES

eprasa.pl fe2da71bd4

Węgry się lustrują

Można wreszcie zaglądać do **bazy danych** węgierskiej bezpieki. Na razie w internetowym archiwum ujawniono spisy zawierające m.in. pseudonimy i okoliczności zwerbowania ok. 60 tys. zarejestrowanych tajnych agentów. Wśród nich odnaleziono nazwiska laureatki Nagrody Nobla w dziedzinie medycyny, byłych prezesów banku centralnego, byłego szefa dyplomacji, kardynała i dawnego prymasa, byłego sędziego trybunału konstytucyjnego, a także ludzi kultury, mediów i sportu. Historycy oceniają, że wciąż żyje co dziesiąta osoba ujęta w spisach. Ewidencja została udostępniona 4 listopada w 70. rocznicę sowieckiego najazdu wymierzonego w antykomunistyczne powstanie 1956 r.

Otwarcie szaf policji politycznej było nośną wyborczą obietnicą rządzącego premiera. Péter Magyar przedstawia to jako krok niezbędny do przejścia do prawdziwej demokracji. Na myśli ma nie tylko możliwie przejrzyste rozliczenie dziesiątek lat komunizmu, ale także rozbrat z kilkunastoleciem orbanizmu, systemu tworzonego przez Viktora Orbána, a zakończonego wiosennymi wyborami. Skojarzenie nieprzypadkowe. Mający autorytarne skłonności Orbán chętnie odwoływał się do antykomunizmu. Wiązał go z koniecznością utrzymywania narodowej suwerenności (zwłaszcza od zniewalającej Brukseli), ale nie pogłębił kosmetycznej, mocno spóźnionej lustracji. Teraz nie obyło się bez błędów. Status agenta przypisano jednemu z założycieli partii Orbána, co dla jego środowiska stało się dowodem, że żonglowanie teczkami to nieudolna próba polowania na przeciwników.





Łagodny charakter lustracji był efektem wynegocjowanego przełomu 1989–90 r. i mniejszej skali represji niż w innych koloniach ZSRR. Późne udostępnienie akt sprawia, że Węgrzy – nieprzetrenowani lustracyjnie jak Niemcy, Polacy czy Bałtowie – mogą mieć kłopot z oceną odnalezionych informacji. Część figurujących na listach nic służbie nie doniosła. Część zwerbowano wyłącznie na papierze, by rzekomo prowadzący ich oficerowie mogli się wykazać. No i oczywiście teczki, w tym spisy, nie są pełne.

Węgierska bezpieka mogła współpracować w sumie ze 150 tys. agentów. Dokumenty większości z nich przepadły. Wiele zostało zniszczonych przez powstańców zajmujących budynki władzy w 1956 r. Inne rozpłynęły się po 1990 r. Kolejnym krokiem będzie pokazanie zawartości 9 tys. zachowanych teczek. Są przygotowywane do publikacji, trwa zaczernianie informacji wrażliwych – o stanie zdrowia psychicznego czy uzależnieniach. Premier zobowiązał się, że zostaną upublicznione przed 25 lutego, obchodzonym na Węgrzech jako dzień pamięci ofiar komunizmu. JW

Żar zamrażarek

W zeszłym tygodniu za sprawą hakerów przepadło jedzenie warte co najmniej 6 mld euro. Mrożonki popłynęły w Belgii, Estonii, Irlandii, Finlandii, Luksemburgu, Holandii i Szwecji. We Francji alarm włączył się w bankach krwi, tam jednak odbyło się bez strat. Wszystkie te urządzenia – przemysłowe lodówki i zamrażarki – były podłączone do internetu w ramach centralnych systemów monitorowania i oszczędzania energii. Systemy te, często od dawna nieaktualizowane, okazały się łatwym celem dla hakerów. W wielu sklepach urządzenia chłodnicze nie tylko przestały chłodzić, ale zaczęły grzać, nawet do 50 st. C.



To już seria. Gdy w lutym Amerykanie i Izraelczycy zaatakowali Iran, irańskie służby miały majstrować przy amerykańskich systemach energetycznych i stacjach uzdatniania wody. W sierpniu amerykańskie dowództwo poinformowało o skoordynowanej (choć o niewielkim zasięgu) akcji rozmrażania spożywczych urządzeń chłodniczych w kilku amerykańskich bazach wojskowych za granicą – uznano je wtedy za cyberatak. We wrześniu padł system chłodzenia w kilkuset francuskich supermarketach, co mogło być testem przed wydarzeniami zeszłego tygodnia. Odpowiedzialność za te ostatnie miała wziąć powiązana z Rosją grupa hakerska, ale Kreml oficjalnie odciął się od tej akcji.

Eksperci alarmują, że mamy do czynienia z „momentem Wuhan" w cyberprzestrzeni – to nawiązanie do chińskiego miasta, w którym rozpoczęła się pandemia covidu. Teraz, gdy sztuczna inteligencja pomaga wykrywać słabe punkty sieciowych zabezpieczeń, stoimy u progu epidemii cyberataków, które wkrótce staną się codziennością. Zeszłotygodniowe wielkie odmrażanie było tylko jednym z trzech cyberataków, do których doszło od końca października. Najpierw hakerzy (prawdopodobnie północnokoreańscy) włamali się na serwery największej na świecie giełdy kryptowalut, Binance, kradnąc 6,3 mld dol. Chwilę później ich (zapewne rosyjscy) towarzysze zaatakowali ukraińską aplikację z alertami kryzysowymi, wysyłając mieszkańcom Kijowa fałszywe ostrzeżenie o ataku nuklearnym. A warto jeszcze przypomnieć, że w październiku w ramach ostrożności na całym świecie czasowo wyłączano dostęp do wielu witryn internetowych. Stało się tak, bo sztuczna inteligencja stworzona przez firmę OpenAI wykryła lukę w bardzo popularnym języku programowania PHP.

Hakerzy atakujący systemy chłodnicze nie musieli korzystać z AI – luki w zabezpieczeniach były powszechnie znane, a domyślne hasła dostępowe widniały nawet w instrukcjach obsługi dostarczonych przez jednego z producentów. ŁW

eprasa.pl fe2da71bd4

Polski starczy dla wszystkich

Marcin Napiórkowski, dyrektor Muzeum Historii Polski, o tym, jak na nowo ze skłóconej Polski zrobić Polskę wspólną i dumną.



ILUSTRACJA **MARCIN BONDAROWICZ**

JULIUSZ ĆWIELUCH: **– Czy tragedia krakowska nas podzieli, czy wzmocni?**

MARCIN NAPIÓRKOWSKI: – Niektórzy z nas są tak opętani plemienną logiką, że nie są w stanie dostrzec niczego poza podziałami. A wspólnota podzielona murami nieufności nie jest w stanie wspólnie przepracowywać traum. Odpowiedź na pana pytanie zależy więc od naszych wyborów.

Mam wrażenie, że państwo nie zawsze potrafi „w patriotyzm" i wtedy zabierają się do tego polityczni macherzy.

Pustka symboliczna, której nie potrafi zagospodarować państwo, będzie systematycznie przejmowana przez ruchy skrajne. Ma tu zastosowanie model lejka ideologicznego: zwykli ludzie są przez polaryzację wpychani w lejek i prowadzeni w kierunku konkurencji na ofiary i krzywdy. Dotyczy to teraźniejszości: „Obecna władza: ostatnia nadzieja demokracji czy krwawa dyktatura?", ale też przeszłości: „Żołnierze wyklęci: bandyci czy herosi?". Zero światłocienia, zero wielogłosowości, nic pośrodku. Kto raz wpadł do lejka, ten nie ma jak się z niego wygrzebać, bo są środowiska, którym zależy, żeby wszystko było na ostrzu noża i na dodatek podlane sosem nienawiści i zawinięte w grubą warstwę dezinformacji – najgroźniejszej obecnie społecznej trucizny.

Pan pewnie nawet nie potrafi odpalić racy, to co pan wie o patriotyzmie?

W życiu nie jeździłem również na łyżwach. Ale fakt, że inni jeżdżą na łyżwach, nie napawa mnie przerażeniem. Mało tego, nie jestem również za tym, żeby zamykać lodowiska. Manifestacja z racami jest dziś częścią patriotycznego pejzażu Polski. Nie odpalam, ale szanuję. Tym bardziej że widzę w tym szczere przywiązanie do ojczyzny. Bardziej od rac martwi mnie coś innego.

Orzeł z czekolady?

Też mi nie spędza snu z powiek. Chociaż szczerze mówiąc, chyba wolę już te race. Race są przynajmniej szczere. Czekoladowy orzeł wynikał z jakiegoś wykalkulowania, które się

eprasa.pl fe2da71bd4

w dodatku okazało chybione. Więcej w nim było marketingu niż patriotyzmu. Ale naprawdę martwi mnie to, że coraz mniej mamy przestrzeni na wyrażenie patriotyzmu inaczej niż poprzez sprzeciwianie się czemuś, poprzez gniew, nieufność, nienawiść. Radykalizm to dla większości osób nie jest pierwszy wybór, lecz wynik braku alternatywy. Marsz Niepodległości przyciąga dziś dużo szerszy przekrój politycznych wrażliwości niż poglądy reprezentowane przez grupę pierwotnie stojącą za tą inicjatywą.

Pod Trybunałem Konstytucyjnym stał starszy mężczyzna przebrany za husarza. Patrząc na niego, zastanawiałem się, co go skłoniło do tego, żeby mieć taką zbroję, dlaczego znalazł się przed Trybunałem, czego lub kogo chciał bronić i przed kim. No i okazało się, że przed Ruskimi. Z takimi husarzami to my wojny nie wygramy.

Pewnie bardziej pomogą nam te wszystkie kupowane ostatnio czołgi. Ale i one nie na wiele się zdadzą, jeśli społeczeństwo straci wolę walki i jedność. I dziś na to właśnie skierowana jest główna linia ataku. Kto chce pokonać Polskę, będzie ją chciał najpierw podzielić.

Akurat nam nie potrzeba do tego Rosjan. Bolesław Piasecki pisał o „metrykalnych Polakach", PiS eksponował Polaków prawdziwych kontra ci nieprawdziwi, a Braun mówi o folksdojczach. To gdzie pan widzi pole kompromisu?

Uwierzyliśmy, że modele patriotyzmu muszą ze sobą rywalizować, że któryś musi być lepszy, któryś musi być gorszy. Postrzegamy patriotyzm jako grę o sumie zerowej: ktoś musi przegrać, żebym ja mógł wygrać. Miarą sukcesu tych, którzy nie idą na Marsz Niepodległości, jest to, żeby jak najmniej osób na ten marsz poszło. I wtedy będzie dobrze. A przecież Polska jest wielka. Zmieścimy się wszyscy. Można ten patriotyczny pejzaż rozbudowywać, tworzyć alternatywy. To jest esencja raportu dotyczącego strategii działania w obszarze pamięci, który Muzeum Historii Polski przygotowało właśnie na zlecenie Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

To co zrobić, żeby patriotyzm nie był skrajny, a jednocześnie był atrakcyjny?

Badania nad mitem pokazują, że od tysięcy lat niezmiennie sprawdza się to samo. Nie działają puste deklaracje i abstrakcje. Przyjmują się rytuały pozwalające aktywnie uczestniczyć w święcie. Potrzebujemy więc nie nowych pomników, lecz wspólnej przestrzeni i konkretnych skryptów działania. Jest moda na bieganie? Ktoś wpadł na pomysł zorganizowania Biegu Niepodległości. Świetny pomysł na włączenie w celebrację osób, które w innych okolicznościach być może stałyby z boku. Do czyjegoś serca można dotrzeć przez żołądek? Organizujmy celebrację wokół polskiej kuchni, chociażby tej gęsiny, rosołu albo i pierogów. Mamy bogatą kulturę i długą historię. Jest z czego czerpać. Na naszej pierwszej wystawie można się było przewiązać pasem kontuszowym, którego używała szlachta. Co innego o tym czytać, a co innego tego doświadczyć. Takiej historii poszukują dziś odbiorcy. Żywej, ciekawej, atrakcyjnej.

Odnośnie do pomników to papież Jan Paweł II też podobno nie chciał pomników, a wiemy, jak się to skończyło. Może taki mamy klimat.

Nie popadałbym tu w fatalizm. Znów, odwołując się do badań nad mitem i rytuałem, można łatwo zauważyć, że święta łączą w sobie wielowiekową trwałość z zaskakującą zdolnością do szybkiej adaptacji.

A tak po ludzku?

Boże Narodzenie celebrowane jest od stuleci, a w jego kulturowym kodzie łatwo odczytać ślady znacznie starszych świąt, zarówno rzymskiego kultu słońca, jak i wpływów germańskich, celtyckich, a u nas także słowiańskich. Z drugiej strony mamy jednak błyskawiczną adaptację nowych zwyczajów – od peerelowskiego karpia po zamerykanizowanego Santa Clausa. W przypadku prawdziwego święta nie ma mowy o pustce. Każdy Polak doskonale wie, co się robi w wigilię. Istnieje szeroko podzielany skrypt zachowań świątecznych, doskonale czytelny. Jednocześnie – i to wydaje mi się szczególnie ciekawe – jeśli zrobimy zbliżenie kamery i przyjrzymy się konkretnym regionom, a nawet rodzinom, to okazuje się, że w formach świętowania istnieje ogromne zróżnicowanie. I te różnice wcale nas nie dzielą. Przeciwnie, składają się na bogactwo tradycji, jaką jest polska wigilia. To jest wzór, z którego powinniśmy czerpać. Lubię przykład wigilii. Przypomina nam, że mamy wspólne DNA kulturowe, że mimo niesłychanej skali polaryzacji łączą nas język, tradycja, historia, wspólny zasób przeżyć, który nas ukształtował.

Wigilia miała kilka wieków, żeby się wpisać do polskiego DNA. Kalendarz świąt, po które teraz sięgamy, jest młodszy nawet ode mnie. Pół wieku jestem na tym świecie i po drodze zaliczyłem marsze pierwszomajowe, 22 lipca z czekoladkami i bez oraz apele z okazji rewolucji październikowej. Dziś mamy zupełnie nowe święta.

W ramach swojej pracy badawczej przyglądałem się kiedyś broszurom edukacyjnym z lat 20. i 30. XX w. Wprowadzenie 11 listopada jako święta niepodległości nie było łatwym zadaniem. Znacznej części populacji trzeba było najpierw wyjaśnić, gdzie tu powód do świętowania. Ta data jest jednak ciekawa. Z jednej strony funkcjonuje jako „urodziny Polski", z drugiej strony łączy nas z Zachodem, gdzie tego dnia świętuje się, w bardzo poważnym, podniosłym tonie, zakończenie pierwszej wojny światowej.

Może to jednak nie była najlepsza data. Ciemno, zimno i jeszcze blisko Zaduszek. Trudno się dziwić, że biegają z tymi racami. Nielepiej było już wtedy postawić na 15 sierpnia? Dziś to wokół tego święta władza próbuje budować patriotyczne uniesienia, puszczając ulicami sznur czołgów.

To też jest forma celebracji patriotyzmu. Tym istotniejsza, że w sytuacji zagrożenia to nie same czołgi będą nas bronić, lecz ludzie gotowi stanąć do walki za swoją ojczyznę. Nauczyciele skarżą się, że dzieci zaginają ich z wiedzy o czołgach i karabinach, ale nie mają bladego pojęcia, dlaczego dana wojna wybuchła, jakie miała konsekwencje i co to właściwie jest ta niepodległość.

Wiedza historyczna jest podglebiem dla wzrostu patriotyzmu. Ale jeśli nie towarzyszy jej rozwój krytycznej wyobraźni czy myślenia przyczynowo-skutkowego, to przeszłość staje się doskonałym polem do siania dezinformacji. Kiełkuje nie to, co byśmy chcieli. Stawiajmy na historię, ale nie próbujmy zrzucać na barki nauczycieli kolejnej odpowiedzialności. Historia może być łącznikiem między rodzicami a dziećmi, które przecież uwielbiają słuchać historii. Szkoła wszystkiego za nas nie zrobi. A i nauczyciele ▶



Dr hab. **Marcin Napiórkowski** (rocznik 1985) – z wykształcenia kulturoznawca i semiotyk kultury, z zamiłowania patriota. Współautor głośnego musicalu „1989". Od września 2024 r. dyrektor Muzeum Historii Polski.

© ADAM BURAKOWSKI/EAST NEWS

eprasa.pl fe2da71bd4

▶ potrzebują wsparcia, solidnej infrastruktury pamięci, na której będą się mogli oprzeć. To zadanie dla muzeów, archiwów, instytucji badawczych jak nasza.

Na dodatek to, co zrobi szkoła, będzie miało efekt, ale oddalony w czasie.

Zgadza się. Rozwiązania, które dziś wprowadzimy dla sześciolatków, zadziałają u dorosłych najwcześniej za 12 lat. Choć z drugiej strony wbrew pozorom szkoła kształci nie tylko dzieci. Mamy ciekawe badania dotyczące tego, jak ważnym źródłem edukacji są dla rodziców ich dzieci. Na przykład w kwestii segregacji śmieci z badań wychodziło, że to dzieci edukują dorosłych, jak ją prawidłowo przeprowadzać.

A jak walczyć z radykalizmem patriotycznym?

Radykalizm potrzebuje paliwa. Najlepszym paliwem dla niego jest wyraźna figura wroga. To paradoks. Skupiając się przede wszystkim na tym, by pokonać radykałów, tworzymy dla nich idealne warunki. „Oni nie chcą naszego marszu! Oni blokują nasz przekaz! To, co robimy, jest zakazane! Ale my to i tak zrobimy – dla Polski". Dlatego – jak mówił Jacek Kuroń – „nie palmy komitetów, zakładajmy własne". Róbmy swoje, miejsca starczy dla wszystkich.

Takim komitetem mógł być 4 czerwca. Państwo w tej kwestii nie potrafiło zabrać głosu. Przez lata „Gazeta Wyborcza" proponowała toast za wolną i niepodległą, ale ostatnio nawet oni już chyba skapitulowali. Może w duchu „wasz listopad, nasz czerwiec" można budować coś ekstra.

4 czerwca to temat na oddzielną rozmowę. To ogromny potencjał celebracji sukcesu, ale też czarna karta w postaci zamykanych kopalń i fabryk oraz krzywd transformacji, z którymi wciąż się nie rozliczyliśmy. Nie każdemu ta data kojarzy się dobrze. Nie każdy dostał po 1989 r. równe szanse. Nie przekonuje mnie również dzielenie świąt na „nasze" i „wasze" i świętowanie przeciw komuś.

Ale jak usiąść do stołu z kimś, kto ma „naziolskie" ciągoty?

Nie chodzi o zapraszanie do stołu, kluczem do tworzenia wspólnych przestrzeni jest uznanie różnic. Pokazanie, że mamy różne modele patriotyzmu, jest pierwszym krokiem do tego, żebyśmy się w ogóle spotkali. Wąsko zdefiniowany patriotyzm zawsze kogoś wykluczy. A przy uważniejszym oglądzie okazuje się, że w tych wszystkich różnicach często sporo nas łączy. Weźmy np. z jednej strony patriotyzm tradycyjny, który mówi, że miarą mojego przywiązania do ojczyzny jest zdolność do zachowania czegoś: tradycji, zasad czy rytuałów z przeszłości. Z drugiej strony mamy patriotyzm modernizacyjny, który mówi: naszym wkładem we wspólnotę jest zdolność do zmieniania zasad, do krytycznej rewizji dziedzictwa. Jeśli zestawimy ze sobą te dwie postawy, to one wyglądają na sprzeczne. Ale możemy też spróbować zakreślić je kołem i wspólnie przeciwstawić czemuś trzeciemu. Ja bym opozycję dla patriotyzmu – dla obydwu tych patriotyzmów – widział np. w kulturze, która nie dostrzega sensu w budowaniu jakiejkolwiek wspólnoty, w podejmowaniu i dotrzymywaniu jakichkolwiek zobowiązań.

Media antyspołecznościowe?

Tak jest. Media antyspołecznościowe. Różne ośrodki proponują nam dziś taką kulturę nowego egoizmu. Życie bez zobowiązań, bez żadnych umów – tylko ja, mnie, moje. W czasie pokoju takie postawy są szkodliwe, ale nie niszczące. W sytuacji zagrożenia wojną to podstawa społecznie samobójcza. I żeby było jasne, choroba egoizmu nie ma barw politycznych. Jest jej wersja lewicowa, która mówi: muszę za wszelką cenę zrealizować moją tożsamość, moje potrzeby. Jest i wersja prawicowa, głosząca darwinizm ekonomiczny: nie pomagamy słabszym, nie oglądamy się za siebie, podatki są dla frajerów, państwo nas okrada.

Już szlachta krzyczała, że król ich okrada, każąc utrzymywać armię. Wiemy, jak się to skończyło. A jak już o szlachcie mowa, to czy serial „1670" może być narzędziem budowania patriotyzmu?

No i tu mam problem.

Czyli nie może?

Ależ nie. Pewnie może. Tylko że mnie osobiście nie śmieszy. Oglądałem go z innymi. Widziałem, że się śmiali, więc nawet sobie próbowałem później odtworzyć, co ich bawiło. Wykraczając poza moje osobiste deficyty poczucia humoru, taki serial to także potencjalnie atrakcyjne narzędzie do budowania patriotyzmu. On jest podszyty miłością do Polski, fascynacją sarmacką kulturą i jej długim trwaniem.

Krytycznie nastawieni mówią, że twórcy stawiają na pedagogikę wstydu, a nie dumy z polskości i sarmackiej kultury.

Ja mam wręcz wrażenie, że to serial zakochany w szlacheckiej Polsce. Tyle że dobrze odczytujący jej słabości. Ale żeby nie było, uważam, że znajdziemy też nad Wisłą przykłady prawdziwej pedagogiki wstydu. Mamy z nią do czynienia wszędzie tam, gdzie nakłania się nas do tego, byśmy się wstydzili polskości jako całości. Gdzie buduje się kompleks niższości wobec naiwnie idealizowanego Zachodu. Gdzie Polskę krytykuje się nie po to, żeby ją poprawić, ale po to, by ją zohydzić.

Wielką ideą za czasów rządów PiS było przemówienie do serc młodych za pomocą magii kinowych ekranów. Tak złych filmów, jakie wtedy powstały, nie widziałem od lat. A na opowieści o ostatnich dniach ORP „Orzeł" sam miałem ochotę schować się pod wodę i już nie wynurzyć.

Pewnie każde państwo od czasu do czasu ma takie zrywy... Wydaje mu się, że wie, czego chcą i potrzebują obywatele, i że można to wyprodukować w wielkiej państwowej fabryce hitów. Najgorzej wychodzi to właśnie wtedy, kiedy chcemy „dotrzeć do młodych", a zapominamy ich przy tym zaprosić do stołu i posłuchać.

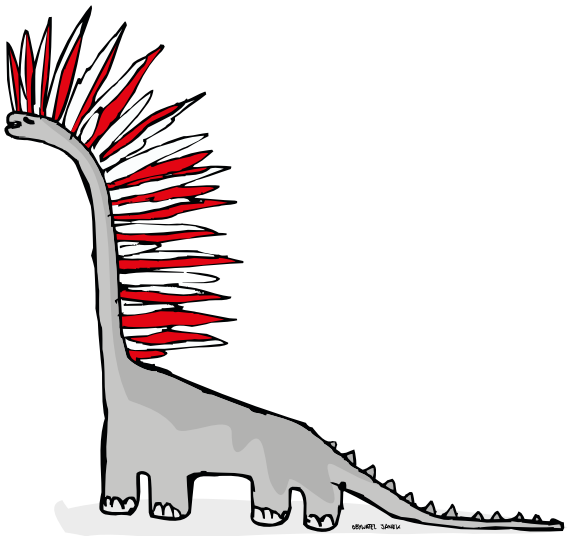
GALERIA POLITYKI



SYLWIA MARKIETA

eprasa.pl fe2da71bd4

GALERIA POLITYKI



OBYWATEL JANEK

Pojawiają się wtedy abstrakcyjne pomysły na hollywoodzki hit o Sobieskim albo grę komputerową o zwycięstwach polskiego oręża. A przecież jest „Wiedźmin". I choć nie jest o historii Polski, to każdy gracz na świecie wie, że to nasza gra, że Polacy potrafią zrobić coś świetnie. Na dodatek firma płaci w Polsce podatki. Patriotyzm, przychód i promocja w jednym.

Z badań IPN, ale również Narodowego Centrum Kultury, wynika, że z tą świadomością historyczną młodych nie jest różowo. Zresztą ze starszymi nie jest lepiej. Z biedą rozpoznają na zdjęciach Piłsudskiego i Gierka. Choć tego drugiego powinni kojarzyć jeszcze z telewizji. A ważnymi źródłami wiedzy jest np. „Tatuażysta z Auschwitz", turecka opera mydlana „Wspaniałe stulecie" i jeszcze „Czterej pancerni i pies". Historyczny kogel-mogel, ale bez jajek, bo to przecież jakieś bujdy.

Już mnie pan kiedyś zdiagnozował jako patologicznego optymistę. No to w tym przypadku też bym nie wpadał w panikę. Nie ma się co obrażać na odpowiedzi ankietowanych. Ale trzeba je znać. Jeśli wiemy, skąd się bierze wiedza naszego odbiorcy, to wiemy, jak do niego mówić. Także jakie mity obalać. Dobry przykład można znaleźć w czerwonym korytarzu na wystawie stałej Muzeum Powstania Warszawskiego. Elementem wystawy jest rozebranie na części pierwsze jednego z odcinków serialu „Czterej pancerni", w którym stawiana jest teza, że Armia Czerwona nie mogła przyjść na pomoc powstańcom warszawskim.

To muzeum okazało się sukcesem, bo nowocześnie i atrakcyjnie zmierzyło się z trudnym kawałkiem historii. Nie bało się również uderzać w nuty dumy narodowej i patriotycznego uniesienia. Ale to nie jest model, który udało się skopiować.

I może dobrze? Nie chcielibyśmy chyba żyć w kraju ksero-muzeów. A tymczasem nie mam wątpliwości, że nasza wystawa stała w Muzeum Historii Polski będzie nie mniej atrakcyjna, choć zupełnie inna. To nie jest muzeum drukarka. Nie mamy takiego podejścia, że wchodzi do środka czysta kartka, a wychodzi zadrukowana jedyną prawidłową opowieścią. Przeciwnie. Nasza wystawa pokazuje, jak bogata jest nasza przeszłość i jak wiele różnych opowieści o niej może funkcjonować równolegle. Muzeum świętowało niedawno 20-lecie. Po drodze mieliśmy wiele politycznych zawirowań, ale żadne z nich nie dotykało scenariusza wystawy stałej, który powstał w porozumieniu wielu różnych, często różniących się politycznie środowisk. Jestem przekonany, że nasza wystawa będzie hitem.

Oby nie takim jak książka „HIT" prof. Roszkowskiego.

Prof. Wojciech Roszkowski aktywnie uczestniczył w pracach nad tą wystawą, był nawet przewodniczącym Rady Muzeum. W tej samej kadencji w Radzie zasiadali m.in. Alicja Knast, prof. Andrzej Nowak, prof. Henryk Samsonowicz czy prof. Paweł Śpiewak. Jesteśmy instytucją o naprawdę rozłożystych korzeniach.

Wracając do patriotyzmu, alternatywa dla 11 listopada, czyli 1–3 maja, stała się po prostu długim weekendem. W te dni idzie się na grilla do sąsiadów, a nie do Muzeum Historii Polski.

Nie ma się co obrażać. Naród, który w ciągu trzech dekad wyciągnął swoją ojczyznę z dna kryzysu politycznego i ekonomicznego do G20, ma prawo zrobić sobie grilla i odpocząć. Może grill połączy nas skuteczniej niż oficjalne obchody? Co powiedziawszy, wspomnę, że 2 maja celebrujemy u nas w muzeum biało-czerwoną. W zeszłym roku pokazywaliśmy np. przy tej okazji, jak zmieniała się czerwień naszej flagi. Dziś to karmazyn, ale pierwszą polską – umownie rzecz ujmując – „barwą narodową" była koszenila produkowana z czerwców polskich. Bardziej krwisty odcień. Może mniej krwi w naszej fladze narodowej to dobry kierunek?

Idąc ulicami odbudowanej Warszawy, często myślę o tym, ile wysiłku całego narodu to kosztowało, jakie piękne jest to miasto, a jednocześnie jak kruche. Jak podatne na zniszczenie i legnięcie w gruzach, bo to w sumie miasto, które wojnę (war) ma nawet w nazwie.

Ja z kolei uwielbiam patrzeć na Warszawę oczyma moich zagranicznych studentów. Na UW prowadzę od lat kurs wiedzy o Polsce i polskiej kulturze. I w oczach moich słuchaczy widzę zachwyt tym miastem, które jest bezpieczne, czyste, tolerancyjne i otwarte. Ci zagraniczni studenci wciąż na nowo przypominają mi, że nasz kraj ma naprawdę wiele do zaoferowania.

A co mamy do zaoferowania?

Pierwszy wykład zaczynam od zawartości polskiej lodówki, opowiadam m.in. o pierogach i o wódce.

Z dziwnej szkoły piaru się pan wywodzi.

Mówię o wódce na pierwszych zajęciach, żeby ich ostrzec. Zagraniczni studenci są, niestety, narażeni na sytuacje, w których mogą się zderzyć z mocnym alkoholem i zwyczajami picia dla nich obcymi. Tak więc nie jest to pochwała pijaństwa, ale lekcja odpowiedzialności. A pierogi to z kolei ich pierwsza praca domowa. Podaję prosty przepis, a studenci mają za zadanie ulepić pierogi z własnym farszem i wysłać mi zdjęcia. Mam na dysku piękną kolekcję pierogów z kimchi, greckimi serami, czerwoną fasolą, a także z masłem orzechowym. Dla mnie to metafora międzykulturowego dialogu. Uwielbiam te wykłady. Kocham Polskę i cieszę się, że mogę się tą pasją dzielić. Jak każdy naród mamy swoje wady. Jest co zmieniać i poprawiać, sporo pracy domowej przed nami. Ale nie traćmy przy tym z oczu faktu, że dane nam jest żyć w naprawdę wspaniałym miejscu. Nie zepsujmy tego.

ROZMAWIAŁ JULIUSZ ĆWIELUCH

eprasa.pl fe2da71bd4



Demokraci przejęli także Senat. Nie obyło się bez sensacji. Były nauczyciel i seminarzysta James Talarico, przyciągał wyborców swą pasją i charyzmą, zadając kłam insynuacjom prawicy, że dla „męskiego" Teksasu jest za miękki.



Równie sensacyjna była wygrana Giny Hinojosy z faworyzowanym gubernatorem stanu Gregiem Abbottem. Hinojosa będzie pierwszą w historii Teksasu Latynoską u steru tego stanu, przez 40 lat zdominowanego przez Republikanów.

Amerykańska demokracja udowodniła, że ma się dobrze, i potrafiła ukarać Republikanów za wyniesienie do prezydentury kogoś takiego jak Donald Trump.

Niebies

TOMASZ ZALEWSKI Z WASZYNGTONU

Ruchy tektoniczne w amerykańskiej polityce zapowiadały zbliżanie się niebieskiego tsunami, ale mało kto sądził, że będzie tak potężne. Przed Midterms, wyborami połówkowymi, sondaże prognozowały przejęcie większości w Kongresie przez Demokratów, jednak nie na tak dużą skalę. Tak ogromnych zmian na ich korzyść nie przewidywano też na stanowiskach gubernatorów i w legislaturach stanowych. Republikanie stracili mandaty senatorów i fotele gubernatorskie w stanach będących od dziesięcioleci bastionem prawicy, na konserwatywnym Południu i w rolniczej części Środkowego Zachodu. Demokraci zanotowali zyski we wszystkich kategoriach populacji i wszystkich regionach kraju. To już radykalna zmiana politycznej mapy. Amerykańskie wahadło zdecydowanie przesunęło się na lewo. Pytanie tylko – co to znaczy i na jak długo?

Wybory połówkowe zazwyczaj przynoszą porażkę partii urzędującego prezydenta, bo są krytycznym referendum na temat jego rządów. Nigdy wszakże tak dobitnie jak 3 listopada. Donald Trump wzywał swych fanów na wiecach, by głosowali, „jakby on sam był na karcie wyborczej". Amerykanie go posłuchali – pamiętając w lokalach wyborczych, co mu zawdzięczają. A lista jest długa. Nie chodzi tylko o samą drożyznę i spadek płac realnych wskutek podwyższonych ceł importowych i wojny z Iranem.

Wyborcy zauważyli, że kłopoty ludzi z trudem wiążących koniec z końcem nie obchodzą Trumpa tak bardzo, jak budowa łuku triumfalnego nad Potomakiem. Pamiętali o łapankach urządzanych na „nielegalnych" imigrantów od lat mieszkających w USA i zabójstwach protestujących przeciw temu demonstrantów. Pamiętali o politycznych czystkach w resortach kierowanych przez posłusznych Trumpowi kapciowych i nękaniu przeciwników przez powolnych mu prokuratorów. I pamiętali o ostentacyjnym nadużywaniu przez niego władzy dla bogacenia siebie i swej rodziny.

Amerykanie mieli dość kłamstw prezydenta, jego korupcji, mściwości i ośmieszania Ameryki. Nie chcą słuchać jego tyrad, przestały ich bawić rozrywkowe przemówienia na wiecach. Opuściły go ważne segmenty zwycięskiej dwa lata temu koalicji – Latynosi, młodzież, biali członkowie świata pracy i ci fani z MAGA, którzy wierzyli, że jest „prezydentem pokoju". Koalicja skurczyła się do 30 proc. populacji USA, kręgu otumanionych wyznawców jego kultu. To główna tajemnica klęsk polityków jego partii także w wiejskim interiorze i pasie biblijnym. Do tego dołożyło się forsowanie przez Trumpa kandydatów słabych, których poparł, bo byli mu stuprocentowo oddani, jak Ken Paxton w Teksasie, lub dlatego, że nosili dobre nazwiska, jak siostra zmarłego senatora Lindseya Grahama, Darline.

Demokraci odwrotnie – wystawili kandydatów do Senatu jak najlepszych. Przeciwnik Paxtona, były nauczyciel i seminarzysta James Talarico, przyciągał wyborców swą pasją i charyzmą, zadając kłam insynuacjom prawicy, że dla „męskiego" Teksasu jest za miękki. Jego 12-procentowa przewaga była równie sensacyjna jak wygrana Giny Hinojosy z faworyzowanym gubernatorem stanu, Gregiem Abbottem. Hinojosa będzie pierwszą w historii

eprasa.pl fe2da71bd4



W rolniczym i konserwatywnym Iowa, stanie, który demokratyczny senator reprezentował na Kapitolu ponad 90 lat temu, paraolimpijczyk Josh Turek pokonał swą republikańską przeciwniczkę Ashley Hinson.



Z Michigan Demokraci wysłali do Waszyngtonu pierwszego w dziejach USA senatora muzułmańskiego, błyskotliwego Abdula El-Sayeda. Trumpowi nie pomogło nazywanie go dżihadystą.

ka kartka

Teksasu Latynoską u steru tego ogromnego południowego stanu, przez 40 lat zdominowanego przez Republikanów.

W Kansas, gdzie kandydaci GOP (czyli Wielkiej Starej Partii, jak nazywają siebie Republikanie) do Białego Domu wygrywali z dwucyfrową przewagą, zwyciężył Demokrata, pastor Kościoła metodystów, Adam Hamilton. W rolniczym i konserwatywnym Iowa, stanie, który demokratyczny senator reprezentował na Kapitolu ponad 90 lat temu, paralimpijczyk Josh Turek pokonał swą republikańską przeciwniczkę Ashley Hinson. Z Michigan Demokraci wysłali do Waszyngtonu pierwszego w dziejach USA senatora muzułmańskiego, błyskotliwego Abdula El-Sayeda. Trumpowi nie pomogło nazywanie go dżihadystą. Rewelacje przyniosły wybory w południowym pasie biblijnym. Wygranej Demokratów: Roya Coopera w Karolinie Północnej i Jona Ossofa w Georgii, należało się spodziewać, ale ich partia odebrała Republikanom senatorski mandat także w Karolinie Południowej, twierdzy GOP; zdobyła go Annie Andrews, pokonując wspomnianą Darline Graham. A na fotel gubernatora Georgii mieszkańcy tego stanu wybrali Keishę Lance Bottoms, pierwszą w historii USA czarnoskórą kobietę na tym stanowisku.

Personalnych precedensów tego rodzaju było w Midterms więcej. Najważniejszy to wyniesienie na urząd przewodniczącego Izby Reprezentantów lidera demokratycznej mniejszości Hakeema Jeffriesa, pierwszego czarnego polityka na tym trzecim w hierarchii władzy w USA stanowisku. Pierwszym latynoskim gubernatorem Kalifornii został Demokrata Xavier Becerra, a na Florydzie na analogiczny urząd wybrany został pierwszy Afroamerykanin, republikański kongresmen Byron Donalds. Minnesota wybrała do Senatu Peggy Flanagan, pierwszą kobietę senatora o indiańskich korzeniach. Stolica USA, Washington DC, doczekała się pierwszego burmistrza członka DSA, Demokratycznych Socjalistów Ameryki, Janeese Lewis George, a New Hampshire pierwszego w dziejach senatora jawnego geja, Demokraty Chrisa Pappasa. Polityczna mapa kraju nadąża za jego demograficzną ewolucją. Ameryka jest mozaiką etnicznych, rasowych i religijnych grup, więc w jej władzach wszystkich szczebli rosnącą rolę odgrywają dyskryminowane kiedyś mniejszości i kobiety.

Skala zwycięstwa Demokratów usunęła przewidywaną groźbę nieuznawania przez Trumpa wyników głosowania. Prezydent nie wspomina o wyborczych oszustwach. Jako winnego porażki wskazał telewizję Fox News, słabo, jego zdaniem, wywiązującą się z roli jego propagandowej tuby. Powtarza, że Republikanie by wygrali, gdyby on także z nimi kandydował. Zachowuje się tak, jakby nic się nie stało. Nazajutrz po wyborach kazał się filmować na budowie sali balowej. Wiceprezydent J.D. Vance oświadczył, że Republikanie przegrali „z powodu wojny". To jego pierwsza próba zdystansowania się od Trumpa. Będzie próbował ratować swe szanse na Biały Dom, sugerując, że był przeciwny inwazji na Iran. Zdaniem komentatorów mało kto da się na to nabrać.

Po klęsce rezygnację z funkcji przewodniczącego Izby Reprezentantów ogłosił Mike Johnson, który przed wyborami wmawiał mediom, że sondaże kłamią. Czołowi konserwatywni komentatorzy, jak Jim Geraghty i Peggy Noonan, przekonują republikański establishment, że partia musi się „zmienić", tzn. zerwać z Trumpem i powrócić do tradycyjnych konserwatywnych zasad. Przewiduje się burzę w szeregach GOP, posłusznej dotąd prezydentowi, ale od inwazji Iranu buntującej się przeciw niemu, chociaż po cichu. – *Trump jest wciąż potężny i Republikanie boją się, że ich nazwiska znajdą się w jego wpisach w sieci. Zachowa prawdopodobnie silne wpływy w prawyborach prezydenckich i może nawet próbować kontrolować partię po odejściu z urzędu* – mówi politolog z George Washington University, Todd Belt. Nie wszyscy się z tym zgadzają.

Najbliższe miesiące będą prawdopodobnie okresem walk między lojalistami Trumpa z MAGA a Republikanami starej szkoły, jak Mitch McConnell, czy dotychczasowy lider większości John ▶

© BRANDON BELL/GETTY IMAGES, RONALDO SCHEMIDT/AFP/EAST NEWS, VINCENT ALBAN/REUTERS/FORUM, BRIAN SNYDER/REUTERS/FORUM

eprasa.pl fe2da71bd4

▶ Thune. Prognozy co do wyniku tej rozgrywki są różne. Pogłoski o agonii ruchu trumpistów mogą się okazać przedwczesne. Można też oczekiwać poszukiwania kozłów ofiarnych. Do roli tej najbardziej nadaje się sekretarz wojny Pete Hegseth, ostro krytykowany także przez Republikanów. Trump nie będzie miał skrupułów, by go poświęcić.

A co zrobią ze swą wygraną Demokraci? Głosowanie na nich było przede wszystkim protestem przeciw Trumpowi. Ich kampania opierała się na potępianiu prezydenta, a nie na propozycjach alternatywy dla jego polityki. Wybierając Demokratów, Amerykanie mogli wszak liczyć, że przyniesie to poprawę ich materialnej sytuacji. Przyszły przewodniczący Izby Reprezentantów, Hakeem Jeffries, zapewnił, że tym się głównie zajmą zwycięscy legislatorzy. Radzi tak cały prawie prodemokratyczny komentariat.

Problem w tym, że mimo dominacji w Kongresie Demokratom może zabraknąć sprawczości. Obniżenie inflacji i inne sposoby podreperowania domowych budżetów Amerykanów wymagałyby takich posunięć jak wspomniana przez Jeffriesa podwyżka płacy minimalnej, przywrócenie wygasających dotacji do ubezpieczeń zdrowotnych i sfinansowanie tego przez podatki od multimilionerów. Trump jednak będzie prawdopodobnie wetował takie inicjatywy. Po wyborach powiedział wprawdzie, że gotów jest „współpracować z Demokratami", ale także, że będzie „Mister Veto". Nie jest takim prezydentem jak Clinton, który po utracie demokratycznej większości wybrał strategię pozycjonowania się między obu partiami i współpracy z opozycją. Zagrożony procesami po odejściu z urzędu, musi dbać o dobre relacje z Republikanami.

Jeżeli Kongresowi nie uda się przeforsować ustaw poprawiających byt Amerykanów, Demokraci będą się starali w inny sposób uzasadnić pożytek ze swej dominacji na Kapitolu. Większość w Senacie daje im możliwość blokowania tam nominacji prezydenckich do gabinetu i sądów federalnych. Większość w obu izbach – prawo rozliczania rządu przez wszczynanie dochodzeń w kongresowych komisjach, z wzywaniem na przesłuchania dygnitarzy rządu, z jego szefem w Białym Domu włącznie. Mają też prawo inicjowania procedury impeachmentu prezydenta i członków jego gabinetu. Domaga się tego wielu demokratycznych liderów. Przypominają, że korupcja, nadużycia władzy i szkodliwe dla kraju działania Trumpa w pełni uzasadniają taki krok.

Perspektywa jest kusząca, ale stratedzy demokratycznego establishmentu i ich sympatycy w mediach odradzają realizację tego pomysłu. Szanse na sfinalizowanie impeachmentu przez usunięcie prezydenta z urzędu są nikłe – do 56 Demokratów musiałoby się przyłączyć 10 senatorów republikańskich, by uzyskać potrzebną do tego superwiększość 2/3 Senatu, na co raczej trudno liczyć. A wygrana przysporzy tylko Trumpowi popularności, co się zdarzyło w przeszłości. Prawdopodobne jest więc tylko wszczęcie impeachmentu wobec najbardziej skompromitowanych jego pretorian, jak wspomniany Hegseth, dyrektor FBI Kash Patel albo sekretarz zdrowia R.F. Kennedy jr. Lista ich przewinień jest długa – od marnowania arsenału broni w wojnie z Iranem, utajniania kartoteki Epsteina, po zabójstwa demonstrantów protestujących przeciw polowaniom na imigrantów i po epidemię odry w związku z antyszczepieniową kampanią rządu.

Stratedzy Demokratów odradzają impeachment także dlatego, że Amerykanie ich zdaniem nie chcą, by zwycięska partia skupiała się na Trumpie i rozliczeniach jego osoby. Wyborców interesują ceny paliw i procenty kredytów hipotecznych. To prawda w odniesieniu do „przeciętnego Amerykanina", niezbyt interesującego się polityką. Ale w Partii Demokratycznej nie przypadkiem urosło w siłę jej lewe, progresywne skrzydło, domagające się daleko idących zmian w kraju, redystrybucji narodowego majątku i zwiększenia praw mniejszości. Jego politycy najgłośniej wzywają, by Trumpa i jego kamarylę postawić przed sądem.

W wyniku wyborów połówkowych w nowym Kongresie znajdzie się więcej progresywistów. Do Izby Reprezentantów wybrano co najmniej siedmioro (liczenie głosów jeszcze trwa) członków DSA, czyli Demokratycznych Socjalistów Ameryki, lewicowego ugrupowania działającego w Partii Demokratycznej. Socjaliści – a właściwie socjalistki – będą także burmistrzyniami dwóch kolejnych – po Nowym Jorku – wielkich miast: Waszyngtonu i Los Angeles. Część postępowców odżegnuje się od etykietki DSA, ale nie od jego programu. Niektóre propozycje socjalistów, jak podatki od miliarderów, ukrócenie wpływów megakorporacji czy powszechne, finansowane z podatków, państwowe ubezpieczenia zdrowotne, popiera większość Amerykanów. Inne, bardziej radykalne – likwidacja ICE, szersze otwarcie granic i więzień, reparacje za niewolnictwo nie mają większościowego poparcia i prawicy łatwiej nimi straszyć Amerykanów.

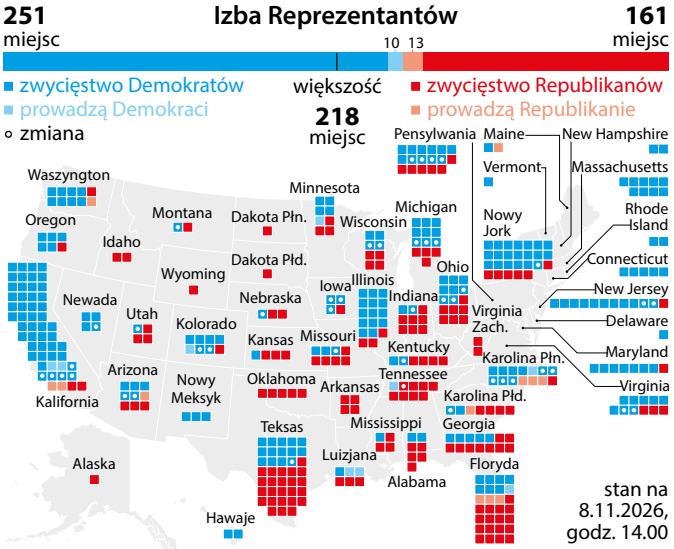
Ogromna w rezultacie Midterms przewaga Demokratów w Izbie Reprezentantów usunęła zapowiadane ryzyko, że partia stanie się zakładnikiem socjalistów, co groziłoby, gdyby od Republikanów dzieliło ich tylko kilka mandatów. Wśród nowych demokratycznych członków Kongresu przeważają politycy umiarkowani, optujący za ponadpartyjną współpracą i zmianami w drodze stopniowych, cząstkowych reform. Z nowych senatorów tylko El-Sayed głosi rewolucyjne hasła. Lewica płynie jednak na wznoszącej fali. Jej przywódcy: senator Bernie Sanders i kongresmenka Alexandria Ocasio-Cortez będą naciskać, by dotychczasowych liderów partii w Kongresie: Hakeema Jeffriesa w Izbie i Chucka Schumera w Senacie zastąpić nowymi, gotowymi na konfrontację z prawicą.

Demokratyczna lewica nie słucha sugestii strategów, by w programie i retoryce partii skupić się na gospodarce, nierównościach i materialnych kłopotach Amerykanów. Forsuje problemy kulturowo-społeczne, jak prawa osób LGBT, imigracja, przestępczość i polityka tożsamości. Radykalizm progresywistów jest na rękę Republikanom, bo w wielu takich kwestiach, jak prawa transseksualistów, nielegalna imigracja czy reparacje dla Afroamerykanów większość populacji jest wciąż dość konserwatywna. Prawica będzie też wykorzystywać rozterki Demokratów wokół polityki USA wobec Izraela oskarżanego przez lewicę o zbrodnie wojenne i ludobójstwo.

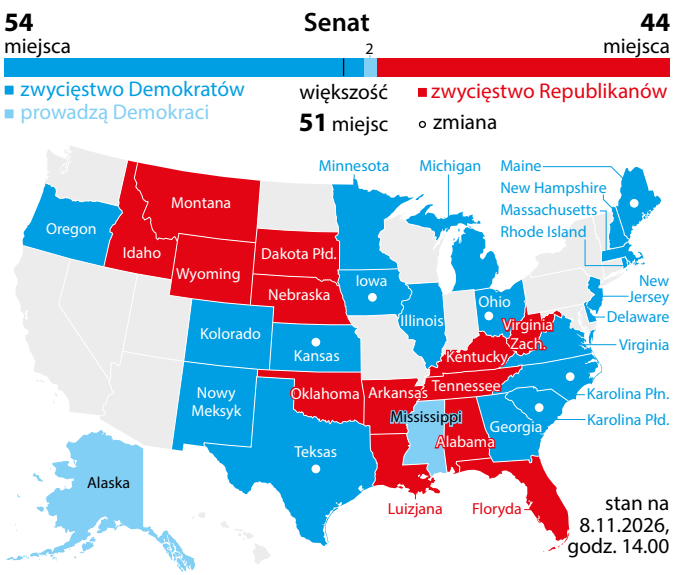
Niezwykła skala zwycięstwa Demokratów w Midterms – niepokoją się niektórzy – może wprawić ich w euforię triumfalizmu i nakręcać, by „pójść na całość". Triumfatorzy mogą zapomnieć, że wybory były głównie głosowaniem przeciw Trumpowi, a nie za Partią Demokratyczną, która według sondaży cieszy się tylko troszkę większym zaufaniem Amerykanów niż GOP. Po 3 listopada polityczni bukmacherzy podwyższyli szanse wygranej demokratycznego kandydata w wyborach do Białego Domu w 2028 r. do 66 proc. Jeżeli jednak kwestie kulturowe i polityka tożsamości znowu zdominują program Demokratów i prawicy uda się przekonać masy wyborców, że to „komuniści", „promotorzy zboczeń"

eprasa.pl fe2da71bd4

Wyniki wyborów połówkowych w USA



Wyniki wyborów połówkowych w USA



i „dżihadyści", szanse demokratycznej prezydentury za dwa lata będą topnieć. Amerykanie zdają się nie lubić nadmiernego odchylenia politycznego wahadła kraju. W XXI stuleciu, jak zauważono, wraca ono w przeciwną stronę szybciej niż kiedyś.

Będąc w tarapatach w kraju – gdzie będzie mógł rządzić już tylko prezydenckimi dekretami – Trump skieruje zapewne swą aktywność na arenę międzynarodową. Ma tu wolną rękę – polityka zagraniczna to w praktyce wyłączna niemal domena prezydenta. Znając jego dokonania na tym polu i wiedząc, jakich ma doradców i dyplomatów, trudno się z tego cieszyć. Naczelna redaktor „The Economist" Zanny Minton Beddoes niepokoi się, że sfrustrowany Trump zrobi „coś szalonego" na świecie. W swojej pierwszej kadencji gotów był wycofać wojska amerykańskie z Korei Południowej, ale powstrzymali go przed tym „dorośli" w Białym Domu. Dziś ich nie ma, otoczony jest przez pochlebców i potakiewiczów. A zdaniem znanego konserwatywnego publicysty Davida Fruma zdolny jest do wielu jeszcze destrukcyjnych działań. „Nie obchodzi go przyszłość jego partii ani kraju. Najgorsze jeszcze przed nami", napisał autor w „The Atlantic".

Po wyborach połówkowych Demokraci mają środki powstrzymywania szaleństw Trumpa. Kontrolując kluczowe komisje Kongresu: budżetowe, sił zbrojnych i spraw międzynarodowych, mogą blokować rządowi finansowanie pomocy zagranicznej, wojskowej i eskapad wojennych. Fakt, że mogą, nie przesądza, czy spróbują obciąć fundusze na wojnę z Iranem. To zawsze krok politycznie ryzykowny, bo naraża na zarzut, że wystawia się na niebezpieczeństwo naszych walczących chłopców.

W sprawie wojny w Ukrainie Demokraci zajmowali bardziej antyrosyjskie stanowisko niż posłuszni Trumpowi Republikanie z America First. Popierali inicjatywy pomocy dla Kijowa i sankcji nakładanych na reżim w Moskwie, razem z mniej licznymi niż kiedyś republikańskimi jastrzębiami w Kongresie. – *Wybory połówkowe są ogromnym zwycięstwem dla Ukrainy. Uzyska teraz znacznie większe poparcie w Izbie Reprezentantów i Senacie, a Trumpowi trudniej będzie nadal brać stronę Putina* – mówi historyk z American University, Allan Lichtman, autor bestsellerowej książki „Great American Presidents". Zdaniem Iana Brzezinskiego, eksperta militarnego z Atlantic Council, Demokraci będą mogli blokować prezydentowi fundusze na plany wycofywania wojsk amerykańskich z Europy. – *Republikanie poprą taką ustawę i uzyska ona większość odporną na weto Trumpa* – mówi Brzezinski.

To optymistyczne przewidywania, ale nie wiadomo, jak z tym będzie. – *Wzrasta szansa na ustawy o sankcjach i zwiększeniu pomocy dla Kijowa, ale Biały Dom może zwlekać z realizacją postanowień ustaw, więc nie oczekuję wielkiej zmiany* – mówi Dalibor Rohac, do niedawna ekspert konserwatywnego American Enterprise Institute. Trump nieraz nie wykorzystywał funduszy wyasygnowanych dla rządu przez Kongres. Poza tym część nowo wybranych Demokratów to polityczni debiutanci o nieznanych bliżej poglądach na tematy globalne. W nowym Kongresie nie znajdzie się też – wskutek rezygnacji z reelekcji lub przegranych wyborów – wielu promotorów pomocy dla Ukrainy, członków „konwentykla ukraińskiego" w Kongresie, jak republikańscy kongresmeni: Mike Turner, Brian Fitzpatrick i Mike Lawler.

Bezpośrednie konsekwencje Midterms dla polityki zagranicznej USA nie muszą być wielkie, ale warto na to spojrzeć z głębszej geopolitycznej perspektywy. Czyż klęska Trumpa nie oznacza także odrzucenia przez Amerykanów jego wizji świata, w której pokój i stabilizację zapewnia nie system zbiorowego bezpieczeństwa oparty na multilateralnych porozumieniach, lecz równowaga sił między mocarstwami?

– *Połówkowe wybory były ciosem dla „strategii Jałty", gdzie świat dzieli się na strefy wpływów. Wiele zależy teraz od tego, czy triumfujący Demokraci i skarceni Republikanie potrafią uformować skutecznie działającą koalicję na rzecz wolnego świata w takich sprawach jak NATO, Ukraina i Rosja. Jest to możliwe i potrzebne* – mówi były ambasador USA w Warszawie Daniel Fried.

Potrzebne na pewno, ale nie wiemy, czy i kiedy taka koalicja powstanie. Nie wiemy, czy czerwona kartka dla Republikanów zwiastuje także zmierzch nacjonalistycznej i izolacjonistycznej ideologii America First. Na razie pozostaje się cieszyć, że amerykańska demokracja, w którą zaczynano wątpić, zdała swój egzamin. Wzorowo.

TOMASZ ZALEWSKI

© LECH MAZURCZYK (2)

eprasa.pl fe2da71bd4

Kręty kurs Tuska

W miarę zwycięska batalia o Trybunał to na razie sukces taktyczny, wymagający kolejnych etapów. Koalicja pokazała determinację i „sprawczość", o której deficyt tak często bywała oskarżana. Ale czy to paliwo na dłuższą metę?

RAFAŁ KALUKIN



eprasa.pl fe2da71bd4

Zmiana w Trybunale Konstytucyjnym została przeprowadzona, a następnie transparentnie zatwierdzona przez nowy skład sędziów. Poprzednia wersja TK była na tyle już skompromitowana, że podjęta przez PiS próba wywołania realnego społecznego oporu okazała się nieudana. Uliczne protesty przeciwko „zamachowi stanu" stały się niezamierzoną parodią oddolnego zrywu szczerych obrońców demokracji sprzed dekady.

Prawicowi konkurenci też zresztą wkrótce ochłonęli. O ile na początku „zamachu stanu" zaskoczeni wydarzeniami Sławomir Mentzen i Krzysztof Bosak wtopili się w pisowskie tło narracyjne, o tyle już nazajutrz się z niego sprawnie wyplątali, pozostawiając Kaczyńskiego w roli samotnego Rejtana na izolowanym szańcu. Ich przejście do obozu zwolenników „resetu konstytucyjnego" nie mogło oczywiście dziwić, bo nie mieli interesu w tym, żeby bronić partyjnej przybudówki prawicowego rywala.

Dla Kaczyńskiego naprawdę przykrym zaskoczeniem musiała być jednak późniejsza wypowiedź Nawrockiego, który po odegraniu roli twardziela na trybunalskim korytarzu tak samo wolał się odkleić od twardej linii swojego patrona i dał do zrozumienia, że jednak bliżej mu do „resetu". Jego poprzednikowi Andrzejowi Dudzie w czasach rządów PiS podobny akt niesubordynacji poszedłby mocno w pięty. Ale dzisiejszy Kaczyński już nie może sobie pozwolić na reprymendy pod adresem prezydenta, co również stanowi miarę jego słabości.

Kolejna prowizorka

Za to koalicja rządząca ustała w szyku i jeżeli nawet dobiegły z jej wnętrza głosy odrębne, nie naruszyło to ogólnej spójności. Każdy z koalicjantów po prostu grał swoją scenariuszową rolę. Zwolenników radykalnych rozwiązań zagospodarowała Koalicja Obywatelska, do której dołączyła Lewica. W szeregach tej ostatniej co prawda na początku dało się zauważyć pewną dezorientację, o czym świadczył krytyczny wpis w mediach społecznościowych szefowej klubu Anny Marii Żukowskiej, która jednak szybko została przywołana do porządku przez lidera partii.

Chociaż można było oczywiście przewidzieć, że nie każdy zwolennik obecnej władzy przejdzie do porządku dziennego nad zastosowaną karkołomną konstrukcją prawną oraz policyjną osłoną przewrotu w Trybunale. Odpowiedzią na ich wątpliwości były dystansujące się wypowiedzi Szymona Hołowni i Władysława Kosiniaka-Kamysza, a później zgłoszona przez tego drugiego konkretna już inicjatywa „resetu". Słabo rozumiejący meandry tej gry niektórzy posłowie KO skrytykowali w mediach ludowca za „wyjście przed szereg", ale już reakcja samego Donalda Tuska była ogólnie życzliwa. I nic dziwnego, gdyż premier dostał ważne narzędzie do podjęcia gry z prezydentem.

Kolejny raz dało o sobie znać jego polityczne doświadczenie. Szybko zorientował się, że kryzys nie wyleje się z przewidywalnych politycznych ram, co pozwoli mu kontrolować sytuację. I kiedy już ugrał swoje cele, mógł pozwolić się wyszumieć Nawrockiemu na zwołanej przez niego Radzie Bezpieczeństwa Narodowego, po czym zaproponował prezydentowi rozmowę w cztery oczy o sposobach wyjścia z kryzysu. Wzmacniając zaproszenie niby to wspaniałomyślnym, a tak naprawdę niezbędnym dla utrzymania kondycji finansowej państwa wygaszeniem równoległego sporu o obsadę zarządu Narodowego Banku Polskiego.

Zaproszenie do dialogu na szczycie to jednak umiejętnie zastawiona pułapka. Nawrocki z pewnością nie planował rozmów z Tuskiem o Trybunale, a już zwłaszcza w warunkach narzuconych przez premiera. Tyle że takie zaproszenie trudno mu było odrzucić, zwłaszcza po tym, gdy sam zdążył już się opowiedzieć za „resetem". Najlepiej byłoby wyjść Nawrockiemu z własną inicjatywą, która jednak siłą rzeczy mogła być co najwyżej wariantem scenariusza już przedstawionego przez Kosiniaka-Kamysza. Całkiem skądinąd sensownego, tyle że w obecnych realiach politycznych wyłącznie utopijnego. Ostatecznie więc Nawrocki spotkanie odwołał.

Ale też Tuskowi nie chodziło o to, żeby się z Nawrockim w czymkolwiek dogadać, a jedynie omotać go przynajmniej na jakiś czas dialogiem, pokazując własną dobrą wolę i szczerą państwową troskę. A Trybunał w nowym składzie dostałby dzięki temu trochę czasu i spokoju na wewnętrzne zorganizowanie się. Ten scenariusz, tak czy inaczej, jest realizowany. Tylko co dalej?

Niewątpliwie ekipie Tuska nie zaszkodzi odnowienie więzi z najtwardszym elektoratem, który delektował się widowiskowo przeprowadzoną ofensywą na newralgicznym odcinku praworządności i zbyt dobrze pamięta upokorzenia za rządów PiS, żeby dzielić teraz włos na czworo i wnikać w ustrojowe zawiłości.

Ale zarazem nic nie wskazuje, żeby problem Trybunału Konstytucyjnego sam w sobie wypełniał wyobraźnię szerszych grup wyborców, co już wiadomo od czasu jego pierwotnej destrukcji w latach 2015–16. Jak niemal wszystko w polskiej polityce, temat zapewne niedługo spadnie z bieżącej politycznej agendy, przykryty kolejnymi zdarzeniami. Kampanii wyborczej się na nim raczej nie zbuduje.

Niemniej kwestia oczekiwań politycznych pozostaje wtórna wobec realnych ograniczeń „odzyskanego" Trybunału. Bo jak od niego oczekiwać, że będzie skutecznie zapobiegać erozji prawa, skoro sam został ustanowiony na skorodowanych formułach prawnych? Nie miejsce tu na przedstawianie wszystkich sprzeczności, o które spierają się prawnicy (więcej o tym w tekście Ewy Siedleckiej na s. 18). Zresztą w tej konstrukcji niemal wszystko jest najeżone proceduralnymi wątpliwościami.

Wybrana przez obecną większość ósemka sędziów znalazła się zatem w wyjątkowo niewdzięcznym położeniu, skoro ich przetrwanie w obecnej roli (a być może też osobiste bezpieczeństwo) zależy od wyniku przyszłorocznych wyborów. I chociaż nie należy od razu zakładać, że będą sędziami „na telefon", jak w czasach Julii Przyłębskiej, ten rodzaj zależności z pewnością będzie im ciążył w orzekaniu każdej w miarę istotnej politycznie sprawy. A przecież pole interpretacyjne w sądownictwie konstytucyjnym jest bardzo szerokie i nietrudno doszukać się w wyrokach intencji politycznych nawet tam, gdzie ich tak naprawdę nie ma. Ciężko więc będzie sędziom zmyć z siebie grzech pierworodny wynikający z politycznego osadzenia. A obecność w składzie Macieja Berka dodatkowo wzmacniać będzie zarzuty o brak autonomii. Całość sprawia więc wrażenie kolejnej prowizorki.

Rozumność i racjonalność

Ale czy można było inaczej? Takie pytanie stawiają dzisiaj wątpiącym zagorzali orędownicy „odzyskania" Trybunału. Traktując je retorycznie, bo być może faktycznie nie było innego sposobu na pozbycie się Bogdana Święczkowskiego i jego popleczników. Tyle że w polityce nadmierny aktywizm niekoniecznie musi być cnotą i czasem lepiej poczekać ze zmianą na bardziej ▶

© SERGEI GAPON/AFP/EAST NEWS

eprasa.pl fe2da71bd4

▶ sprzyjający moment. Rząd Tuska nie miał jednak czasu, gdyż organiczna ścieżka cierpliwego obsadzania wakatów zajęłaby jeszcze kilka lat nawet przy założeniu, że prezydent jakimś cudem postanowiłby odbierać zaprzysiężenia od nowych sędziów.

Zwyciężyła więc logika szybkich korzyści. Tuskowi wyraźnie zależało na symbolicznym trofeum do pochwalenia się przed wyborcami. A czy liczył przy okazji, że Trybunał zapewni mu wsparcie w ostatnim roku rządzenia? To kwestia delikatna, gdyż w kolejce czekają setki nierozpatrzonych po rządach PiS ustaw, z czego spora część jest w oczywisty sposób niekonstytucyjna i ma do tego niemałe polityczne znaczenie. Tyle że jednoznaczne wejście w polityczną logikę byłoby nie tylko grzechem ustrojowym, ale też zapewne obróciłoby się przeciwko obecnemu rządowi. Podobnie już było z mediami publicznymi, których ekstraordynaryjne przejęcie tak samo uzasadniano koniecznością przywrócenia standardów. Późniejsze przykłady braku obiektywizmu TVP bardziej jednak szkodziły wizerunkowi jej politycznych patronów, niż im pomagały.

Tymczasem odbicie Trybunału było operacją jeszcze większego kalibru, którą opakowano hasłami odbudowy praworządności. Na wszelki wypadek lepiej już jednak zachować do nich dystans, żeby się później nie rozczarować. Od prawdziwej praworządności wciąż dzielą nas bowiem lata świetlne i nie chodzi tutaj wyłącznie o kulawy legalizm operacji trybunalskiej. W bodaj jeszcze większym stopniu ucierpiał bowiem duch liberalnej demokracji.

Jeden z jej najwybitniejszych teoretyków John Rawls pisał przed laty, że niezbędnymi komponentami tego systemu są rozumność i racjonalność. Traktując owe pojęcia rozdzielnie. Racjonalność to zdolność znajdowania optymalnych środków do osiągania założonych celów, czego Tuskowi z pewnością nie brakuje. Ale już gorzej z rozumnością, która dla Rawlsa oznaczała wrażliwość moralną na inne stanowiska.

Amerykański myśliciel twierdził, iż rozumność pozbawiona racjonalności oznacza brak busoli i skazuje demokrację na dryf. Z kolei racjonalność bez rozumności to prosta droga do fanatyzmu i przemocy. Tymczasem warunkiem realizacji każdej koncepcji powinno być osiągnięcie poparcia. Niekoniecznie pełnego ani nawet szerokiego, wystarczy „konsens częściowy". A jak go zbudować? Rawls zalecał poszukiwanie takiej konstrukcji, w której każda ze stron znajdzie jakiś powód – zależnie od własnych przekonań bądź interesów – żeby się pod nią podpisać. Bo tylko taki model gwarantuje instytucjonalną trwałość.

Sens resetu

Nie chodzi więc o dowolny kompromis, który jedynie przywraca chwilową równowagę przy utrzymywaniu się zasadniczych różnic, co w przyszłości popychać będzie każdą ze stron do budowania przewag, żeby ów kompromis obalić. Widać to doskonale na przykładzie polskiej konstytucji, której grzechem założycielskim było to, iż została uchwalona w okrojonym i mało reprezentatywnym parlamencie, bez udziału prawicy. Kiedy jednak pod przywództwem Kaczyńskiego prawica urosła już w siłę, ustrojowy ład został zdemolowany i dzisiaj wydaje się, że powrót do wcześniejszej równowagi nie jest możliwy.

„Moralna wrażliwość" nie musi więc dzisiaj oznaczać przyzwolenia na destrukcję porządku konstytucyjnego, którego sprawcy powinni zostać kiedyś pociągnięci do odpowiedzialności. Ale jeżeli poważnie myślimy o zbudowaniu nowego i trwałego ładu, nie należy bagatelizować prawicowej wrażliwości. Z tego punktu widzenia opcja „resetu" wydaje się faktycznie najsensowniejsza. Niestety, w obecnych realiach politycznych, dopóki utrzymuje się dotychczasowa polaryzacja, nie jest on możliwy do przeprowadzenia. Trybunalski przewrót chwilowo skądinąd tę polaryzację umocnił.

Wygląda zresztą na to, że Tusk w pogoni za „sprawczością" już na dobre porzucił klasyczne recepty liberalnej polityki. Orientując się jednoznacznie na „decyzjonizm", którego zręby stworzył przed stu laty być może najbardziej radykalny krytyk liberalnej demokracji i twórca teorii suwerenności władzy Carl Schmitt.

Będąc świadkiem kryzysu Republiki Weimarskiej, niemiecki teoretyk prawa doszedł do wniosku, że prawo traci swoje regulacyjne zdolności w sytuacjach skrajnych. Kiedy więc państwo wypada z własnych kolein, konieczne staje się zawieszenie normalnych procedur. Tym samym otwiera się przestrzeń do podjęcia politycznej decyzji ponad porządkiem prawnym.

W „Teologii politycznej" (1922) Schmitt ogłosił swoją najsłynniejszą formułę: „Suwerenny jest ten, kto decyduje o stanie wyjątkowym". I było to ostateczne już zerwanie z konstytucjonalizmem, gdyż wyjątek stał się nową regułą rządzenia państwem, jego zasadniczą filozofią. Te abstrakcyjne z początku rozważania zaprowadziły później ich autora do poparcia hitleryzmu. A w latach 90. ubiegłego stulecia, wydobyte z zapomnienia przez młodą prawicową inteligencję znad Wisły, stały się inspiracją dla Jarosława Kaczyńskiego w jego krucjacie przeciwko „imposybilizmowi" III RP.

Świadomość ryzyka

Rządy PiS odbywały się w logice nieformalnego stanu wyjątkowego, chociaż nie było ku temu najmniejszych podstaw. W efekcie stary ład został zniszczony i pomimo początkowych nadziei dzisiaj już nie mamy wątpliwości, że jego odbudowa na gruncie legalizmu nie jest możliwa. Z tego przeświadczenia stopniowo wyłaniała się zatem konieczność ustanowienia kolejnego stanu wyjątkowego, działania ponad regułami, tyle że tym razem mającego na celu liberalną restaurację.

Niewykluczone zresztą, że Schmitt by temu przyklasnął, gdyż osobiście gardził prawniczym legalizmem, stawiając wyżej polityczną prawomocność. A czy jest w polskiej polityce ktoś bardziej władczy niż Tusk?

Tylko że na koniec pozostajemy z zasadniczym dylematem. Bo czy obrana przez Tuska droga faktycznie nadal wiedzie do odnowienia liberalnego systemu? Kiedy w swoich decyzjach krok po kroku przejmuje po poprzednikach kolejne narzędzia suwerennej władzy, w coraz większym stopniu staje się ona zasadą organizacyjną państwa i kolejnym etapem w ewolucji modelu „suwerennej demokracji". Jego patronat nad przewrotem w Trybunale Konstytucyjnym nie był przecież odosobniony. Wcześniej mieliśmy zmiany w mediach publicznych i prokuraturze, które tak samo były efektem instrumentalizacji prawa. Coraz bardziej zaciera nam się granica pomiędzy wyjątkiem i normą.

I to najlepiej obrazuje skalę zniszczenia kultury politycznej. Chociaż ten proces miał swój początek w rządach PiS, coraz większa część odpowiedzialności spada również na następców. Nawet jeśli logika tego procesu może się wydawać politycznie uzasadniona, warto mieć świadomość ryzyka i czujnie obserwować, w którą stronę idziemy.

RAFAŁ KALUKIN

eprasa.pl fe2da71bd4

Lenovo



Przywództwo jest już tutaj.

Wspieraj innowacje od wewnątrz dzięki **Lenovo Copilot+PC**

Dowiedz się więcej

Copilot+PC

Niektóre funkcje komputerów Copilot+PC wymagają bezpłatnych aktualizacji.
Zobacz: aka.ms/copilotpluspcs.

eprasa.pl fe2da71bd4

Kodeksy na szaniec



Wokół Trybunału Konstytucyjnego toczy się spór uliczny, polityczny i prawny. Ten prawny jest niesłychanie ciekawy, bo przebiega w poprzek „plemiennych” podziałów.

EWA SIEDLECKA

ILUSTRACJA **SYLWIA MARKIETA**

„Odbijanie” Trybunału Konstytucyjnego to hasło polityków. Oznacza wojnę o wpływy. Politycy chętnie poszerzają swoją władzę, ale gdyby nowo wybrani sędziowie utożsamiali się z widzeniem swojej obecnej misji w Trybunale jako odbijania, znaczyłoby to, że nie nadają się do roli sędziów. W tej roli bowiem ich zadaniem powinny być działania na rzecz przełamania pata w Trybunale i doprowadzenia do tego, by zaczął pełnić swoją konstytucyjną funkcję niezależnie i w pełnym składzie.

Niestety, wydaje się, że presja polityczna na jak najszybsze „odbicie” Trybunału zmniejszyła szansę na dogadanie się starych sędziów z nowymi. A bez tego normalizacja sytuacji w Trybunale nie jest możliwa. Ale może sędziowie sami uznali, że początek zaduszkowego weekendu to dobry moment na rozpoczęcie działań. Zresztą ośmioro nowych sędziów to nie monolit, są wśród nich gołębie i jastrzębie. I kontrowersje. Choć ostatecznie działają razem.

W każdym razie na zwołane przez tymczasowo kierującą Trybunałem sędzię Annę Korwin-Piotrowską zgromadzenie ogólne sędziów TK nie przyszedł żaden ze starych sędziów. Nie przeszkodziło to w stwierdzeniu kworum (o czym dalej), dzięki czemu uchwalono plan budżetu i zagwarantowano pieniądze na funkcjonowanie Trybunału w przyszłym roku. Ale jakie funkcjonowanie?

Ważności uchwalenia budżetu raczej nikt nie będzie kwestionował. Całą resztę – owszem. Opozycja już ogłosiła, że wszystko, co zrobiono, jest nieważne, bo sędzia Korwin-Piotrowska jest uzurpatorką, bo nie miała podstawy prawnej, by tymczasowo przejąć władzę w Trybunale, a na zgromadzeniu ogólnym nie było kworum. A także, że to, co się stało, było zamachem stanu.

Również prawnicy podzielili się w ocenie tego, co się dzieje w Trybunale. I to z tej samej propraworządnościowej

eprasa.pl fe2da71bd4

opcji. Po pierwsze, różnią się opiniami, czy należy próbować odbudować i uruchomić obecny Trybunał, skoro i tak nie będzie miał społecznego zaufania, czy też wybrać nowy w procedurze, która uwzględni opozycję, czyli większością trzech piątych głosów, co zaufanie odbuduje. To jednak utopia, ponieważ wymagałaby „resetu konstytucyjnego", na który nie ma zgody trzech największych sił politycznych: KO, PiS i prezydenta. Uważają, że mogą zyskać więcej władzy w TK bez „resetu", więc nie mają interesu w porozumieniu.

Byli prezesi TK w oświadczeniu wsparli obecną próbę uruchomienia Trybunału. Z kolei zarząd Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka wydał oświadczenie o konieczności „resetu". W odpowiedzi do dymisji podała się większość Rady Fundacji, z byłym sędzią TK prof. Mirosławem Wyrzykowskim i byłą zastępczynią RPO dr Hanną Machińską. To pokazuje temperaturę sporu w obozie obrońców praworządności.

Niemniej gorący spór idzie o podstawę prawną odsunięcia od obowiązków prezesa i wiceprezesa TK przez sędzię Annę Korwin-Piotrowską. Podziały prawne idą w poprzek politycznych. Jedni uważają, że przekroczono granice interpretacji przepisów (m.in. prof. Marcin Matczak). Drudzy – że zmieszczono się w dopuszczalnych granicach (np. prof. Ewa Łętowska).

Sędzia Korwin-Piotrowska swoje prawo przejęcia obowiązków prezesa opiera na art. 11 ust. 2 ustawy o organizacji i funkcjonowaniu TK: „od dnia powstania wakatu do czasu powołania Prezesa Trybunału pracami Trybunału kieruje sędzia Trybunału posiadający najdłuższy, liczony łącznie, staż pracy". Tyle że wakatu na stanowisku prezesa TK nie ma. Jest jedynie „czasowe odsunięcie go od obowiązków". Jednak z drugiej strony nie może być sytuacji bez wyjścia. Np. w 2016 r. Trybunał Konstytucyjny pod przewodnictwem prezesa Andrzeja Rzeplińskiego osądził pisowską ustawę o TK, działając według przepisów starej, uchylonej ustawy, bo inaczej nie mógłby nowej ustawy osądzić. I Komisja Wenecka oceniła, że miał do tego prawo, bo ustawa powinna była być osądzona, a nie może być sytuacji bez wyjścia.

Kolejna kontrowersja: ustawa o statusie sędziów TK (art. 30) przewiduje, że w sprawach w niej nieuregulowanych stosuje się ustawę o ustroju sądów powszechnych. Art. 130 ust. 2 tej ustawy mówi, że jeśli wymaga tego m.in. powaga sądu lub istotne interesy służby, natychmiastową przerwę w czynnościach sędziego, który jest prezesem sądu, zarządza minister sprawiedliwości (w przypadku zwykłego sędziego – prezes sądu). Sędzia Korwin-Piotrowska ministrem nie jest. Jednak gdyby prezesa TK w czynnościach zawiesił minister, czyli członek rządu, byłaby to sytuacja niekonstytucyjna, bo chodzi o sąd konstytucyjny. Znowu: nie może być sytuacji bez wyjścia.

Wreszcie kwestia kworum na zgromadzeniu ogólnym. Art. 8 ustawy o funkcjonowaniu TK mówi, że kworum to minimum dwie trzecie „ogólnej liczby sędziów Trybunału". Poprzednia ustawa z 2015 r. mówiła, że kworum to 10 sędziów TK. Jeśli ustawodawca (tu: PiS) decyduje się na zastąpienie konkretnej liczby proporcją, to nie bez powodu: musi chodzić o sytuację, gdy np. w TK nie ma wszystkich 15 sędziów lub część jest wyłączona. Tak też przyjęli nowi sędziowie: że owe dwie trzecie należy liczyć od liczby sędziów uprawnionych do głosowania. Czyli 12, odliczywszy odsuniętych od czynności prezesów, a także dublera Jarosława Wyrembaka. Dwie trzecie od 12 to 8.

Niektórzy pytają, dlaczego Wyrembak, który przyszedł na miejsce dublera, jest dublerem, a Berek, który zajął miejsce dublera, nie. Otóż Wyrembaka wybrano, gdy trwała jeszcze kadencja prawidłowo wybranego na to miejsce przez Sejm VII kadencji Romana Hausera, a Berka wybrano, gdy kadencja prawidłowo wybranego Krzysztofa Ślebzaka już się skończyła.

Kontrowersyjny jest też wniosek prokuratury o uchylenie immunitetu Bartłomiejowi Sochańskiemu. Zarzut jest ten sam, co jeden z siedmiu zarzutów dla prezesa Święczkowskiego: niedopuszczanie do orzekania nowych sędziów i złośliwe naruszanie ich praw pracowniczych. Kontrowersja polega na tym, że przecież wiceprezes zarządza Trybunałem pod nieobecność prezesa, a prezes Święczkowski nieobecny nie był. Dlatego trudno oprzeć się wrażeniu, że zarzut dla Sochańskiego służy temu, by nie stał na przeszkodzie objęcia tymczasowego kierownictwa przez sędzię Korwin-Piotrowską.

Obrazy kordonów policyjnych otaczających Trybunał Konstytucyjny i przepychanek z policją demonstrantów forsujących ogrodzenie, opatrzone komentarzami polityków opozycji o próbie siłowego przejęcia Trybunału Konstytucyjnego, wywarły złe wrażenie za granicą. Np. papież Leon XIV historię o siłowym odbijaniu TK najwyraźniej uznał za prawdziwą, skoro na niedzielnej audiencji generalnej pozdrowił polskich pielgrzymów, mówiąc: „wzywam do uznania, że pokój buduje się na sprawiedliwości, poszanowaniu prawa i dialogu, a nie na przemocy". Do tego doszły oświadczenia pierwszego prezesa SN Zbigniewa Kapińskiego i prezesa NSA Jacka Chlebnego, wyrażające zaniepokojenie szczególnie obecnością policji i niewpuszczeniem przez nią do TK prezesa Bogdana Święczkowskiego.

Pojawiły się oskarżenia o zamach stanu. Jednak o zamachu stanu nie można mówić, dopóki sędziowie działają z własnej woli, a wszystko odbywa się ich rękami. Tak nie było np., gdy władza PiS uchwałami Sejmu w 2015 r. „unieważniła" wybór pięciu sędziów przez poprzedni Sejm, nie czekając na ocenę wyboru dwóch nadmiarowych przez Trybunał Konstytucyjny.

Do oskarżeń o zamach stanu nie wystarczy, że sędziowie działają w porozumieniu z władzą wykonawczą. A o tym, że działają, świadczy synchronizacja wejścia do Trybunału nowych sędziów, w starannie wybranym momencie, z wnioskami prokuratora generalnego o uchylenie immunitetów prezesowi i wiceprezesowi TK. Świadczy też o tym ujawniona przez „Rzeczpospolitą" informacja, że wysocy funkcjonariusze policji – komendant główny Marek Boroń, komendant stołeczny Krzysztof Ogroński i jego zastępca Tomasz Znajdek – z wyprzedzeniem znali termin planowanych w Trybunale zdarzeń.

Jest jeszcze ujawniony w internecie tajemniczy rozkaz zastępcy komendanta głównego policji, nakazujący wyposażenie od 2 do 8 listopada oddziałów prewencji m.in. w broń palną krótką, środki przymusu bezpośredniego, broń palną gładkolufową z amunicją niepenetracyjną, a nawet w pistolety maszynowe. Policja wyjaśniła, że chodziło o zagrożenie „aktami sabotażu i dywersji", ale anonimowi policjanci twierdzą, że do takich celów nie używa się oddziałów prewencji. Można więc spekulować, że władza ▶

eprasa.pl fe2da71bd4

▶ liczyła się z poważnymi zamieszkani w związku z wydarzeniami w Trybunale. Jak się okazało, „odbijanie" TK nie wywołało wystarczającego wzburzenia wyborców opozycji, którzy nie wyszli masowo na ulicę. Wyszli za to w kilkunastu miastach dawni obrońcy Trybunału, w milczących pikietach na wezwanie Komitetu Obrony Demokracji.

Nie ma zakazu wstępu policji na teren Trybunału, choć nie może tam wejść bez wezwania. A wezwanie było – ze strony sędzi Anny Korwin-Piotrowskiej, powołującej się na zagrożenie bezpieczeństwa. Zagrożenie było, czego dowodem jest fakt, że demonstranci przebili się przez pierwszą policyjną zaporę, uszkodzili bramę i wraz z Bogdanem Święczkowskim dostali się za płot. Zatrzymali się na drugiej zaporze, która okazała się skuteczna. Gdyby wdarli się do Trybunału, emocje były tak wysokie, że bezpieczeństwo przebywających w nim osób mogło być zagrożone.

Zakaz wstępu dla Święczkowskiego jest kontrowersyjny. Fakt odsunięcia go od czynności nie oznacza zakazu wstępu do TK. Szczególnie że kilka godzin później wpuszczono do Trybunału wiceprezesa Bartłomieja Sochańskiego (wszedł przy okazji staranowania wejścia przez prezydenta Nawrockiego). Zakaz dla Święczkowskiego ma przeciwdziałać spodziewanym awanturom, które może w Trybunale wywoływać, zastraszaniu personelu i wynoszeniu dokumentów. Jednak według prawa przeciwdziałać temu powinna straż trybunalska, a nie zakaz wstępu.

Zawiązał się sojusz prezesów TK i Sądu Najwyższego oraz prezydenta, który ma na celu obronę *status quo ante* w Trybunale. Kiedy prezydent Karol Nawrocki, zawróciwszy z lotu do Senegalu, wdarł się nocą do Trybunału, towarzyszyli mu zawieszony wiceprezes Bartłomiej Sochański i pierwszy prezes SN Zbigniew Kapiński. Wcześniej Kapiński wydał oświadczenie, w którym „z najwyższym oburzeniem i stanowczym sprzeciwem" przyjął „informacje o działaniach podjętych dzisiaj wobec Trybunału Konstytucyjnego". Potem usiłował spowodować przyjęcie podobnej uchwały zgromadzenia ogólnego TK, ale zabrakło mu kworum, wobec czego oświadczenie sygnowało kolegium SN.

„Gazeta Wyborcza" podała nieoficjalną informację, jakoby pierwszy prezes SN zaproponował prezesowi Święczkowskiemu tymczasowe urzędowanie wraz ze starymi sędziami w gmachu Sądu Najwyższego. Gdyby prezes Święczkowski skorzystał, mógłby się tam zawiązać „Trybunał na wychodźstwie", do którego sprawy wnosić będą posłowie PiS i prezydent.

To nie koniec bratniej pomocy udzielonej przez prezesa Kapińskiego prezesom TK. Izba Odpowiedzialności Zawodowej SN przyjęła ich zażalenia na odsunięcie od czynności. Nie wiadomo, na jakiej podstawie prawnej, bo Trybunał ma własne organy dyscyplinarne i tryb postępowania przed nimi. Zażalenia okazały się krótką piłką, bo po kilku dniach zostały odesłane do Trybunału. SN uznał się za niewłaściwy, ponieważ „zakres kognicji Sądu Najwyższego nie obejmuje sędziów Trybunału Konstytucyjnego". Orzekał sędzia Zbigniew Korzeniowski.

Jaki interes może mieć pierwszy prezes SN i neosędzia Zbigniew Kapiński, oferując wsparcie odsuniętym prezesom TK? Może taki, że jeśli PiS utraci kontrolę nad Trybunałem, grozi mu utrata możliwości sądzenia i prezesowania. Stałoby się tak, gdyby Trybunał uznał np. za zgodne z konstytucją odsuwanie neosędziów od sądzenia, a za niekonstytucyjne przepisy, na podstawie których zgromadzenie ogólne sędziów SN wybiera kandydatów na pierwszego prezesa mniejszością, a nie większością głosów wszystkich sędziów SN.

Triumwirat prezydenta oraz prezesów SN i TK jest przykładem nowego rozumienia konstytucyjnej zasady podziału władz. Coś jak za PRL: niby był pluralizm partyjny, ale ZSL i SD były „stronnictwami" pod skrzydłami PZPR. Tu Sąd Konstytucyjny i Sąd Najwyższy chowają się pod skrzydła prezydenta. Niby dwie władze, ale zjednoczone. Triumwirat odzwierciedla ambicje prezydenta, żeby być nie tylko głową państwa, ale też głową rządu. Może liczy, że Trybunał Konstytucyjny pomoże mu we wprowadzeniu boczną furtką prezydenckiego systemu rządów, uznając zgodność z konstytucją kolejnych aktów poszerzania przez niego prezydenckich kompetencji? Zrobił to już z nieodebraniem ślubowania od sędziów, dając mu w ten sposób władzę nad składem Trybunału. A przynajmniej argument, że taką władzę rzekomo posiada. Z kolei Izba Kontroli Nadzwyczajnej SN może pilnować, by nie ostały się wyroki sądów kwestionujące poszerzanie sobie przez prezydenta władzy. Tak czy inaczej, szefowie dwóch najważniejszych organów sądowych w Polsce udają się pod opiekę władzy politycznej, a za przysługi się płaci.

Sędzia Anna Korwin-Piotrowska w codziennych, wyważonych i spokojnych wideokomunikatach mówi, że właśnie w Trybunale powraca normalność. Że będzie przyjęty nowy regulamin, że Trybunał osądzi przewidziane na listopad sprawy. Że trwa analiza dziesiątków tomów akt, dostarczonych przez prokuraturę razem z wnioskami o uchylenie im immunitetów.

Uruchomiono procedurę weryfikacji decyzji sędzi Korwin-Piotrowskiej o odsunięciu prezesów Święczkowskiego i Sochańskiego. Zostały w tym celu wylosowane trzyosobowe składy sądów dyscyplinarnych i rzecznicy dyscyplinarni. Losowanie było jawne, spośród wszystkich 12 orzekających sędziów. Jednym z rzeczników dyscyplinarnych został Stanisław Piotrowicz, a jednym z sędziów Rafał Wojciechowski – starzy sędziowie. Jeśli nie podejmą obowiązków, trzeba będzie losować nowych sędziów – do skutku. I nie będzie dotrzymany 30-dniowy termin na weryfikację.

Opór starych sędziów nie będzie miał natomiast wpływu na rozpatrzenie wniosków prokuratury o uchylenie immunitetów prezesom Święczkowskiemu i Sochańskiemu, bo to kompetencja zgromadzenia ogólnego. Sprawa stanie na nim 17 listopada.

Plan minimum jest zapewne taki, żeby zgromadzenie ogólne uchyliło immunitety prezesom Święczkowskiemu i Sochańskiemu. Zostanie wtedy przyjęta interpretacja, że uchylenie immunitetu uniemożliwia sędziemu nie tylko sądzenie, ale też prezesowanie. Zatem powstanie sytuacja bezkrólewia i mandat tymczasowego kierowania Trybunałem dla sędzi Korwin-Piotrowskiej przedłuży się na trudny do przewidzenia czas. Ale nadal nie będziemy mieli normalnie sądzącego Trybunału. Orzekanie bez starych sędziów byłoby tak samo ułomne jak orzekanie bez udziału nowych. A do tego jest jeszcze widmo ukonstytuowania się Trybunału Święczkowskiego np. w Sądzie Najwyższym.

Czy taka skórka warta jest wyprawki? Zdania są podzielone. Na razie mamy do czynienia z próbą wyjścia z sytuacji bez wyjścia.

EWA SIEDLECKA

eprasa.pl fe2da71bd4



Słynne już selfie spod TK. Jarosław Kaczyński i Grzegorz Braun. Pierwsza jaskółka porozumienia.

Sen o Senacie

Karol Nawrocki angażuje się w budowę paktu senackiego prawicy. Oznacza to legitymizację Korony Grzegorza Brauna, bez której paktu nie będzie. Z sojuszu wyłamał się Rozwój Plus Mateusza Morawieckiego.

WOJCIECH SZACKI

Idea paktu senackiego prawicy kiełkuje od miesięcy. W październikowym wywiadzie dla „Rzeczpospolitej" karty wyłożył Karol Nawrocki, który ogłosił, że chce być patronem takiego sojuszu – wówczas jeszcze wszystkich ugrupowań prawicowych, od największego PiS, poprzez Konfederację i Koronę, aż po najsłabszy w sondażach Rozwój Plus Mateusza Morawieckiego. Pod koniec zeszłego miesiąca były premier wycofał się jednak z rozmów (chwilowo?), bo uznał, że nie da się mimo wszystko przedstawiać jako „zapora przed Grzegorzem Braunem" i równolegle z tym samym Braunem negocjować porozumienia senackiego.

Rozterki tożsamościowe Rozwoju Plus nie storpedują jednak zapewne rozmów o pakcie. Prezydent pokłada w nim wielkie nadzieje. Jest to dla niego na tyle ważne, że zwinął kordon sanitarny wokół lidera Korony Brauna i uznał jego partię za niezbędny składnik sojuszu. Protestów ze strony PiS nie było słychać.

Oswajanie Korony

„Konfederacja Korony Polskiej Grzegorza Brauna ma swoją reprezentację w parlamencie. Jest siłą polityczną, która według sondaży ma poparcie części Polaków, więc należy ją traktować jako obecną w polskiej polityce" – mówił w „Rzeczpospolitej". Potem konsultował z Braunem i posłem Włodzimierzem Skalikiem kwestię kryzysu w Trybunale Konstytucyjnym, a Skalik reprezentował Koronę na listopadowym posiedzeniu Rady Bezpieczeństwa Narodowego.

Ugłaskanie Korony jest dla ośrodka prezydenckiego na tyle ważne, że nikt z Pałacu nawet się nie zająknął, gdy internetowy PRZEkanał opublikował niedawno nagrania, w których Braun – urażony, że prezydent pominął jego kandydatów do powoływanych hurtowo przez Nawrockiego rad – nazwał prezydenckich ministrów „ostatnimi szmaciarzami", a wymianę wiadomości z Kancelarią Prezydenta porównał do korespondencji z Judenratem. Nawrocki nie widzi też większego problemu w tym, że Braun jest otwarcie prorosyjski, antyukraiński i antysemicki, a jego sojusznik Janusz Korwin-Mikke jeździ na Białoruś i przesyła potem internautom „pozdrowienia z Mińska".

Korona, choć mniejsza niż PiS i Konfederacja, jest Nawrockiemu potrzebna. Nie chodzi tylko o odległą jeszcze perspektywę wyborów prezydenckich, w których będzie potrzebował głosów tego elektoratu, choć to też istotny argument. Tu i teraz chodzi zaś głównie o to, że bez Korony w sojusz z PiS nie wejdzie Konfederacja. – *Gdybyśmy utworzyli porozumienie senackie z PiS bez Korony, Braun natychmiast by to wykorzystał, oskarżając nas o sojusz z establishmentowym Jarosławem Kaczyńskim. Kreowałby się na jedyną* ▶

© PLATFORMA X/GRZEGORZ BRAUN

eprasa.pl fe2da71bd4

▶ *świeżą siłę na prawicy i odebrałby nam część naszych wyborców* – tłumaczy ważny polityk Ruchu Narodowego Krzysztofa Bosaka.

Można też spekulować, że nawiązywane teraz relacje Pałacu z Koroną mogą zaprocentować w układaniu puzzli sejmowych i poszukiwaniu większości, gdyby prawica taką większość za niecały rok zdobyła.

Dla prezydenta – przy wszystkich różnicach ustrojowych między Polską a USA – przyszłoroczne wybory parlamentarne będą odpowiednikiem niedawnych wyborów połówkowych w Stanach. Nawrocki potrzebuje namacalnego sukcesu – przede wszystkim zwycięstwa prawicy w kampanii sejmowej, ale Senat też będzie się liczył. Na tej kampanii może odcisnąć osobistą pieczęć jako patron zwycięskiego paktu.

Po pierwsze, wystąpiłby w roli arbitra między partiami, co wywindowałoby jego pozycję. Jego dzisiejsza popularność w prawicowym elektoracie zmieniłaby się w coś bardziej namacalnego – po ośmiu latach obóz Donalda Tuska straciłby Senat.

Po drugie, obóz prezydencki kalkuluje, że wspólny start senacki obniżyłby napięcie między prawicowymi partiami w kampanii sejmowej i zbliżył je do zawarcia koalicji rządowej.

Po trzecie, Nawrocki sam chce być w pewnym sensie udziałowcem paktu, rezerwując sobie prawo do wskazania kilkunastu kandydatów w obiecujących mandatowo okręgach. To byłby zalążek frakcji prezydenckiej w parlamencie.

Po czwarte – znów rzecz jasna pod warunkiem zwycięstwa – Nawrocki miałby silne karty, by samemu wskazać marszałka Senatu.

No i wreszcie przyjazna większość w tej izbie pozwoliłaby prezydentowi na wypróbowanie polityki plebiscytowej, bo Nawrocki może zarządzić krajowe referendum za zgodą Senatu.

Takie są mniej więcej motywacje i ambicje prezydenta; partie prawicowe patrzą zaś przede wszystkim na sondażowy układ sił i większościową ordynację wyborczą.

Senacki rys historyczny

Wybory do Senatu stały się jednomandatowe w 2011 r. wraz z ówczesną nowelizacją kodeksu wyborczego. Od tamtej pory Polska jest podzielona na 100 okręgów (zwykle jeden okręg to kilka powiatów, ale np. Warszawa jest podzielona na cztery okręgi) i w każdym z nich wybiera się jednego senatora, którym zostaje kandydat z największą liczbą głosów.

Nie ma więc wymogu uzyskania ponad 50 proc. głosów. W 2023 r. Aleksander Szwed z PiS został senatorem w okręgu nr 5 z wynikiem 35,8 proc. (najmniej w Polsce), gdy rekordzista – Rafał Grupiński z KO – miał w Poznaniu niemal 80 proc.

Konsekwencje są takie, że w wielu okręgach kampania jest śmiertelnie nudna czy też po prostu nie ma jej wcale. Nikomu nie chce się marnować sił i pieniędzy na rywalizację, w której już na starcie wiadomo, kto wygra.

W okręgach podkarpackich nie mają czego szukać politycy KO, a w Warszawie czy Gdańsku – reprezentanci PiS. Mniejsze partie – jeśli startują samodzielnie – są całkiem bez szans. W 2011 r. SLD nie wprowadził ani jednego senatora, choć w skali kraju dostał 1,3 mln głosów; podobnie było z Konfederacją w 2023 r. (1,4 mln głosów, zero mandatów).

Teoria jest zatem prosta i podparta praktyką. Do jednomandatowych wyborów do Senatu warto iść blokiem – chyba że jest się wielką partią mającą naprzeciwko rozdrobnioną konkurencję. W 2015 r. PiS zdobył w potyczce senackiej 40 proc. głosów, co przełożyło się aż na 61 mandatów. Startujące osobno PO, PSL i Lewica też miały łącznie 40 proc., ale dało to tylko 35 mandatów.

W 2019 r. PiS był jeszcze silniejszy, ale 44,6 proc. głosów w wyborach do Senatu wystarczyło do zdobycia zaledwie 48 mandatów. Wygrał pakt senacki ówczesnej opozycji, który z trójką senatorów niezależnych utworzył większość.

W ostatnich wyborach słabnący PiS zdobył już tylko 34 miejsca w Senacie. Wzrost poparcia dla Konfederacji i pojawienie się Korony w kontekście wyborów senackich oznacza zaś jedno – reprezentacja partii Kaczyńskiego przy samodzielnym starcie skurczyłaby się jeszcze bardziej. Nawet w części tradycyjnie prawicowych okręgów rozproszenie głosów między rywalizujących ze sobą kandydatów PiS, Konfederacji i Korony mogłoby dać niespodziewane zwycięstwo komuś z obecnej koalicji rządzącej.

Dlatego pakt senacki jawi się jako jedyne sensowne z punktu widzenia prawicy rozwiązanie.

W imieniu Nawrockiego pakt z reprezentantami prawicy negocjuje szef prezydenckiego gabinetu Paweł Szefernaker. Co ciekawe, w rozmowach nie uczestniczy Konfederacja jako taka, lecz Nowa Nadzieja i Ruch Narodowy osobno; partię Sławomira Mentzena reprezentuje Krzysztof Rzońca, a narodowców – Michał Wawer. Oba ugrupowania mają jednak dostać po tyle samo biorących okręgów.

Dokładny podział okręgów nie jest jeszcze podobno ustalony. W części z nich (pewnie 35–40) zwycięstwo prawicy jest w zasadzie pewne, w kolejnych 15–20 – prawdopodobne. Punktem wyjścia do podziału tego nieupieczonego jeszcze tortu są zaś nie tylko obecne sondaże, lecz – jak wynika z rozmowy z politykiem z kręgu Nawrockiego – także wyniki pierwszej tury zeszłorocznych wyborów prezydenckich.

Szczegóły są do dogrania, nikomu się specjalnie nie spieszy, zresztą politycy prawicy mają w ostatnich dniach co innego na głowie. Na ostateczne decyzje jest jeszcze parę miesięcy.

Można się jednak spodziewać, że pula prezydencko-pisowska będzie liczyła ok. 40 osób, Konfederacja łącznie dostanie zapewne kilkanaście miejsc, a Korona – kilka. Z kolejki do Senatu, jak wspomnieliśmy, wycofał się Rozwój Plus, który też miał mieć parę okręgów.

W praktyce pakt byłby zresztą przede wszystkim porozumieniem o nieagresji. Nawrockiemu i prawicy nie chodzi zatem o utworzenie wspólnego komitetu wyborczego, kandydaci startowaliby z komitetów partyjnych (ewentualnie część z nich w ramach komitetów wyborczych wyborców). Pozostali udziałowcy paktu powstrzymaliby się przed wystawieniem kontrkandydatów – tak mniej więcej przedstawiał to ostatnio Paweł Szefernaker.

Walka teraźniejsza, współpraca przyszła

Czy pakt zostanie zawarty, to dopiero zobaczymy. Na razie na prawicy trwa – a to i tak eufemizm – ostra rywalizacja. Protest przeciwko zmianom w Trybunale Konstytucyjnym tylko na moment zjednoczył liderów PiS, Konfederacji, Korony i Rozwoju Plus, którzy w komplecie stawili się na Al. Szucha w zimny piątkowy wieczór 30 października.

Już dzień później wspólny front się załamał. Konfederacja jest za „resetem konstytucyjnym" (czyli m.in. wyborem

eprasa.pl fe2da71bd4



Tegoroczne obchody rocznicy zbrodni w Jedwabnem. Alternatywne obchody zorganizował Ruch Obrony Polaków oraz Korony Polska Grzegorza Brauna, który kwestionuje udział Polaków w mordzie.

wszystkich sędziów Trybunału od nowa); oznacza to de facto uznanie, że w sprawie TK grzeszyły obie strony (KO i PiS) i w związku z tym trzeba sądownictwo konstytucyjne budować od nowa. PiS zaś reset konstytucyjny odrzuca, bo do żadnej winy się nie poczuwa, i liczy na to, że po przejęciu władzy będzie mógł zresetować Trybunał po swojemu.

Ten spór na prawicy szybko przeszedł w publiczne połajanki. „Na litość boską, zajmij się w końcu Polską i zwalczaniem szkodników, a nie zwalczaniem PiS" – mówił kandydat PiS na premiera Przemysław Czarnek pod adresem Mentzena. A konfederaci szydzili z występu posła PiS Michała Wójcika, który na demonstracji śpiewał z tabletu piosenkę Krzysztofa Krawczyka „Jak minął dzień", co skutecznie odebrało powagę tej imprezie i nadało jej wymiar jarmarku.

„To robienie kabaretu z oporu przeciwko zamachowi stanu. Pokazuje, komu zależy na pajacowaniu i ogłupianiu społeczeństwa, a komu na naprawie państwa. Kryzys z TK powinien służyć do poważnych rozmów o resecie konstytucyjnym, a nie do sprzedawania zegarków i żenującego karaoke" – napisał Mentzen na platformie X. Potem w Kanale Zero dodał: „Ani Tuskowi, ani Kaczyńskiemu nie zależy na tym, żeby Trybunał funkcjonował normalnie".

A o sytuacji w Trybunale rozmawiał nie z Kaczyńskim, lecz liderem PSL i wicepremierem Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem, także zwolennikiem resetu.

Prawica jako całość – choć sondaże dostarczają jej pokrzepiających wieści (pierwsze badania potrybunalskie pokazały delikatny wzrost PiS, spadek KO i dużą słabość Lewicy) – wcale nie jest w triumfujących nastrojach. Pokazała to konferencja Krynica Forum, która odbyła się tuż przed kryzysem wokół TK; bawiący tam liczni politycy prawicy i jej sympatycy wcale nie byli pewni, że uda się pokonać Tuska i stworzyć rząd, który się nie potknie o własne nogi po kilku miesiącach.

Pułapki paktu

Bieżąca rywalizacja na prawicy nie powinna w teorii storpedować paktu senackiego, bo w nim interesy udziałowców się raczej zbiegają. Z praktyką może być jednak różnie. Pewnym problemem dla PiS mogą być ci senatorowie – nieraz zasiedziali już w swoich okręgach – dla których zabraknie biorących miejsc. PiS ma dziś 31 senatorów i część z nich będzie musiało ustąpić kolegom i koleżankom od Nawrockiego, z Konfederacji czy Korony. Co bardziej zdeterminowani mogą ulec pokusie, założyć własny komitet wyborczy i konkurować z kandydatem wskazanym w pakcie.

Płonne mogą się też okazać nadzieje, że pakt senacki ucywilizuje kampanię sejmową, że politycy prawicy staną się dla siebie sympatyczni, a partie zawrą rozejm i zaczną zgodnie walczyć z KO. Chyba za wiele jest do ugrania w tych wyborach – i dla Konfederacji, i dla Brauna – by nie spróbować powalczyć o jak największą część elektoratu słabnącego PiS. Mentzen i Bosak dopuszczają oczywiście możliwość powyborczej koalicji z Kaczyńskim, ale chcą zarazem wyrąbać sobie pozycję partnerską w tym układzie. Te emocje będą w kampanii znacznie silniejsze niż przekonanie „skoro o Senat bijemy się razem, to bądźmy dla siebie mili także w kampanii sejmowej".

Jest wreszcie słoń w pokoju, czyli Braun. Sojusz ze skrajną Koroną, choćby nie wiadomo jak przykrywany i pomniejszany („to tylko porozumienie o nieagresji", „nie będzie wspólnego komitetu wyborczego", „wcale nie chcemy koalicji rządowej", „przecież wymogliśmy, żeby Korona wystawiła swoich najmniej szalonych reprezentantów"), będzie politycznym obciążeniem dla PiS. Zwłaszcza że po manifestacji pod TK powstała już nawet ilustracja do wielu kampanijnych materiałów – selfie Brauna z uśmiechniętym Kaczyńskim. Będzie to wykorzystywał Morawiecki (jeśli dotrwa do wyborów oczywiście, i nie zmieni antybraunowego nastawienia, to osobna kwestia), ale przede wszystkim skorzysta z tego Tusk, wzywając do obrony Polski przed skrajną prawicą.

PiS i Nawrocki uważają, że korzyści przeważają jednak nad ryzykiem. Że dopuszczenie Korony do stołu negocjacyjnego to cena, jaką warto zapłacić za szansę na przejęcie Senatu. I tak legitymizacja Korony przez resztę prawicy i uznanie Brauna za partnera do rozmowy stała się pierwszym efektem paktu senackiego, zanim jeszcze został on zawarty.

WOJCIECH SZACKI

SPROSTOWANIE

Po konferencji ukazały się dwie publikacje książkowe – polska i angielska, dostępne nie tylko na stronie Fundacji, lecz także m.in. w bibliotekach UKSW i Domu Trójmorza.

Nieścisła jest informacja, że w konferencji uczestniczyło ok. 30 osób oraz że skład uczestników nie odpowiadał grupie docelowej projektu. Już na jednym z opublikowanych zdjęć widać ponad 50 osób, spośród których tylko pięć to siostry zakonne.

FUNDACJA POLSKA WIELKI PROJEKT

© ANITA WALCZEWSKA/EAST NEWS

eprasa.pl fe2da71bd4



Elżbieta Brzozowska: Dzisiaj mogę kupować to, co mi się podoba, a nie to, co na mnie wchodzi

Wysyp pustych lodówek

Miliony ludzi przestają być głodne i chudną dzięki lekom. Wraz z pacjentami schudnąć będą musiały również niektóre branże, a inne nauczyć się żyć na nowo.

PAWEŁ WALEWSKI

Elżbieta Brzozowska przez lata pchała po supermarketach wózki uginające się pod ciężarem gotowych dań, paczkowanych wędlin i słodyczy, a przy kasie – napędzana obsesyjnym głodem – wrzucała do niego od razu pięć tabliczek czekolady zamiast jednej. Ewelina Michalik, ważąca w szczytowym momencie 128 kg (obecnie 64), robiła zakupy całkowicie bezmyślnie, sięgając pod wpływem niekontrolowanego ssania w żołądku po szybką żywność wysokoprzetworzoną. Michał Bonarowski też zna to od podszewki: w życiu z otyłością jedzenie było dla niego toksycznym ukojeniem.

Dziś ich koszyki zakupowe, lodówki i codzienne nawyki wyglądają zupełnie inaczej – tak jak tysiące innych osób, które znalazły się w podobnej sytuacji, kupują mniej i jedzą zdrowiej. Dla globalnego i krajowego przemysłu spożywczego, od lat pasącego się na społecznej otyłości, może to oznaczać początek rynkowego trzęsienia ziemi. Przez dekady doskonalił on sztukę nakłaniania nas do jedzenia więcej i częściej i jeszcze podjadania w międzyczasie. Dwie paczki chipsów w cenie jednej, 12 piw w cenie sześciu. Duże frytki właściwie w cenie średnich. Głupio byłoby kupić mniej za więcej, a później nie zjeść, żeby się zmarnowało.

Klienci z błogosławieństwem leków zwolnieni z przymusu jedzenia wolni są również od pokus i promocyjnych trików. Wreszcie syci, nie dają się już nabijać w butelkę – zwłaszcza taką z przesłodzonym gazowanym napojem. Dla biznesu, który na apetycie

eprasa.pl fe2da71bd4

budował wzrost, oznacza to konieczność przemyślenia strategii. I to nie tylko w branży spożywczej.

Co to za rewolucja?

Mowa o analogach GLP-1 i GIP (takich jak semaglutyd czy tirzepatyd, znanych pod handlowymi nazwami jako Ozempic, Mounjaro, Wegovy czy Saxenda). Te substancje nie tylko naśladują naturalny hormon regulujący wydzielanie insuliny i spowalniają opróżnianie żołądka, ale przede wszystkim uderzają w ośrodek nagrody w mózgu. Gaszą tzw. *food noise* – uporczywy, monotonny szum w głowie domagający się kolejnej porcji cukru i tłuszczu. Co ciekawe, tłumiąc dopaminowy mechanizm uzależnienia, wygaszają również inne nałogi, w tym ochotę na alkohol. Pacjenci masowo zgłaszają, że dawne smakołyki nagle w ustach przypominają plastik albo wywołują odruch wymiotny.

Wedle tegorocznej analizy firmy doradczej PwC już 21 proc. amerykańskich rodzin ma wśród bliskich przynajmniej jedną osobę stosującą analogi GLP-1 wobec 9 proc. w 2021 r. (a jak wynika z innych badań, modyfikuje to dietę wszystkich domowników, bo jeżeli ktoś odpowiada za wspólne zakupy, jego kuracja może wpływać na zawartość wspólnej lodówki). – *Gospodarstwa domowe, gdzie stosuje się te leki, już w ciągu pierwszych sześciu miesięcy obniżają wydatki na żywność średnio o 5 proc., w zamożniejszych domach nawet o 8 proc., wydając mniej na słone przekąski, fast foody, kawiarnie i restauracje* – przytacza dane ze Stanów Zjednoczonych dr Adam M. Adamek, naukowiec, przedsiębiorca i założyciel FoodEdge.eu, który od 25 lat łączy naukę z biznesem i doradza innowacyjnym firmom na styku żywności, biotechnologii i zdrowia.

W sondażu, przeprowadzonym w sierpniu tego roku wśród ponad 1500 użytkowników GLP-1 w dziewięciu krajach, na pytanie o obecne zachowania i plany zakupowe, ankietowani oszacowali spadek wydatków o 14 proc. na słodycze, o 10 proc. na słone przekąski i alkohol, natomiast zadeklarowali zamiar zwiększenia miesięcznych wydatków średnio o 15 proc. na owoce i warzywa, o 11 proc. na żywność wysokobiałkową oraz o 20 proc. na suplementy białka i błonnika. – *A zatem to nie koniec apetytu, tylko zmiana reguł gry* – komentuje dr Adamek. – *Bo można zmniejszyć rozmiar posiłku, ale nie można automatycznie i proporcjonalnie zmniejszyć wszystkich potrzeb organizmu. Przez dekady przemysł spożywczy uczył się sprzedawać więcej jedzenia. Teraz musi także nauczyć się dostarczać większą wartość ludziom, którzy jedzą mniej.*

W Polsce wedle Ministerstwa Zdrowia od stycznia 2020 r. do maja 2024 r. receptę na analogi GLP-1 otrzymało 717 tys. pacjentów, wykupując ok. 8,7 mln opakowań. W samym 2025 r. sprzedaż preparatów z tirzepatydem i semaglutydem zamknęła się w kwocie 3,4 mld zł, za które wykupiono blisko 6 mln opakowań leków z kategorii GLP-1 (wobec 2 mln w 2022 r.). Z danych firmy YouGov, zajmującej się badaniami rynku, wynika, że leki te stosuje już 4,5 proc. Polaków, a kolejne 12 proc. rozważa rozpoczęcie kuracji. Jak dowiedzieliśmy się w Centrum e-Zdrowie liczba zrealizowanych bez refundacji recept na Ozempic, Mounjaro, Wegovy i Saxendę wzrosła od stycznia do września tego roku o ponad 100 tys. (z 228 852 do 331 900).

Skoro ta przyrastająca grupa rzadziej podjada, to do koszyka trafia mniej produktów kupowanych dotychczas impulsywnie. Elżbieta Brzozowska zlikwidowała domową „szafkę słodyczową", a z codziennej diety wyeliminowała nie tylko batony, ale też wino. Do supermarketów zagląda dziś raz w miesiącu, głównie po chemię gospodarczą, opierając zakupy żywności na dostawcach lokalnych i małych sklepach. Z jej jadłospisu zniknęły gotowe lazanie, słodzone owocowe jogurty i napoje. – *Gdy córka otwiera lodówkę, skarży się, że jest pusta* – wyznaje Elżbieta. – *A przecież są tam podstawowe rzeczy, które musi sobie złożyć w potrawy: jajka, twaróg, jogurt naturalny, owoce, warzywa.*

Michał Bonarowski twierdzi, że na jego przemianie stracili producenci makaronów, bo wybiera teraz kasze, a jeśli płatki owsiane – to na pewno nie błyskawiczne. Z kolei Ewelina Michalik na zakupy chodzi wyłącznie z listą planowanych posiłków, skrupulatnie dbając o to, by na talerzu lądowały pełnowartościowe źródła białka i błonnik z warzyw.

Dietetyk Maria Brzegowy, która pracuje z osobami w trakcie kuracji odchudzających, chwali te wybory, bo większość sięgających po analogi GLP-1 niestety nie zwraca uwagi na to, co je, mimo braku apetytu: – *Przyjmują za mało kalorii i białka, które powinno być kluczowe, jeśli chodzi o zachowanie mięśni. Jeśli o to nie zadbają, wkrótce staniemy się społeczeństwem, które nie będzie miało siły wchodzić po schodach, przynieść sobie zakupów ani wstać z łóżka.*





Koncerny wychodzą naprzeciw potrzebom użytkowników analogów. Marks & Spencer uruchomił linię Nutrient Dense – 20 produktów o dużej gęstości odżywczej. Z kolei amerykańskie Nestlé linię Vital Pursuit: mrożone pizze i gotowe dania, których wielkość ma odpowiadać mniejszemu apetytowi.

Pułapka high protein

Za oceanem i w Azji producenci nie czekają, aż pacjenci na GLP-1 sami znajdą sobie coś do jedzenia. Próbują zatrzymać ich przy sklepowych półkach, ale zaczęli sprzedawać inaczej: mniejsze porcje, więcej składników odżywczych i – co dla technologów żywności jest wyzwaniem – bez utraty smaku. Amerykańskie Nestlé uruchomiło linię Vital Pursuit: mrożone pizze i gotowe dania, których wielkość ma odpowiadać mniejszemu apetytowi, za to dostarczać więcej białka i błonnika. Danone wprowadziło w USA Oikos Fusion – niewielki napój z 23 g białka i 5 g błonnika, zawierający 130 kalorii. Brytyjska sieć supermarketów Morrisons przygotowała z Applied Nutrition serię 53 produktów, w tym siedem gotowych dań Small & Balanced, w porcjach o ok. 30 proc. mniejszych od standardowych. Marks & Spencer ▶

© KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, MARKS & SPENCER, NESTLÉ

eprasa.pl fe2da71bd4

▶ uruchomił linię Nutrient Dense – 20 produktów o dużej gęstości odżywczej.

Producenci testują też nowe formaty. W Japonii pojawiają się gotowe kanapki z mocno skoncentrowanym mięsnym nadzieniem, do zjedzenia w drodze do pracy. W Singapurze zamiast zastępować tradycyjne potrawy nowymi produktami, wzbogaca się je w białko i błonnik w proszku. Konsument nie musi więc porzucać ulubionego dania ani zmieniać rytuału.

Dr Adamek zwraca jednak uwagę, że białko potrafi zmienić strukturę, smak, konsystencję, a nawet trwałość produktu. W koktajlu może pojawić się osad i kredowy posmak. Chilijski start-up NotCo wykorzystuje agenta sztucznej inteligencji Giuseppe do projektowania produktów, którymi mogliby być zainteresowani amatorzy analogów GLP-1. Na przykład migdały w czekoladzie: skompresowane białko o migdałowym smaku, zapakowane w pudełko wielkości Tic Taców (to na razie prototyp, nie produkt z półki).

W Anglii eksperymentuje się z żelkami zawierającymi leucynę, aminokwas ważny dla syntezy białek mięśniowych. W laboratorium zrodziły się też NourishFits – miękkie ciasteczka nasycone białkiem serwatkowym zapobiegającym sarkopenii (utracie masy mięśniowej podczas szybkiego chudnięcia), paluszki z kurczaka stylizowane na dziecięce przekąski dla dorosłych i tacos, w których rolę tortilli odgrywa liść endywii, czy wyciskane z tubek musy jogurtowe o kwaśnych, cytrusowych nutach, za którymi przepadają pacjenci na GLP-1.

– *Czy to naprawdę potrzebne?* – komentuje Bonarowski. – *Na szczęście w Polsce mamy doskonały dostęp do wysokojakościowego mięsa i ryb. Jesteśmy też krajem nabiału, są dobre mleka, sery, twarogi. Nie widzę powodu, by ultraprzetworzone niezdrowe jedzenie zastępować pozornie zdrowszym.*

W diecie Amerykanów nadal 56 proc. kalorii pochodzi z żywności wysokoprzetworzonej, w Polsce o połowę mniej. Niemniej rzesza konsumentów na analogach GLP-1 może zostać złapana w sieć nowych przyzwyczajeń, jeśli firmy – jak robią to już w Stanach czy Wielkiej Brytanii – zaczną ich kusić wybitymi na opakowaniach hasłami „GLP-1 friendly" lub „High Protein". Amerykańska Conagra oznaczyła 26 dań Healthy Choice jako „GLP-1 friendly", choć nie zmieniła ich receptur. To marketingowe repozycjonowanie, nie nowe produkty. W Unii Europejskiej nie wolno sugerować, że żywność wspiera leczenie lub ma szczególne działanie zdrowotne. Napis „wysoka zawartość białka" można stosować po spełnieniu określonych warunków, ale nie oznacza on, że produkt został klinicznie sprawdzony dla pacjentów na GLP-1.

Głos sceptyków

Co na to polski przemysł? Na razie – niewiele. – *Technologicznie w dużej mierze potrafimy odpowiedzieć. Strategicznie – nie ma podstaw, by uznać, że sektor zdążył się dostosować* – mówi dr Adamek. W sklepach nie brakuje jogurtów wysokobiałkowych, proteinowych deserów i batonów, ale ich obecność nie świadczy o tym, że zaprojektowano je specjalnie dla osób przyjmujących leki odchudzające. Danone oferuje linię YoPRO, produkty wysokobiałkowe rozwijają również rodzimi wytwórcy, w tym Mlekovita. To jednak segment, który rósł wcześniej, m.in. dzięki modzie na fitness.

Elżbieta Brzozowska jest sceptyczna wobec tej nowej mody. Jej zdaniem producenci żywności znaleźli po prostu kolejny sposób, by sprzedawać to samo, tyle że pod zdrowiej brzmiącą



Michał Bonarowski: W życiu z otyłością jedzenie było dla mnie toksycznym ukojeniem

nazwą: – *Wystarczy dosypać do batonika trochę białka, napisać na opakowaniu „high protein" i już. A mało kto zagląda do składu, żeby sprawdzić, ile jest w nim cukru, na przykład maltodekstryny* – mówi. Po co kupować proteinowy pudding, skoro można zjeść kromkę żytniego chleba z twarogiem? Albo – a niedawno widziała już taki produkt na półce – „Tuńczyk high protein"? Jej zdaniem pacjenci powinni przede wszystkim nauczyć się czytać etykiety, bo napis na froncie opakowania nie jest gwarancją, że produkt rzeczywiście jest wartościowy.

Ci leniwi zazwyczaj sięgają po diety pudełkowe, a więc gotowe zestawy z wyliczoną już liczbą kalorii i składem. Na polskim rynku jest na razie tylko jedna oferta „GLP-1 Friendly" – firma cateringowa „Pacjent wybiera" (sprzedaje 18 diet określanych jako medyczne) wprowadziła ją pod koniec kwietnia 2026 r. i jest już w pierwszej piątce jej najpopularniejszych propozycji. Dzienny koszt wynosi 55 zł, czyli niewięcej od innych. – *Nie chcieliśmy tworzyć kolejnej diety redukcyjnej, ale kompleksowy program żywieniowy wspierający osoby korzystające z farmakologicznego leczenia otyłości* – wyjaśnia Jowita Szczepanik odpowiedzialna za marketing. – *Skład opracowaliśmy wspólnie z ekspertami*

eprasa.pl fe2da71bd4

Katedry Dietetyki SGGW, uwzględniając m.in. możliwe dolegliwości ze strony przewodu pokarmowego, odpowiednią podaż białka i dostarczanie niezbędnych składników odżywczych. Sprzedaż rośnie średnio o 30 proc. miesięcznie.

Restauracja i nowa normalność

Zmiana nawyków dotyczy również tego, co dzieje się poza domem. Dla restauracji problemem może być nie tylko mniejszy apetyt, ale zanik nawyku, który przez lata napędzał zamówienia: skoro już przyszliśmy, zamówmy przystawkę, danie główne, deser i coś do picia. Teraz pojawia się naturalny moment stop. Wcześniej go nie było. Jeżeli część klientów nie sięga po alkohol, rzadziej zamawia kolejne danie i wcześniej kończy wizytę. Elżbieta Brzozowska wspomina, że dawniej posiłek w restauracji automatycznie oznaczał pełny zestaw, ponieważ deser „zawsze się mieścił". Dziś nie czuje, że musi go zamówić.

To zmiana niezbyt wygodna dla modelu, w którym wartość restauracyjnego dania mierzy się po części jego objętością. Klient płacił, więc chciał dostać dużo – nawet jeśli część zostawała na talerzu. W Stanach niektóre sieci testują mniejsze porcje, menu o większej zawartości białka lub możliwość zamawiania połowy dania. Według badania PwC z 2026 r. 35 proc. ankietowanych użytkowników leków oczekuje mniejszych porcji w cenie odpowiednio niższej, a 32 proc. – połówek dań lub możliwości dzielenia porcji bez dodatkowej opłaty.

To ważny szczegół: pacjenci niekoniecznie chcą płacić tyle samo za połowę obiadu. Jeśli restauracja odpowie na ich potrzeby, powinna zmienić nie tylko wielkość talerza, lecz także sposób wyceny. W przeciwnym razie „menu dla osób na GLP-1" będzie raczej kolejnym chwytem reklamowym niż rzeczywistym dostosowaniem oferty.

Zmiany dotykają zresztą nie tylko lodówek i paragonów, ale też szaf. Wymiana garderoby to dla pacjentów chudnących kilkadziesiąt kilogramów czysta radość po latach funkcjonowania w „gettach dla grubasów" – jak gorzko nazywają osobne działy z odzieżą XXL. – *Dzisiaj mogę kupować to, co mi się podoba, a nie to, co na mnie wchodzi. Choć psychika płata figle – w przymierzalni wciąż sięgam po za duże rozmiary* – wyznaje Brzozowska.

Branża odzieżowa stoi przed nieco innym paradoksem: klienci tracący wagę potrzebują nowych ubrań, ale rozmiar zmienia się nieraz tak szybko, że garderoba staje się niepraktyczna, zanim właściciel zdąży się do niej przyzwyczaić. W USA firma Destination XL, oferująca ubrania dla wysokich i większych mężczyzn, poinformowała o słabszej sprzedaży, wskazując wśród czynników także stosowanie leków GLP-1 przez część klientów. W wybranych kolekcjach H&M nie ma już oferty największych rozmiarów. Nie należy jednak wyciągać z tego wniosku, że popyt na ubrania XXL po prostu zniknie – sporo klientów nadal potrzebuje takiej odzieży, a decyzje zakupowe zależą również od cen, fasonów i jakości. Co więcej, klienci w trakcie utraty wagi mogą wstrzymywać się z dużymi zakupami, nie wiedząc, jaki rozmiar będą nosić za kilka miesięcy. Dla producentów oznacza to trudniejsze planowanie asortymentu, ale pocieszają się tym, że w ich branży lekarstwa nie odbierają ludziom potrzeby kupowania. Marka Good American ma specjalną kolekcję „Always Fits" o uniwersalnym kroju – np. dla swoich dżinsów, które są szyte z ultraelastycznego materiału dopasowującego się idealnie do ruchów ciała i pasują na różne rozmiary.

Rewolucja wywołana przez GLP-1 niesie ryzyko, że branża spożywcza, tracąc rynek dorosłych obżartuchów, może odczuwać pokusę przekierowania agresywnego marketingu śmieciowego jedzenia w stronę dzieci. – *A są one bardzo podatne na zachęty influencerów, którzy promują napoje, lody, chrupki – całe mnóstwo produktów opakowanych w bardzo intensywną reklamę* – mówi Ewelina Michalik. – *Sama zobaczyłam, jak to działa, kiedy mój syn, który za chwilę skończy siedem lat, przyniósł z zerówki film jednego z youtuberów. Obejrzałam go z ciekawości. Trwał 20 minut, a ja naliczyłam w tym czasie 15 promocji słodkiego napoju.*

Czy tak to będzie wyglądać? Przez dekady przemysł uczył się, jak sprzedać więcej. W obliczu armagedonu wywołanego przez analogi GLP-1 musi teraz nauczyć się czegoś znacznie trudniejszego: szacunku do konsumenta, który zeszczuplał i przestał być głodny.

PAWEŁ WALEWSKI

© LESZEK ZYCH

REKLAMA

www.podtezniami.pl
KLINIKA UZDROWISKOWA „POD TĘŻNIAMI" - SANATORIUM W CIECHOCINKU
Zadbaj o zdrowie. Odzyskaj energię.
KLINIKA UZDROWISKOWA „Pod Tężniami" im. Jana Pawła II



LECZENIE I REHABILITACJA
7-DNIOWE POBYTY ZDROWOTNE
12.11 - 20.12 oraz 03.01 - 28.02.2027
W ramach pobytu:
• 15 lub 20 zabiegów leczniczych
• diagnostyka fizjoterapeutyczna i laboratoryjna*
• basen solankowy
• basen wewnętrzny i zewnętrzny—do 90 minut dziennie

NOWOŚĆ! ONKO REHAB 29.11 - 06.12 ZADZWOŃ I SPRAWDŹ

PAKIET DIETETYCZNY ODCHUDZAJĄCY
7-DNIOWE POBYTY ZDROWOTNE
12.11–20.12 oraz 03.01 - 28.02.2027
W pakiecie:
• opieka dietetyka i analiza składu ciała
• indywidualny plan żywienia oraz jadłospis do domu
• 15 zabiegów wspierających redukcję masy ciała
• ćwiczenia grupowe, FIT Park
• basen, sauny, łaźnie, grota solna
• konsultacje i badania lekarskie

TURNUSY SPECJALISTYCZNE: ZDROWY KRĘGOSŁUP • NEUROLOGICZNY • DLA AKTYWNYCH BIODRA • KOLANA • BARK • ANTYSTRESOWY • KARDIOLOGICZNY Z DIAGNOSTYKĄ
* możliwa dopłata
Turnus Świąteczny 20.12 - 27.12.2026, Turnus Noworoczny 27.12.2026 - 03.01.2027
Zeskanuj mnie
54 416 70 00 rezerwacja@podtezniami.pl ul. Warzelniana 7, 87-720 Ciechocinek

eprasa.pl fe2da71bd4



Koła Gospodyń Walczących

Rozmowa z dr hab. Iloną Matysiak, współautorką raportu o przemocy domowej na polskiej wsi, o tym, jak dzisiaj kobiety sobie z nią radzą.

JOANNA PODGÓRSKA: **– Kursy krav magi dla kobiet na wsi – brzmi jak rewolucja.**

ILONA MATYSIAK: – Można powiedzieć, że rewolucja pilotażowa. W 2018 r., gdy rząd PiS zaczął obcinać dotacje na organizacje wspierające kobiety, powstał Fundusz Feministyczny, by wypełnić tę lukę. Z tego, co wiem, jego członkinie nie spodziewały się, że tak duży oddźwięk będzie to miało na wsi. Płynęły wnioski o granty na różne inicjatywy, w tym organizowanie klubów kobiecych, bezpiecznych przestrzeni, gdzie można się spotkać i porozmawiać. Wiele z nich wysyłały koła gospodyń wiejskich. Fundusz oferował też specjalne granty na warsztaty WenDo, czyli treningi asertywności i samoobrony. Ale dla niektórych środowisk WenDo brzmiało trochę dziwnie i obco, dlatego wolały zorganizować kursy krav magi, czyli izraelskiej sztuki walki i samoobrony.

Koła gospodyń wiejskich zgłaszały zapotrzebowanie na sztuki walki?

Tak. To wspaniale, że kobiety na wsi chcą poznawać techniki samoobrony, bo przemoc wobec nich ma, niestety, dużą skalę.

Tak wynika z waszego raportu; pierwszego, który tak szczegółowo zbadał to zjawisko. Zastanawia mnie jego tytuł: „Ale co takiego się wydarzyło?”. Skąd on się wziął?

Nie ja go zaproponowałam, ale Justyna Frydrych z Funduszu Feministycznego, który zresztą był inicjatorem tego badania. To cytat z jednego z wywiadów i świetnie definiuje, o czym ten raport jest. Z jednej strony to przykład reakcji otoczenia, z jakimi spotykają się ofiary przemocy na wsi. A z drugiej – rozpoznania samych kobiet, czy to już przemoc, czy jeszcze nie.

Na wsi mówienie o przemocy wymaga więcej odwagi?

Myślę, że tak; z kilku powodów. Po pierwsze, to kwestia małego środowiska, gdzie wszyscy się znają i dużo o sobie wiedzą. Jeśli sprawca ma znaczącą pozycję w tej społeczności, trzeba odwagi, żeby ją naruszyć. Jest jeszcze kwestia nadal silnych na wsi patriarchalnych norm kulturowych. To, co dzieje się w rodzinie, jest sprawą prywatną, w którą się nie ingeruje. Konieczna jest dbałość o wizerunek rodziny na zewnątrz. Kobieta powinna podporządkować się mężczyźnie jako głowie rodziny.

eprasa.pl fe2da71bd4

Kobiety na wsi nie znają jeszcze języka, który przemocowe zachowania nazywa po imieniu?

To nie jest tylko problem wsi. Koleżanki z Feminoteki czy prowadzące telefony zaufania opowiadają, że gdy w grę wchodzi przemoc psychiczna, ekonomiczna albo seksualna w małżeństwie, kobiety z miast też nie są pewne, czy to, czego doświadczają, można nazwać przemocą. Natomiast jeśli chodzi o przemoc fizyczną, o bicie, także na wsi wzrosła świadomość, że są to zachowania nieakceptowalne i wymagające napiętnowania. Ona jest najłatwiejsza do rozpoznania i udowodnienia, bo często zostawia po prostu widoczne ślady. Sprawcy o tym wiedzą, mają coraz większą świadomość, że mogą za to ponieść konsekwencje, bardziej się pilnują i stosują inne typy przemocy – psychiczną czy ekonomiczną. Mimo to z naszego raportu wynika, że blisko połowa mieszkających na wsi kobiet doświadczyła przemocy fizycznej.

Opisujecie przypadek, gdy kobieta samochodem goniła męża, żeby odebrać mu kluczyki, bo pijany wsiadł na traktor. Staranował ją, wepchnął do rowu, a ona ciągle nie była pewna, czy to przemoc.

Bo jeśli nie ma siniaków albo krwi, to są wątpliwości. Kobiety, które wzięły udział w badaniu sondażowym, pytałyśmy o bardzo konkretne doświadczenia i zachowania. Czy przemocą można nazwać szturchanie, potrząsanie, popchnięcie na ścianę? Ale kobiety uczą się tego języka. Coraz lepiej rozumieją, że takie zachowania jak wyzywanie, poniżanie, ograniczanie kontaktów czy kontrola to przemoc psychiczna. Ona jest na wsi wszechobecna i to ją nasze respondentki wymieniały na pierwszym miejscu. Przemoc fizyczna była na drugim, a na trzecim seksualna. Wskazywano również na doświadczenia przemocy ekonomicznej. Chodzi o takie zachowania, jak kontrola finansów, utrudnianie aktywności zawodowej, przywłaszczanie pieniędzy. Na wsi to, niestety, zjawisko powszechne. Doświadczyło tego 35 proc. badanych przez nas kobiet, a prawie połowa twierdzi, że zna takie przypadki ze swojego otoczenia.

Czy przemoc ekonomiczna na wsi ma swoją specyfikę?

Kobiety na wsi, zwłaszcza matki małych dzieci, są bardziej narażone na zależność ekonomiczną od mężów. Trudniej tę przemoc zgłosić i trudniej z niej wyjść. Ale kiedyś, gdy na wsi dominowały gospodarstwa rolne, było jeszcze trudniej. Kobiety doświadczające przemocy były właściwie w sytuacji bez wyjścia. Miały świadomość, że jeśli doniosą na męża i on trafi do więzienia, mogą sobie same nie poradzić z gospodarstwem: żniwami, pracami polowymi, doglądaniem inwentarza. A z drugiej strony same nie odejdą, bo nie zostawią tych zwierząt na pastwę nieodpowiedzialnego chłopa, który się upije i o nich zapomni.

Ale na polskiej wsi nastąpiła deagraryzacja. Gospodarstw domowych, których dochody przynajmniej w połowie pochodzą z rolnictwa, jest już tylko 7 proc. Kobiety mieszkające na wsi pracują w handlu, usługach, dojeżdżają do pracy w większych miejscowościach, mają więcej zewnętrznych kontaktów. Wpływa to także na osłabienie więzi sąsiedzkich, co oznacza, że pęka też solidarność, która kiedyś otaczała sprawcę. Kontrola społeczna wobec kobiet nie jest już tak silna.

Z waszego raportu wynika, że największe różnice między miastem a wsią dotyczą przemocy seksualnej. Z jednej strony na wsi jest to tabu, a z drugiej jakby element tradycji.



Dr hab. **Ilona Matysiak** – socjolożka, profesorka uczelni w Instytucie Filozofii i Socjologii w Akademii Pedagogiki Specjalnej im. Marii Grzegorzewskiej. Stypendystka Fulbrighta w University of Michigan oraz Programu Bekkera w Iowa State University. W pracy naukowej koncentruje się na społecznościach wiejskich oraz zachodzących w nich zmianach społeczno-kulturowych i demograficznych, z uwzględnieniem perspektywy płci.

Faktycznie jest to najbardziej stabuizowany rodzaj przemocy i najtrudniej do niego dotrzeć. Czasem wychodzi przy okazji podczas rozmów o innych formach przemocy. Różnica na pewno jest taka, że kobiety w miastach częściej doświadczają seksualnych nadużyć w miejscu pracy, a kobiety ze wsi podczas spotkań rozrywkowych, towarzyskich czy rodzinnych imprez. Obmacywanie czy poklepywanie kobiet traktowane jest jako rozrywka, żart, element wspólnej zabawy.

Z drugiej strony mamy przemoc seksualną w małżeństwie. Na wsi – ale myślę, że nie tylko – nadal żywe jest przekonanie, że żony nie można zgwałcić, a współżycie to obowiązek małżeński. Kobiety wiedzą, że coś jest nie tak, że doświadczają jakiejś krzywdy, ale nie potrafią tego nazwać. Np. ekspert pyta: Czy doświadcza pani przemocy seksualnej? Nie. A ma pani kontakty seksualne? Tak. Chce ich pani? Nie. No to dlaczego je mają? W badaniu sondażowym chciałyśmy zmierzyć siłę tego przekonania. Gdy wprost pytałyśmy o seks bez zgody, czyli gwałt, 14 proc. deklarowało, że tego doświadczyło. Ale na pytanie o niechciany obowiązek małżeński twierdząco odpowiedziało 20 proc. Czyli zależy, jak się zapyta.

Według naszych ekspertek głośne mówienie o przemocy seksualnej na wsi budzi największą agresję otoczenia. Niestety, z naszego raportu wynika, że wszelkie spotkania kobiet, jakieś próby aktywizacji – nie daj Boże skojarzone z feminizmem – traktowane są z podejrzliwością, niechęcią, a nawet agresją.

Wynotowałam sobie cytaty: „do garów", „na miotle odlecieć", „powinny słuchać mężów, a nie na zebrania latać".

Tak to niestety wygląda. Jedna z inicjatyw, sfinansowana przez Fundusz Feministyczny, to był klub kobiet organizujący spotkania w bibliotece na jednej z lubelskich wsi. Stał się celem ataków ultraprawicowego działacza i księdza. Myślę, że wynika to z przekonania, że takie działania utrudniają kontrolę nad kobietami.

Mówiła pani, że działaczki Funduszu same były zdziwione odzewem na ich inicjatywę ze wsi. Z waszego raportu wynika, że na wsi obowiązują dziś jakby dwa porządki: stary i nowy. Dokonuje się zmiana pokoleniowa?

Tak, i to bardzo widoczna. Młodsze kobiety w wieku 30–40 lat są lepiej wykształcone, pracują poza swoją wsią, ▶

© ŁUKASZ CYNALEWSKI/AGENCJA WYBORCZA.PL, ANNA AMAROWICZ

eprasa.pl fe2da71bd4

▶ mają prawo jazdy. Kobiety starszego pokolenia 60+ są bardziej skłonne akceptować swoją sytuację, „nieść swój krzyż", poświęcić się dla dobra i wizerunku rodziny, bo tak było zawsze. To nie jest kwestia braku świadomości, one wiedzą, że są krzywdzone, ale dalej w tym tkwią. Młodsze już nie pozwalają na pewne rzeczy. Lepiej posługują się internetem, a to oznacza dostęp do informacji, wsparcia, a nawet bezpłatnej pomocy psychologicznej czy prawnej, niedostępnej na miejscu.

Nie chcą już słuchać od swoich matek czy babek: „Ja przetrwałam, ty też przetrwasz". Czy to oznacza, że zaklęte koło przemocy zostało przerwane przez młode pokolenie?

Myślę, że po części tak, a przynajmniej taką mam nadzieję. Młode kobiety doświadczające przemocy w związku opowiadały nam o swoich matkach, babciach czy ciociach, które potrafiły wysłuchać, przytulić, popłakać razem, ale nic poza tym. Mają świadomość, że takie wsparcie jest niewystarczające. Wieś szybko się zmienia pod względem obyczajowym. Rozwód nie jest już takim skandalem jak kiedyś. Jest coraz więcej związków nieformalnych, nieślubnych dzieci, rodzin patchworkowych. I jeszcze jedno zjawisko: dorosłe dzieci, po studiach w mieście, uświadamiają swoim matkom, że przemoc nie jest normalna, trzeba się jej aktywnie przeciwstawiać – i mobilizują je do działania.

Ale z waszego raportu wynika, że dla młodych kobiet na wsi, nawet świadomych i skłonnych zawalczyć o równouprawnienie, pułapką bywa macierzyństwo. Dlaczego?

Urodzenie dziecka powoduje, że kobieta częściej nie wchodzi na rynek pracy albo z niego wypada. Na wsi trudniej wrócić, jest mniej możliwości. Na terenach wiejskich praktycznie nie ma żłobków. Przedszkoli jest mniej niż w mieście. I pytanie: w jakich godzinach takie przedszkole pracuje, czy jest w tej miejscowości, czy w innej, czy można tam dojechać i czym. To wszystko może wpychać kobietę w ekonomiczną zależność od męża czy partnera i samodzielność się kończy.

A jak pani widzi rolę Kościoła w kwestii przemocy wobec kobiet na wsi? W waszym raporcie znalazły się dwie szokujące liczby: tylko jedna trzecia kobiet na wsi chodzi co niedzielę do kościoła, a na pytanie: „do kogo byś się zwróciła o pomoc, doświadczając przemocy", odpowiedź „do osoby duchownej" wybrało 1,6 proc. Czy to znaczy, że rola Kościoła na wsi słabnie?

Aż tak bym nie powiedziała. Myślę, że na wsi to jest nadal autorytet. Chociaż faktycznie, gdy przyjrzeć się naszym respondentkom, większość ma bardzo mało do czynienia z Kościołem. Ale bez względu na to, czy ktoś chodzi do kościoła, czy nie, to on nadal ma wpływ na lokalną społeczność, w której żyje. A oficjalna pozycja Kościoła daje priorytet przetrwaniu małżeństwa czy rodziny kosztem osób doznających przemocy. To słynne: „Nieś swój krzyż". Są przypadki księży, którzy dowiadują się o przemocy, np. podczas spowiedzi, i wspierają kobiety, zachęcają do szukania pomocy. Ale to się dzieje nieformalnie i po cichu. Bardzo szkoda, bo Kościół ma unikatowe możliwości wglądu w sytuację domową swoich wiernych i potężną infrastrukturę, w postaci np. budynków parafialnych, które mogłyby być neutralnymi punktami pomocy. Kobieta wchodząca na komisariat może budzić podejrzenia. Pójście do kościoła nie budzi żadnych podejrzeń, jest bezpieczne.

A jak wygląda rola szkoły?

Zaskakująco pozytywnie. Z jednej strony zmieniło się prawo i szkoła może wszcząć procedurę założenia Niebieskiej Karty. Z drugiej – po sprawie Kamilka i innych tragediach szkoły są wyczulone na przemoc wobec dzieci. Nauczyciele i nauczycielki, pedagodzy i pedagożki są bardziej czujni; obserwują i reagują. Bywa, że podczas rozmowy o przemocy wobec dzieci wychodzi także kwestia przemocy wobec ich matki.

Postawa policji też się zmieniła?

Jest poprawa, ale sporo jeszcze zostało do zrobienia. Wciąż zdarzają się przypadki, gdy kobieta wzywa policję, ona przyjeżdża i proponuje: to może państwo sami się pogodzą. Zwłaszcza gdy sprawca przemocy nie jest pijany i zachowuje się spokojnie, a kobieta nie jest posiniaczona ani zakrwawiona. Policjanci w takich sytuacjach nie bardzo wiedzą, czego się uchwycić. Ale na pewno – także na wsi – policja jest dziś bardziej uczulona na problem przemocy domowej. Ma też większe możliwości prawne niż kiedyś. Może wydać nakaz natychmiastowego opuszczenia lokalu przez sprawcę i zakaz zbliżania. To daje policjantom poczucie sprawczości; wreszcie mogą zrobić coś konkretnego. Tylko że w kontekście wiejskim to niekoniecznie musi działać. Sprawca z zakazem zbliżania przeprowadza się do rodziny albo sąsiada dwa domy dalej i cały czas plącze się w pobliżu.

Najsłabszym ogniwem na wsi jest pomoc instytucjonalna. Co mogą zrobić samorządy?

Z naszego raportu wynika, że tylko 15 proc. gmin faktycznie coś robi, by zapobiegać przemocy domowej, a reszta udaje, że coś robi, albo nie robi nic. Zgodnie z prawem gminy powinny opracować plany przeciwdziałania przemocy domowej, ale tylko niewielki odsetek traktuje to rzeczywiście poważnie. Reszta stwarza jakieś pozory, żeby sprawę odhaczyć, bo ktoś się może przyczepić. A są i takie gminy, które nawet nie udają, że mają jakieś plany. Ośrodków interwencji kryzysowej jest w Polsce za mało, a na terenach wiejskich nie ma ich praktycznie w ogóle. To samo z domami samotnej matki. Bywa, że mieszkająca na wsi kobieta doświadczająca przemocy tkwi w tej sytuacji, bo po prostu nie ma dokąd pójść.

Raport kończą rekomendacje. Poza oczywistymi są też bardziej nowatorskie. Może pani o nich opowiedzieć?

To przeważnie rozwiązania z innych krajów, gdzie świetnie działają. Np. przychodnie i apteki jako dyskretne punkty pierwszego kontaktu, gdzie kobieta może się zgłosić, nie wzbudzając podejrzeń sprawcy i otoczenia. Sygnałem alarmowym jest prośba o konkretny produkt; w Hiszpanii to bodaj maseczka nr 19. Systemów dyskretnego wzywania pomocy jest więcej, np. strony internetowe typu „fałszywe drogerie", gdzie kobieta pod pozorem zamawiania kosmetyków może się skontaktować z organizacją pomocową.

Jest też punkt dotyczący zwierząt. I rozumiem, że nie chodzi o krowy?

Chodzi o zwierzęta domowe, takie jak psy i koty. Ten wątek wybrzmiał zaskakująco mocno. Kobiety będące ofiarami przemocy trzyma w domu poczucie odpowiedzialności za nie. Nie chcą ich zostawiać na pewną śmierć czy cierpienie. Nasze ekspertki sugerują, by instytucje, do których kobieta może trafić, odchodząc od sprawcy, akceptowały zwierzęta domowe. Czy choćby, żeby zapewnić im czasową ochronę w jakimś hoteliku lub w innej formie. Ta zmiana stosunku do zwierząt domowych to także jeden z przejawów przemian obyczajowych, jakie dokonują się na polskiej wsi.

ROZMAWIAŁA JOANNA PODGÓRSKA

eprasa.pl fe2da71bd4



Pasterz i jego wilki

Prawo państwowe ma pierwszeństwo przed procedurami kościelnymi, a biskupi muszą wykonywać obowiązki nałożone na każdego obywatela – przypomniał sąd, skazując ordynariusza tarnowskiego Andrzeja Jeża za krycie pedofilii.

ZBIGNIEW BOREK

Wyrok jest precedensowy, bo dotychczas żaden polski hierarcha kościelny nie był w takiej sprawie oskarżony ani tym bardziej skazany. Pod koniec października po ośmiomiesięcznym procesie Sąd Rejonowy w Tarnowie uznał biskupa Jeża winnym tego, że zaniechał zgłoszenia przestępstw seksualnych księży Tomasza K. i Stanisława P. Wymierzył mu karę dwóch lat ograniczenia wolności.

Wyrok jest jeszcze nieprawomocny, ale już brzemienny w skutki: otwiera nowy rozdział w relacjach państwa z kościołami i staje się punktem zwrotnym w walce o finansową odpowiedzialność instytucji kościelnych. Dotyczy też konkretnych ludzi, których najpierw skrzywdzili pedofile w sutannach, a później ich przełożeni ze szczytów kościelnej władzy. – *Bariera nietykalności hierarchów została przełamana* – mówi 36-letni Tomasz, ofiara księdza pedofila z diecezji tarnowskiej.

Droga krzyżowa

Tomasz zeznawał w sprawie Jeża, bo na początkowym etapie biskup był podejrzewany o zatajanie przestępstw także trzeciego duchownego – Mariana W. Ten wykorzystywał Tomasza seksualnie od piątej klasy podstawówki aż do pełnoletniości, gdy chłopak był ministrantem i lektorem. Wieloletnie molestowanie przypłacił zdrowiem. Przeszedł depresję i zespół stresu pourazowego. Korzystał z pomocy psychiatry, ale nadal dolega mu nerwica, miewa duszności i kłopoty żołądkowe: – *Jestem żonaty, mam dwoje dzieci, pracuję nad doktoratem, ale trauma pozostanie ze mną chyba do końca życia.*

– *To cierpienie typowe dla ofiar pedofilii klerykalnej. Jeśli już, to dowiadujemy się o krzywdzie doznanej w czasie popełniania czynu, a niewiele słychać o drodze krzyżowej, jaką przechodzą później* – podkreśla Artur Nowak, adwokat i autor książek o nadużyciach w Kościele katolickim. Wie, o czym mówi, bo sam był ofiarą księży pedofilów. – *Mimo że jestem prawnikiem, o własnej krzywdzie odważyłem się powiedzieć głośno dopiero w wieku ponad 40 lat. Ofiary księży pedofilów latami wypierają ich czyny. Jako dorośli niekiedy nawet nie chcą być świadomi, że molestowanie seksualne jest przyczyną ich nałogów, nieudanych związków, problemów zdrowotnych czy kompulsywnych zachowań* – mówi mec. ▶

© WOJTEK RADWAŃSKI/AFP/EAST NEWS

eprasa.pl fe2da71bd4

▶ Nowak. Niedawno rozmawiał z ojcem jednego z pokrzywdzonych przez księdza Mariana W.: – *Wyznał, że jego też molestował, gdy był ministrantem. I się rozpłakał.*

Winę Mariana W. Kościół uznał, wydalając go ze stanu duchownego. Zatwierdziła to Stolica Apostolska, a prokuratura ustaliła, że między 2003 a 2012 r. Marian W. wykorzystał 22 chłopców – niektórych dziesiątki razy. Był wtedy proboszczem, chłopcy ministrantami i lektorami, nadużył więc – jak to określa Kodeks karny – stosunku zależności. Został oskarżony o nadużycia wobec 11 osób, bo czyny wobec innych zdążyły się przedawnić. Sąd Rejonowy w Nowym Targu skazał go na 12 lat więzienia za molestowanie ośmiu chłopców. Tamtejszy sąd okręgowy wciąż jednak rozpatruje apelację od tego wyroku. Najbliższą rozprawę zaplanowano na 10 grudnia. Nie wiadomo, czy się odbędzie, bo były duchowny nie stawiał się już na rozprawach, dostarczając zaświadczenia lekarskie o chorobie.

Osiem jego ofiar zdecydowało się nie czekać na wyrok karny i wystąpiło z pozwem cywilnym o 20 mln zł zadośćuczynienia. To największe roszczenie w dziejach Kościoła katolickiego w Polsce. Co ważne, pozwanym nie jest Marian W., lecz kuria, która latami przenosiła go z parafii na parafię, a gdy nadużycia wyszły na jaw, nie zaproponowała ofiarom żadnej pomocy. – *Stojący na jej czele biskup Jeż prezentuje nieprzejednaną postawę. Kuria nie przyjmuje żadnej odpowiedzialności, odrzuca ugodę i obwinia ofiary* – mówi Nowak, który reprezentuje powodów w tym procesie. Nawiązuje do arogancji, z jaką pełnomocnik kurii odrzucił roszczenia: mec. Krzysztof Nocek sugerował, że ofiary w części same są sobie winne, bo akceptowały przestępcze zachowania księdza. Gdy ujrzało to światło dzienne, przedstawiciele kurii zapewniali, że słowa jej pełnomocnika zostały wyrwane z kontekstu, a Jeż oświadczył oficjalnie, że wina leży wyłącznie po stronie sprawcy.

Nie zmienia to faktu, że proces się przeciąga. Do końca tego roku sąd czeka na opinię biegłych z zakresu psychologii i seksuologii, którzy mają oszacować skalę krzywdy, jakiej doznali pokrzywdzeni. Diecezja tarnowska będzie musiała się też zmierzyć z konsekwencjami innych pozwów. Jak ujawniła „Gazeta Krakowska", w tym roku jedna z ofiar klerykalnej pedofilii zażądała od kurii 400 tys. zł, a od 2020 r. toczy się też proces z powództwa byłego ministranta. Domaga się 1 mln zł od kurii i ks. Stanisława P., który go molestował w parafii Przecław. To ten duchowny, którego przestępstwa biskup Jeż zataił przed organami ścigania.

Zero tolerancji

Linię obrony Andrzeja Jeża kuria nakreśliła w specjalnym komunikacie na początku procesu, a szczegóły uzupełnili pełnomocnicy biskupa na wokandzie. Po pierwsze: Stanisław P. został ukarany wydaleniem ze stanu duchownego, a Tomasz K. inną karą kościelną. Po drugie: kuria zgłosiła ich przestępstwa prokuraturze, gdy w ramach procedur kanonicznych upewniła się, że doniesienia na ten temat są wiarygodne. Po trzecie: biskup w tej sprawie czekał na decyzje Watykanu. „Każdy biskup podlega również regulacjom wynikającym z prawa kościelnego" – czytamy w komunikacie, który podkreśla również, że władze diecezji tarnowskiej dokonały w ciągu minionych lat kilkunastu zgłoszeń, wprowadzając zasadę „zero tolerancji".

> O ile skazanie biskupa można odczytać jako ostrzeżenie dla władz Kościoła, o tyle niska kara ma wymowę przeciwną.

Sąd uznał jednak argument prokuratury. Podstawą aktu oskarżenia była nowelizacja Kodeksu karnego z 2017 r., która przekształciła dotychczasowy „obowiązek społeczny" (nie wiązał się z żadną sankcją karną) w prawny nakaz niezwłocznego zawiadomienia organów ścigania o posiadaniu wiarygodnej informacji o przestępstwie pedofilii (niedopełnienie grozi trzema latami więzienia). Śledczy zarzucili Jeżowi, że w sprawie ks. Stanisława P. i ks. Tomasza K. zwlekał ze zgłoszeniem. W przypadku ks. P. zawiadomienie złożono dopiero po publikacjach prasowych i apelach ks. Tadeusza Isakowicza-Zaleskiego, aż z trzyletnim opóźnieniem. Skutek? Przedawnienie karalności czynów wobec co najmniej 23 pokrzywdzonych. Z kolei o sprawie ks. K. służby państwowe poinformowano z poślizgiem czteroletnim.

Pełen obraz sprawy widać dopiero, gdy uwzględnimy skalę nadużyć obu księży. Z ustaleń prokuratury wynika, że Stanisław P. dopuścił się czynów pedofilskich wobec 77–95 dzieci w parafiach w Polsce i Ukrainie. Pierwsze sygnały o jego zachowaniach docierały do kurii w Tarnowie już w 2002 r., czyli za kadencji biskupa Wiktora Skworca, a w 2013 r. pod nadzorem biskupa Jeża prowadzono postępowanie kanoniczne. Mimo przerażającej skali krzywd sprawa karna przeciwko ks. Stanisławowi P. została w 2022 r. umorzona ze względu na przedawnienie karalności. Z kolei ks. Tomasz K. według prokuratury dopuścił się molestowania seksualnego w latach 2008–10, ale sprawę zgłoszono prokuraturze dopiero, gdy jeden z pokrzywdzonych ujawnił, że w chwili czynu miał poniżej 15 lat. Akt oskarżenia trafił do Sądu Rejonowego w Nowym Sączu. Postępowanie było zawieszane ze względu na stan zdrowia duchownego, ostatnia rozprawa odbyła się 16 października, proces jest w toku.

„Oskarżony miał jedynie i aż złożyć zawiadomienie" – mówiła sędzia Małgorzata Adamczyk, uzasadniając wyrok skazujący Jeża. Podkreśliła, że biskup nie jest powołany do oceny nadużyć, bo tym zajmują się policja i prokuratura. Jego tłumaczenia uznała za niewiarygodne. Podkreśliła, że dopuścił się umyślnego zaniechania zgłoszenia przestępstwa, bo kodeks kanoniczny nie jest źródłem prawa powszechnie obowiązującego w Polsce, duchownych zaś obowiązują takie same przepisy jak wszystkich obywateli. „Sąd udowodnił, że wobec prawa nie ma równych i równiejszych" – skomentował prokurator Marcin Stępień. Obrona utrzymuje, że biskup jest niewinny, i zapowiedziała apelację.

Na biednego (nie) trafiło

O ile skazanie „samego biskupa" można odczytać jak sygnał ostrzegawczy dla kościelnych elit, o tyle niska kara ma wymowę przeciwną. Dwa lata ograniczenia wolności nie oznaczają bowiem, że Jeż będzie przycinał miejskie żywopłoty albo sprzątał szpitalne korytarze przez 20 czy 40 godzin w miesiącu. Zamiast tego ma płacić 25 proc. wynagrodzenia na fundację pokrzywdzonych dzieci (dodatkowo jednorazowo 20 tys. zł na pomoc postpenitencjarną), a biskup zadeklarował pensję w wysokości 4,8 tys. zł brutto. To by oznaczało, że zarabia najniższą krajową (4806 zł), choć stoi

eprasa.pl fe2da71bd4

na czele „najwierniejszych z wiernych". Według danych Instytutu Statystyki Kościoła Katolickiego za 2024 r. wierni diecezji tarnowskiej najczęściej chodzą na mszę św. (62,3 proc. przy średniej krajowej 29,5 proc.) i przyjmują komunię (26,1 proc., w kraju 14,6 proc.), a to przekłada się na ofiarność.

– *Duchowni diecezji tarnowskiej zapewne śmieją się w głos, słysząc, jak niewiele zarabia ich pasterz* – komentuje ks. prof. Andrzej Kobyliński, filozof, kierownik Katedry Etyki Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie. Taka wysokość kary to według niego kompletny nonsens. – *Wynagrodzenie z tytułu umowy o pracę, którego wysokość każdy biskup de facto wyznacza sobie sam, jest niewielkim fragmentem realnych dochodów. Znakomita ich większość pochodzi z ofiar pieniężnych otrzymywanych od proboszczów w parafiach przy okazji bierzmowań, kazań odpustowych, wizytacji kanonicznych, różnego rodzaju jubileuszy itp. Każdy taki wyjazd to poważne pieniądze, które wędrują do kieszeni biskupa. Czasami księża przekazują biskupom kwoty znacząco większe, niż jest to przyjęte, ponieważ chcą pozyskać ich przychylność w kontekście awansu do większej parafii czy uzyskania tytułu prałata lub kanonika* – dodaje ks. prof. Kobyliński.

Spróbujmy to policzyć. Diecezja tarnowska ma 456 parafii – najwięcej w kraju. Według prawa kanonicznego biskup powinien odwiedzić każdą raz na pięć lat, czyli przeprowadza średnio 91 wizytacji rocznie i siedem–osiem miesięcznie. – *Może wyznaczyć do tego zadania biskupa pomocniczego, ale każdorazowo traci w ten sposób potężną gotówkę* – mówi duchowny znający lokalne realia. Jego zdaniem ordynariusz tak dużej i religijnej diecezji jak tarnowska wyjeżdża do parafii co dwa–trzy dni, ale niekiedy odwiedza dwie parafie dziennie, bo w jednej święci wyremontowaną wieżę kościelną, a w drugiej remizę. – *Takich wyjazdów jest więc od 150 do 200 rocznie* – twierdzi. Datki dla biskupa zależą od wielkości parafii i okoliczności: od 1 tys. zł za krótką wizytę do nawet 10 tys. zł za wizytację kanoniczną, która łączy się z mszą i spotkaniem z parafianami czy radą parafialną. To by znaczyło, że rocznie otrzymuje od 825 tys. zł do 1,1 mln zł. A gdzie inne „świadczenia"? Gdzie koszty mieszkania, wiktu, opierunku i darmowego transportu limuzynami, za które płaci diecezja?

Kara nałożona na Jeża w zestawieniu z jego rzeczywistymi dochodami i przywilejami ma wymiar symboliczny: to 1,2 tys. zł miesięcznie, czyli 28,8 tys. zł przez dwa lata. Teoretycznie to się może zmienić: po uprawomocnieniu się wyroku sąd w postępowaniu wykonawczym powinien zweryfikować deklarowane przez biskupa dochody. Szkopuł w tym, że w Kościele wciąż funkcjonuje tradycja przekazywania pieniędzy nie przelewem, lecz w kopercie. Takie wpływy są okryte tajemnicą, podobnie zresztą jak gaża trzyosobowego zespołu prawników, który bronił Jeża przed sądem. Był wśród nich były minister sprawiedliwości prof. Zbigniew Ćwiąkalski, od lat zaliczany do czołówki krajowej palestry.

POLITYKA zapytała w tarnowskiej kurii, ile to kosztowało i kto za to zapłaci. Nie doczekaliśmy się odpowiedzi, skąd może płynąć wniosek, że zapłacą wierni diecezji. Oni też zrzucą się na ewentualne kary orzeczone w procesach cywilnych wytoczonych kurii za grzechy księży pedofilów. „Diecezja utrzymuje się głównie z datków wiernych, a zatem w przypadku zasądzenia wypłaty odszkodowań to przede wszystkim wierni zostaliby obarczeni obowiązkiem zadośćuczynienia za przestępstwo, które popełnił konkretny człowiek" – odpisał nam przy innej okazji ks. Ryszard St. Nowak, sekretarz biskupa tarnowskiego.

> Biskup oświadczył przed sądem, że gdyby powiadomił organy ścigania przed Watykanem, straciłby stanowisko.

Żołnierze Watykanu

Choć w Polsce skazanie urzędującego ordynariusza jest wydarzeniem bezprecedensowym, na świecie sądy państwowe od lat egzekwują ich odpowiedzialność karną. W 2001 r. biskup francuskiej diecezji Bayeux i Lisieux Pierre Pican został ukarany trzema miesiącami więzienia w zawieszeniu za to, że nie doniósł o aktach pedofilii podległego księdza. W 2012 r. biskupa Roberta Finna z Kansas City w USA skazano na dwa lata nadzoru sądowego za to, że zwlekał z doniesieniem o znalezieniu materiałów z pornografią dziecięcą na komputerze podległego duchownego. W marcu 2019 r. głośnym echem odbił się wyrok wobec kardynała Philippe'a Barbarina, metropolity Lyonu i prymasa Galii, skazanego na sześć miesięcy więzienia w zawieszeniu za nieprzekazanie służbom informacji o napaściach seksualnych ks. Bernarda Preynata na skautów. Wyrok został uchylony w apelacji, ale w tym samym roku Franciszek zniósł tajemnicę papieską w sprawach dotyczących wykorzystywania seksualnego małoletnich, przemocy seksualnej i tuszowania takich przestępstw. Dzięki temu dokumenty z postępowań kanonicznych mogą być przekazywane uprawnionym organom państwowym. I na ten fakt także powołała się sędzia Adamczyk, skazując Andrzeja Jeża.

Poprosiliśmy o komentarz do wyroku przedstawicieli tarnowskiej kurii, a także prymasa Polski arcybiskupa Wojciecha Polaka. Odmówili. Watykan nie musi czekać na uprawomocnienie tego wyroku: może zdymisjonować Jeża z powodu utraty zaufania społecznego. Mógł też odsunąć biskupa od obowiązków na czas procesu. Niektórzy biskupi w takich sytuacjach sami zawieszali pełnienie urzędu, ale Andrzej Jeż nie pofatygował się nawet do sądu, żeby usłyszeć wyrok. – *Przynajmniej do uprawomocnienia się włos mu z głowy nie spadnie, bo udowodnił, że jest karnym żołnierzem państwa watykańskiego* – mówi jeden z naszych rozmówców. W trakcie procesu biskup oświadczył przed sądem, że gdyby udostępnił dokumenty polskim organom ścigania przed wysłaniem do Watykanu, straciłby stanowisko. „Tak samo zeznał wcześniejszy biskup Skworc" – zauważyła sędzia Adamczyk. Przypomniała zeznania ks. Roberta Kantora, kanclerza tarnowskiej kurii: „Gdybyśmy nie dokonali tych zgłoszeń, nie byłoby całego problemu".

W ocenie sądu to przedkładanie własnego interesu nad interes pokrzywdzonych dzieci i ich rodziców. „Od biskupa, który ma nieograniczoną władzę w diecezji, oczekuje się zdecydowanie więcej" – mówiła sędzia. I podkreśliła, że każdy obywatel, w tym przełożony kościelny, który dowiaduje się o przypadku pedofilii, ma prawny obowiązek zgłosić to policji lub prokuraturze, a zatajenie takiej wiedzy jest przestępstwem.

ZBIGNIEW BOREK

eprasa.pl fe2da71bd4



Rodziny bez więzi

Polska rodzina to często pole minowe niespełnionych oczekiwań, żalów i frustracji. Przez lata najlepszą metodą na wspólne trwanie było udawanie. Dziś jest zrywanie kontaktu lub ograniczenie relacji. Pęknięte rodziny trudno posklejać.

AGATA SZCZERBIAK

Na rodzinne coming outy zdobywają się osoby o rozpoznawalnych nazwiskach. Bramkarz Wojciech Szczęsny mówi o nieutrzymywaniu kontaktu z ojcem; „Nigdy nie doprowadzę do tego, żeby mój syn bał się, bo tata przychodzi do domu". Modelka Katarzyna Butowtt w wywiadach dzieli się historią przemocy, jakiej doświadczyła od matki i ojca: „»Jesteś zerem, do niczego się nie nadajesz« – tylko takie stwierdzenia słyszałam w domu" – opowiadała w wywiadach. Dziennikarz Wiktor Słojkowski wydał książkę o znamiennym tytule „Matka nikt". Wyznał w niej, że w dzieciństwie marzył, by trafić do domu dziecka.

Za tym idą opowieści anonimowe, zawiązywanie internetowych grup wsparcia dla osób, które zdecydowały się na rodzinną separację – największe liczą kilkanaście tysięcy członków. – *Konfrontacja z rodowymi i pokoleniowymi traumami, prowadzącymi do ograniczenia lub zerwania relacji z rodzicami to wieloaspektowe, jak i stosunkowo nowe zagadnienie, z którym się teraz mierzymy* – mówi prof. Katarzyna Wałecka-Matyja, psycholog z Uniwersytetu Łódzkiego, badaczka relacji rodzinnych. Relacje zrywają ci z domów inteligenckich i ci z domów w butelce. Motywacje są różne, ale przyczyny podobne – brak ciepła.

Gula w sercu

Agnieszka, 54-latka, opowiada, że poczuła się pierwszy raz w życiu dorosła dopiero w zeszłym roku, kiedy zerwała

ILUSTRACJA **MARTA FREJ**

eprasa.pl fe2da71bd4

kontakt z rodzicami. Oni, lekarka i inżynier, postanowili w latach 70. robić kariery i zostawili dwutygodniową córkę na wychowanie dziadkom.

– *Jak urodziłam moją córkę, spojrzałam na nią, to pierwsza myśl, jaka przyszła mi do głowy: „Jak można zostawić takie malutkie dziecko? Jak można zrezygnować z karmienia, z przewijania, z przytulania?”* – pyta retorycznie. Rodzice odwiedzali ją co kilka tygodni, wróciła do nich jako odchowana 10-latka. Do dzisiaj został jej nawyk czekania w oknie na spodziewanego gościa. Jej partner o 18.00 wraca z pracy, ona już o 17.00 stoi w oknie, czeka.

Przez wiele lat każdy telefon do rodziców to automatyczna gula w gardle. Rodzice mieli konkretne wyobrażenia na temat tego, kogo i kiedy poślubi, jaki zawód wybierze, jaki zawód powinien mieć jej przyszły mąż. Nie pamięta przytulania, „kocham cię”, miłego słowa. Ostatnia rozmowa była obwiniająca. – *Moja matka stwierdziła, że z jakichś niewiadomych dla niej przyczyn jej nienawidzę. Usłyszałam, że mam tylko wymagania* – wspomina Agnieszka. – *Pomyślałam wtedy: mam 54 lata, wystarczy. Moja przyjaciółka próbowała mnie mitygować: „Aga, no weź, ona ma 80 lat, ile jej zostało?”. Odpowiadam jej wtedy: „Okej, ale miała te 80 lat i ich nie wykorzystała”.*

Część dzieci odcina się od rodziców, żeby ratować siebie. Inni chcą w ten sposób „ukarać” tych, którzy nie potrafili kochać, przytulać albo po prostu słuchać. Tyle że bardzo trudno nauczyć słuchać kogoś, kto nigdy tego nie potrafił.

Potencjał na pęknięte rodziny jest w Polsce bardzo wysoki, bo w jednym czasie zderzają się ze sobą dwa skrajnie różne pokolenia, dwa modele wychowania, dwie wizje życia. Z badań przeprowadzonych na polskich uczelniach wyższych wynika, że 18 proc. studentów nie wybrało samodzielnie swojego kierunku, bo tę decyzję podjęli za nich rodzice. Przekłada się to później na dwukrotnie wyższe prawdopodobieństwo porzucenia dalszej nauki. W takim scenariuszu buntu nastolatka nie ma. W wieku 30 lat wciąż dzwoni się do swoich rodziców przynajmniej raz dziennie – pytanie, na ile z potrzeby, a na ile z zewnętrznego przymusu. W takim układzie redukcja liczby rozmów telefonicznych z siedmiu do jednej w tygodniu może wydać się z perspektywy rodzica radykalna.

– *Narracja o dramatycznym i niespodziewanym zerwaniu kontaktów najczęściej pochodzi od rodzica, który nie jest w stanie zaakceptować tego, że jego dziecko zaczyna stawiać granice* – uważa Beata Rajba, terapeutka EMDR (metody leczenia trudnych doświadczeń życiowych). I dodaje: – *W większości przypadków dziecko próbuje. W swojej praktyce spotkałam się tylko raz z dzieckiem, które było roszczeniowe i zerwało kontakt w sposób szantażujący. Najczęściej dzieci rozpaczliwie przez długi czas próbują zadowolić rodziców.* Jej wnioski pokrywają się z doświadczeniami innych terapeutów. – *Do gabinetu trafiają rodzice w głębokim zagubieniu. Nie rozumieją, dlaczego dorosłe dzieci nagle ucięły kontakt, bo nie usłyszeli od nich żadnych wyjaśnień* – mówi Magda Sękowska, psychoterapeutka z 40-letnim stażem. W takich sytuacjach radzi im, by nie oceniali takiej decyzji z gruntu negatywnie – ważne jest przyjrzenie się dynamice relacji z dzieckiem, bo często właśnie w niej tkwi wyjaśnienie jego oddalenia się. Nie oznacza to, że rodzice mają ślepo zgadzać się z dzieckiem, ale muszą je w końcu usłyszeć.

Co nie zapobiegnie wszystkim separacjom. – *W rodzinach wiele decyzji podejmujemy emocjonalnie. Jako społeczeństwo właściwie nie wychodzimy z traumy. Co czwarty dorosły Polak spełnia kryteria diagnostyczne zespołu stresu pourazowego (PTSD). To gigantyczny odsetek, kilkakrotnie przewyższający średnią dla Europy Zachodniej. Może tak być, że w kontekście rodzinnych konfliktów czasami znalezienie winnego powoduje ulgę, daje poczucie rozluźnienia, odłączenia od cierpienia i chwilowego poczucia wzięcia życia w swoje ręce* – dodaje Sękowska.

Dzieciństwo na etacie

Z dzieciństwa Kamil pamięta pukających do drzwi komorników, wychłodzone mieszkanie po wyłączeniu ogrzewania i prądu, eksmisję, pijaną matkę leżącą w wymiocinach na podłodze, atakującą nożem jego ojca, codzienne bicie. Kiedy on i jego rodzeństwo dorośli, zaczęli pożyczać pieniądze – miały być na życie, ostatecznie szły głównie na alkohol dla matki. A ponieważ w Polsce dorośli domownicy odpowiadają solidarnie za długi czynszowe, Kamil, mając 21 lat i wyprowadzając się z domu, był winny państwu 50 tys. zł.

Z matką po raz ostatni rozmawiał 10 lat temu. Po charakterystycznym bełkocie i barwie głosu, który słyszał już wiele razy, zorientował się, w jakim jest stanie. Przypomniało mu się, jak piła i znikała z domu. Jako 10-latek zostawał sam na dwa, trzy tygodnie. – *To były lata 90. i inne podejście do rodzicielstwa. Nikt się wtedy nie dziwił latającym samopas dzieciakom, przychodzącym do szkoły w dziurawych ubraniach, bez podręczników. I to mimo że po drugiej stronie ulicy był MOPS* – opowiada. Miłość dziecka ma to do siebie, że jest jeszcze mniej racjonalna niż każda inna. – *Długo broniłem mamy w kłótniach ze starszym bratem i siostrą, którzy wcześniej uciekli z domu. W końcu przed samym sobą przyznałem, że takie dzieciństwo to jednak nie był standard dla wszystkich* – mówi. Po kilku latach od wyprowadzki Kamila z domu matka chciała, by płacił jej alimenty. Sąd oddalił wniosek. – *Nawet nie wiem, czy będę w stanie pójść na jej pogrzeb* – mówi dziś 35-letni mężczyzna.

Grzegorz, rocznik 1984, opowiada, że przez lata to on był ojcem dla swojej matki i jednocześnie dla młodszego rodzeństwa. – *Moja mama straciła rodziców w dość młodym wieku. Do dziś właściwie potrzebuje opiekuna, który będzie się nią zajmował. Wychowywała mnie po prostu mała dziewczynka* – mówi. Dom był z tych skupionych na butelce. Od siódmego roku życia to Grzegorz odprowadzał i przyprowadzał młodsze rodzeństwo ze szkoły i przedszkola. Potem doszły kolejne obowiązki – pilnowanie matki, żeby jak najmniej piła, opłacanie mieszkania, robienie zakupów spożywczych.

W takich trudnych rodzinach budowane latami napięcie wybucha gwałtownie i w sposób niekontrolowany. Potrzebny jest tylko jakiś wyzwalacz, który powoduje rodzinną katastrofę. Często to śmierć ważnej osoby, aktywizująca rozliczenia. Dla Grzegorza takim triggerem było odejście ojca. A właściwie wszystko to, co po nim nastąpiło. Ojciec mimo wieloletniej pracy w Niemczech zostawił długi w Polsce, dlatego Grzegorz zajął się sprawdzaniem, jak odrzucić spadek. – *Usłyszałem, że jestem materialistą, nie dbam o matkę i nie przejmuję się tym, jak jest jej ciężko. Od słowa do słowa strasznie się pokłóciliśmy* – dodaje. Minęły trzy lata. Dziś mówi: – *Kiedy ostatnio zobaczyłem jej zdjęcie na Facebooku, poczułem jedynie odrazę.* Jedyną przestrzenią, jaką dziś mogą dzielić, jest rodzinna grupa na Messengerze. ▶

eprasa.pl fe2da71bd4

▶Przez lata głównym celem wychowywania dzieci było to, żeby można o nich powiedzieć: ciche, posłuszne, bezproblemowe. W taki sposób wychowali swoje dzieci przede wszystkim boomersi (urodzeni w latach 1946–64). Ten styl był – z dzisiejszej perspektywy – autorytarny, nastawiony na posłuszeństwo, przetrwanie i samodzielność. Lecz jednocześnie oni też mieli swoją rewolucję, bo zdołali zszokować swoich rodziców, znosząc choćby piętno związane z rozwodem. Kiedyś bowiem w imię dobra dzieci się nie rozwodziliśmy, dziś rozwodzimy się właśnie dla nich – by nie miały złych wzorców miłości i związku.

Dzieci boomersów, czyli pokolenie X (przyszło na świat w latach 1965–79), nauczone zaciskania zębów i walki o przetrwanie w życiu, wychowując pierwszych milenialsów (1980–96) oraz dzisiejsze zetki (1997–2010), stawiały na sukces edukacyjny i budowanie niezależności. Z kolei dwa najmłodsze pokolenia są diametralnie różne, jeśli chodzi o podejście do relacji, związków czy emocji. – *Eksplorują emocje, są empatyczne i jednocześnie żądają empatii. Efekt jest taki, że starszym pokoleniom wydają się nadwrażliwi. Zabierają na niedzielne obiady książki o samopomocy, wspominają o kręgach wsparcia i opowiadają o dowodach rodzicielskiej winy, co jest trudne z perspektywy rodziców* – opisuje Beata Rajba.

Jednocześnie postawę starszych milenialsów i przedstawicieli późnego pokolenia X (czyli osoby urodzone w przybliżeniu w latach 1975–88) cechuje nadmierna opiekuńczość i „dronowe" rodzicielstwo. O ile rodzic helikopter stale krążył nad dzieckiem w sposób fizyczny, głośny i zauważalny, o tyle rodzic dron nadzoruje dziecko dyskretnie i przy użyciu zaawansowanych technologii, np. aplikacji do współdzielenia lokalizacji. Pokolenie Z (najstarsi mają 29 lat), które zaczyna mieć swoje własne dzieci, odbija w drugą stronę. Wychowuje dzieci w indywidualizmie, w sposób skoncentrowany na emocjach, bliskości i partnerskiej relacji, odrzucając autorytarny model „bo ja tak mówię".

Choć uważa się, że nadszarpnięte dziś relacje rodzinne, zerwane, redukowane lub pełne złości, to efekt buntu młodych, między boomersami a pokoleniem X też nie zawsze jest lekko. – *Do mojego gabinetu przychodzą zarówno 40-latkowie, jak i 50-latkowie* – mówi Magdalena Sękowska, terapeutka. – *Potrzeba zrozumienia wzajemnych relacji w rodzinie okazuje się ponadpokoleniowa. Dzieci próbują nadać określone znaczenia relacjom z rodzicami, to samo robią też rodzice – każdy z nas chce zrozumieć dziejącą się w rodzinie dynamikę.*

Matka jest tylko jedna

Polskich statystyk nie ma, ale można posłużyć się zagranicznymi i zaryzykować, że skoro żyjemy w podobnym kręgu kulturowym, nasze byłyby zbliżone. W Wielkiej Brytanii badania przeprowadzone przez organizację Stand Alone wskazują, że problem rozłamu rodzinnego – rozumianego jako sytuacja, w której komunikacja między członkami rodziny została zerwana – dotyczy około jednej piątej rodzin. I jeszcze te amerykańskie: sondaż przeprowadzony przez YouGov wykazał, że 38 proc. dorosłych Amerykanów nie utrzymuje kontaktów z którymś z członków rodziny. Najczęściej z rodzeństwem (24 proc.), rodzicem (16 proc.), dzieckiem (10 proc.), dziadkiem lub babcią (9 proc.) oraz wnukiem lub wnuczką (6 proc.).

Choć nie ma twardych statystyk, to z rozmów z terapeutami wynika, że matkom obrywa się bardziej niż ojcom. – *Matka to ten rodzic, do którego przychodzi się z rozbitym kolanem, który robi kanapki do szkoły i zabiera na szczepienia, natomiast paradoksalnie dzieci bardziej kochają tego rodzica, który jest mniej obecny. Najczęściej ojca. To jego idealizują* – tłumaczy Beata Rajba. Reakcje na ograniczenie lub zerwanie kontaktu przez dorosłe już dziecko matki i ojcowie też mają różne. Matki częściej zamykają swoje frustracje w jednym zdaniu: „Tyle dla ciebie poświęciłam". Ojcowie z kolei manipulują oddaleniem. – *Starają się zmusić dziecko do kapitulacji poprzez karanie ciszą, odsuwanie się i ostentacyjną złość.*

Cierpienie emocjonalne potrafi naznaczać czy wręcz porządkować wiele lat dorosłego życia. Grzegorz (42 lata) pod koniec szkoły podstawowej zaczął pić jak jego matka. – *Przepiłem pół życia. Jak miałem 28 lat, poszedłem na terapię, potem na mityngi dla anonimowych alkoholików. Teraz nie jestem w terapii, czytam poradniki. Jak widzę coś, co pasuje do mnie, biorę to do siebie i próbuję wprowadzić w swoim życiu* – opowiada. Raz w miesiącu zagląda na rodzinną grupę na Messengerze. Patrzy na powiadomienia, ale niczego nie pisze. Mówi, że nie tęskni za rodziną, nie odczuwa potrzeby, trudno mu sobie wyobrazić, jak miałoby wyglądać ich spotkanie. Właśnie rozstał się z partnerką. Kłamie przy pytaniach w pracy typu: „A co tam u rodziców?", bo nie ma siły tłumaczyć całego swojego życia.

Agnieszka (54 lata) czuje presję społeczną i słyszy rzucane w dobrej wierze hasła: „ale to wciąż twoja matka", „będziesz żałować na pogrzebie", „rodzinę ma się tylko jedną". – *Moje dzieci to moja jedyna rodzina. Ja nie mam innych krewnych. No taki wylosowałam los na loterii* – mówi.

Powroty

– *Kiedy mamy do czynienia z drastycznymi historiami i rodzinną przemocą, czasami jedyną formą ochrony jest odłączenie* – mówi Magdalena Sękowska. Ucięcie kontaktu czy zmiana jego regularności nie są łatwe. Tylko co dziesiąty z nas uważa, że bez rodziny można żyć szczęśliwie. – *Jednocześnie mamy teraz moment, w którym nasze rodzinne frustracje zaczynają wychodzić z podziemia i przenikają do publicznej dyskusji. Te wszystkie traumy, żale, gniew, złość przestają być tajemnicą* – dodaje.

Zgodnie z głośnymi badaniami przeprowadzonymi przez prof. Kristinę Scharp z Uniwersytetu Stanowego w Ohio – w Polsce adekwatnych badań nie ma – większość dorosłych dzieci, które zerwały kontakt z rodziną, ponownie nawiązuje z nią relacje. Ośmioro na dziesięcioro dorosłych dzieci godzi się z matką, z którą nie utrzymuje kontaktów, a siedmioro na dziesięcioro – z ojcem. – *Dzieci najczęściej nie zrywają kontaktów na zawsze, ale oddalają się na bezpieczną odległość. Taką, w której się nie cierpi, a dopiero potem przychodzi etap budowania relacji od nowa* – opowiada Beata Rajba.

Czasami dystansowanie się może być sposobem na uwolnienie się – ale nie od przemocy, tylko od zbyt bliskiej, wręcz duszącej relacji. – *Pojawiają się u mnie córki z matkami, ojcowie z synami, babcie z wnuczkami i to jest bardzo wzruszające* – opowiada Magda Sękowska. – *To nie jest tak, że rzucają się sobie od razu w ramiona, ale chcą porozmawiać też przy kimś, kto pomoże im nie wejść w stary schemat. Często mówią o tym, że kochają się, ale ta miłość już się zmieniła.* I potrzebuje nowej formy wyrazu.

AGATA SZCZERBIAK

eprasa.pl fe2da71bd4

We wtorek 17 listopada w Wyborczej kalendarz przyrodniczy

Łoś, żubry, wróble, dzik, sowa i wiele innych zwierzaków na zdjęciach **Adama Wajraka**



POLECA

GAZETA wyborcza

SPONSOR

HOYA VISION CARE

eprasa.pl fe2da71bd4

RYNEK

Kosmiczny biznes



Satelita Gen4 spółki kosmicznej ICEYE nad Europą



Rozmowa z Rafałem Modrzewskim, współtwórcą i prezesem spółki kosmicznej ICEYE, dysponującej największą na świecie konstelacją satelitów wyposażonych w radar SAR, o tym, jak się robi interesy w kosmosie, a także jakie szanse i zagrożenia stoją przed europejskim i polskim biznesem kosmicznym.

eprasa.pl fe2da71bd4

ADAM GRZESZAK: **– Panie prezesie…**

RAFAŁ MODRZEWSKI: – Oj nie. Wolałbym Rafale...

Rafale, stałeś się gwiazdą polskiego biznesu. Kimś takim jak w sporcie jest Robert Lewandowski albo Iga Świątek. Wszyscy o tobie mówią, wszyscy cię chwalą, zdobyłeś tytuł Przedsiębiorcy Roku 2025, polski prezydent powołał cię do Rady Biznesu, a premier do Rady Przyszłości. Towarzyszyłeś premierowi Tuskowi w oficjalnej wizycie w Indiach, a wcześniej gościłeś go w warszawskim biurze. Ale przecież spółka ICEYE, której jesteś współzałożycielem i prezesem, powstała w Finlandii. Jesteś więc polskim czy fińskim przedsiębiorcą?

Nie jestem Finem. Mam tylko jedno, polskie obywatelstwo, pochodzę z Katowic, dlatego myślę, że jestem polskim przedsiębiorcą. Kiedyś premier Jerzy Buzek mówił, że najpierw czuje się Europejczykiem, a potem Polakiem i Ślązakiem. Zapadło mi to w pamięć, bo wychowałem się na Śląsku, ale już w otwartej Polsce. Znajomi z innych krajów czy wyjazdy, np. na wymiany szkolne czy studenckie, nie były niczym niezwykłym. Dlatego firma, którą założyłem, jest europejska. Więc może powinienem powiedzieć, że jestem przedsiębiorcą europejskim, następnie polskim, a później śląskim?

Ale spółka ICEYE jest zarejestrowana w Finlandii.

ICEYE jest dziś firmą międzynarodową. Powstała wprawdzie w Finlandii, główną siedzibę mamy w Espoo, ale niedługo po tym, jak założyliśmy firmę, otworzyliśmy biuro w Polsce i zarejestrowaliśmy tu działalność. W Warszawie działają Centrum Operacji Satelitarnych i zespoły inżynieryjne, które pracują nad przyszłością naszych systemów. Mamy też placówki w innych krajach: w Niemczech, Portugalii, Holandii, Wielkiej Brytanii, Grecji, USA, Indiach, Japonii, Korei Południowej, Zjednoczonych Emiratach Arabskich, a nawet Australii. Zatrudniamy prawie 1,5 tys. osób, reprezentujących ponad 60 narodowości. Tak że kapitał zaangażowany w naszą spółkę pochodzi z wielu krajów.

Masz dopiero 37 lat. Jak chłopak z Katowic Zawodzia tak szybko stał się współtwórcą i prezesem wielkiej międzynarodowej firmy kosmicznej, wycenianej dziś na ponad 10 mld euro?

Przez przypadek.

Przypadek?!

Po maturze jako laureat olimpiady fizycznej mogłem wybrać uczelnię, na której chcę studiować. Wybrałem Wydział Elektroniki i Technik Informacyjnych Politechniki Warszawskiej. Podczas studiów w ramach programu Erasmus wyjechałem do Finlandii na Uniwersytet Aalto. Wiedziałem, że tam mają dobry wydział radioelektroniki, a to była dziedzina, która mnie interesowała. Jeden z profesorów prowadził wówczas grupę studentów budujących nanosatelitę, który na orbicie miał przeprowadzić kilka eksperymentów naukowych. Uwielbiam projektować i własnoręcznie budować rozmaite urządzenia, więc się przyłączyłem. Tam nauczyłem się sporo o satelitach i ich konstrukcji, no i zaprzyjaźniłem z Pekką Laurilą, moim przyszłym wspólnikiem. Dziś odpowiada on za strategię rozwoju ICEYE.

I wtedy postanowiliście, że założycie start-up kosmiczny?

Jeszcze nie. Uczelnia zorganizowała dla studentów kurs tworzenia i prowadzenia start-upów. Ciekawiło nas to, więc się zapisaliśmy. Żeby zaliczyć kurs, należało wymyślić projekt jakiejś firmy i przygotować biznesplan.

Co zaproponowaliście?

Rozważaliśmy różne pomysły, nie wszystkie dotyczyły kosmosu. Uznaliśmy jednak, że najłatwiej będzie nam zaliczyć kurs czymś związanym ze studenckim projektem satelity. Zgłosiliśmy plan stworzenia firmy, która będzie budować dużo satelitów. Musieliśmy się zastanawiać, kto te satelity będzie kupował albo co będą oferować, żeby ktoś chciał z nich korzystać. W pewnym momencie wpadliśmy na pomysł monitoringu lodu na Oceanie Arktycznym, by pomóc żegludze z Azji do Europy. Był potencjalny klient, była też potrzeba, którą zaspokajał system satelitarny. System wymagał jednak wielu małych, radarowych satelitów.

Kurs zaliczyliście?

Zaliczyliśmy i usłyszeliśmy: „Dobry pomysł, to ma sens, no to zabierajcie się do roboty". I po wypełnieniu kilku formularzy dostaliśmy od uniwersytetu pierwszy grant na rozpoczęcie projektu. W Finlandii istniały już start-upy, były też osoby, które odniosły sukces na tym polu. Na uczelni funkcjonował system wsparcia przedsiębiorczości, a nawet tzw. Startup Sauna, gdzie można się było spotykać, zakładać firmy i działać.

Zabraliście się wówczas do konstruowania pierwszego satelity?

Zaczęliśmy planować, konstruować, lutować, testować, a później myśleć o zbieraniu pieniędzy i sprzedaży. Wymyśliliśmy firmę, która miała obserwować lód – nazwaliśmy ją ICE EYE, czyli lodowe oko, więc doszliśmy do wniosku, że musimy pojechać na konferencję na temat morza i lodu. Wybraliśmy taką, która odbywała się w Calgary. Uczestnikom z firm zajmujących się transportem morskim i przewozem surowców energetycznych opowiadaliśmy o naszym pomyśle. Odwiedziliśmy też biura firm, zarówno w Europie, jak i w USA, prezentując nasze rozwiązanie. Zbudowaliśmy sporą sieć kontaktów. Po serii rozmów ludzie z ExxonMobil powiedzieli, że są zainteresowani, i zaprosili nas do Houston.

Jak udały się rozmowy?

Polecieliśmy z duszą na ramieniu, w końcu to jeden z największych koncernów świata, a my mieliśmy 23 lata i dopiero co zaliczony kurs tworzenia start-upów. Żeby wyglądać poważnie, ubraliśmy się w garnitury, wyglądaliśmy w nich jak dwaj maturzyści idący na egzamin. A oni potraktowali nas jak poważnych przedsiębiorców. W amerykańskich korporacjach wiedzą, że start-upy to miejsca, gdzie rodzą się innowacje. Wysłuchali więc nas i powiedzieli: OK, wchodzimy w wasz projekt. Umowa dotyczyła realizacji programu badawczego, który miał sprawdzić, jak w praktyce zadziałają nasze obietnice. Zawierała też cennik poszczególnych działań, które mieliśmy wykonać w ramach kontraktu. Strasznie długi dokument!

Mieliście już gotowego satelitę?

Nie. Pracowaliśmy nad nim. Wiedzieliśmy, że w rejonach, które chcemy obserwować, problemem jest duże zachmurzenie i długa noc. Konieczny jest system obserwacji niezależny od pogody i światła.

A więc obserwacji radarowej?

Tak, zdecydowaliśmy się na radar SAR (Synthetic Aperture Radar), czyli z syntetyczną aperturą. Zależało nam, by satelita był możliwie mały, bo od jego masy zależy koszt wyniesienia na orbitę. Nie wdając się w techniczne szczegóły, udało nam się zbudować kompaktowe urządzenie: mikrosatelitę o masie ok. 70 kg.

Wówczas satelity radarowe wysyłane na orbitę ważyły tonę, wasz był pierwszą na świecie tak małą konstrukcją. Mieliście pewność, że wszystko zadziała, jak należy? ▶

© ICEYE (2)

eprasa.pl fe2da71bd4

▶Pewności nie mieliśmy, ale wszystko wcześniej przetestowaliśmy.

Na Ziemi?

Z pokładu testowego samolotu.

Jak wysłaliście waszego satelitę na orbitę?

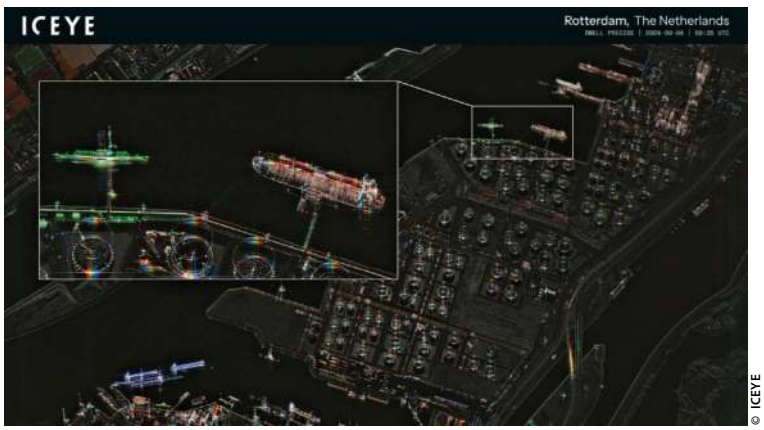
Pierwszy satelita ICEYE-X1, nasz demonstrator technologii, poleciał na początku 2018 r. z indyjskiego centrum kosmicznego Satish Dhawan na pokładzie rakiety PSLV-C40.

Dlaczego z Indii?

Bo oferowali najtańszą usługę.

Potem na orbitę były wynoszone kolejne satelity, dziś w sumie macie ich 84. Ale nie korzystacie już z indyjskich rakiet. Pojawił się jakiś problem?

Nie, o tym decydują dostępność i cena usługi. Obecnie korzystamy z rakiet firmy SpaceX, która na razie realizuje takie misje na największą skalę.



Precyzyjny widok portu w Rotterdamie z satelity ICEYE

Podczas dyskusji na temat suwerenności kosmicznej pojawia się często pytanie: dlaczego Unia Europejska, choć ma Europejską Agencję Kosmiczną (ESA), nie ma własnego odpowiednika SpaceX?

Bo ESA, podobnie jak NASA, to agencja przede wszystkim o charakterze naukowym, badawczym i rozwojowym. SpaceX zaś to firma komercyjna, świadcząca m.in. usługi wynoszenia satelitów na orbitę. To firmy komercyjne budują dziś takie rakiety. Można stworzyć podobną w Europie, pytanie tylko, czy znajdzie się dla niej rynek, by udało się taką firmę utrzymać.

Niektórzy jednak próbują. Niedawno niemiecka firma Isar Aerospace wystrzeliła rakietę nośną Spectrum z kosmodromu Andøya w Norwegii.

Ta rakieta wyniosła na orbitę ładunek o masie 150 kg. Falcon 9 firmy SpaceX rutynowo wynosi ponad 20 ton, a jej Starship może wynieść ponad 100 ton. Temat wynoszenia ładunków na orbitę pokazuje, jakie wyzwania stoją przed europejskim sektorem kosmicznym. Żaden kraj w Europie nie ma wystarczająco dużego rynku, by samodzielnie utrzymać zdolności do wynoszenia ładunków na orbitę, bo do tego potrzeba skali. Dlatego powinniśmy rozmawiać o wspólnym europejskim rynku kosmicznym, by móc konkurować z graczami z USA czy Chin.

Wy znaleźliście sobie miejsce na rynku. Macie klientów z 15 krajów. Niektórzy z nich, jak np. polski rząd, wykupili cztery satelity na własność. Skąd nagle takie zainteresowanie ruchem gór lodowych?

Technologia SAR umożliwia szczegółową obserwację powierzchni Ziemi. Jest to przydatne do rozmaitych celów cywilnych, jak i wojskowych. Zaczęliśmy naszą działalność w okresie napięć geopolitycznych, dlatego naszymi usługami zainteresowane są dziś głównie siły zbrojne na całym świecie. Niektórzy klienci korzystają z usług naszych satelitów, a inni wykupują satelity funkcjonujące w naszej konstelacji. Na pewno naszymi rynkowymi atutami, które wpływają też na zainteresowanie, są jakość zdjęć, skala produkcji i tempo dostaw.

Każdy wie, choćby z filmów, jak wygląda ekran radaru, na którym migają tajemnicze punkciki. Czy taki sam widok z orbity otrzymują wasi klienci?

Zupełnie inny. Nasze satelity emitują fale radarowe w kierunku Ziemi, a następnie rejestrują odbity sygnał i przetwarzają go na obraz o wysokiej rozdzielczości. Mikrofale, z których korzysta radar, przenikają przez chmury, dym i mgłę. Dzięki temu możliwe jest precyzyjne wykrywanie obiektów i zmian w terenie, niezależnie od pogody. Obraz domyślnie jest czarno-biały, choć w niektórych trybach obrazowania możemy dodać także kolory, które ułatwiają nam wyróżnianie obiektów stworzonych przez człowieka.

Zapewniacie dziś system POLSARIS (Polish SAR Intelligence System), czyli pierwszej polskiej wojskowej konstelacji satelitów rozpoznania radarowego.

Jesteśmy dumni, że to właśnie ICEYE dostarczył Siłom Zbrojnym RP pierwszego w ich historii własnego satelitę. I to w szybkim tempie. Od podpisania kontraktu, przez budowę i umieszczenie satelitów na orbicie oraz szkolenia, po przekazanie systemu wojsku do samodzielnego operowania minęło niecałe 12 miesięcy.

Podobno do jednego z satelitów ICEYE podleciał niedawno rosyjski satelita. Czyżby zaczynały się wojny gwiezdne?

Rzeczywiście zanotowaliśmy taki incydent, ale nic więcej na ten temat nie mogę powiedzieć.

Premier Tusk zapowiedział, że system POLSARIS to nie jest nasze ostatnie słowo w kosmosie. Do 2030 r. ma powstać także „polski Starlink". Żartował czy mówił poważnie?

Starlink to system komercyjnego satelitarnego dostępu do internetu, skierowany do konsumentów na całym świecie. To, co my chcemy zbudować i o czym mówił premier, to konstelacja satelitów telekomunikacyjnych zapewniających łączność specjalną dla polskiego wojska i administracji publicznej – pod pełną rządową kontrolą. Podpisaliśmy w tej sprawie niedawno list intencyjny z Polską Grupą Zbrojeniową.

Czy stać nas na taki system?

Jestem przekonany, że tak.

Rośnie popyt na satelity. Jakie macie plany?

Na pewno skalowanie produkcji satelitów, żeby na ten popyt odpowiedzieć. W 2027 r. chcemy podwoić tempo do 100 sztuk.

Czy to wykonalne?

Na razie produkujemy satelity w tempie jeden na tydzień. Planujemy przyspieszyć produkcję.

Jaka jest żywotność satelitów?

Przyjmujemy, że trzy–pięć lat, ale w naszej konstelacji jest też ośmioletni satelita, który nadal wykonuje zadania.

To pracy wam nie zabraknie.

Na pewno. Chcemy dalej poszerzać zdolności naszej konstelacji i pracować nad rozwiązaniami analitycznymi i programistycznymi, które pomagają szybciej wykorzystywać zbierane przez nas dane satelitarne.

ROZMAWIAŁ ADAM GRZESZAK

eprasa.pl fe2da71bd4

Śmieci wszystkich kolorów

Opłaty za śmieci rosną jeszcze szybciej niż ich ilość, więc już siedem milionów Polaków oszukuje, by oszczędzić. Reszta płaci coraz więcej, bo politycy nie są u nas w stanie wprowadzić przepisów, które obowiązują w całej Europie.



© MAREK BAZAK/EAST NEWS

CEZARY KOWANDA

W małopolskiej gminie Mucharz, położonej w powiecie oświęcimskim, listopad przyniesie mieszkańcom duże zmiany. Odpady zielone (jak liście, trawa i gałęzie), wielkogabarytowe, a także zużyta odzież i inne tekstylia nie są już odbierane spod domów mieszkańców. Z takimi śmieciami trzeba jeździć do lokalnego PSZOK (Punktu Selektywnej Zbiórki Odpadów Komunalnych), czynnego tylko raz w miesiącu. Jak wyjaśniają władze gminy, w ten sposób uda się nieco zmniejszyć wydatki i dzięki temu na razie nie trzeba podnosić opłaty za odpady. A ta już i tak jest dość wysoka – wynosi 40 zł miesięcznie od każdego mieszkańca.

Gmina zakładała, że ilość odbieranych śmieci będzie taka jak dotychczas – tymczasem od stycznia do października zebrała o ponad 55 proc. więcej odpadów wielkogabarytowych i o jedną trzecią więcej odpadów zielonych ▶

eprasa.pl fe2da71bd4

▶ niż w analogicznym okresie ubiegłego roku. Chociaż decyzja lokalnych władz budzi kontrowersje, jest zgodna z przepisami. Zobowiązują one bowiem samorząd do odbierania spod domów mieszkańców tylko pięciu frakcji odpadów – bio (pojemniki lub worki koloru brązowego), zmieszanych (czarny), szkła (zielony), papieru (niebieski) oraz metali i tworzyw sztucznych (żółty).

Przed dylematem, jak oszczędzać na śmieciach, staje dziś wiele samorządów. Koszty gospodarki odpadowej nieustannie rosną, a równocześnie mieszkańcy mają dość kolejnych podwyżek. Od stycznia więcej za śmieci trzeba będzie zapłacić między innymi w Miasteczku Śląskim (już 50 zł za osobę miesięcznie), w Nowym Sączu i Łowiczu (po 47 zł), w Słupsku (40 zł) i Starachowicach (39,60 zł). Drżeć mogą mieszkający w Uniejowie czy Mławie – tam lokalne władze na razie unieważniły przetargi na odbiór i zagospodarowanie odpadów, bo złożone oferty były bardzo drogie. Ale nie wiadomo, czy powtórzenie przetargów coś zmieni.

Teoretycznie opłaty ponoszone przez mieszkańców powinny pokrywać koszty systemów odpadowych organizowanych przez gminy. W praktyce coraz częściej tak nie jest. Według danych Krajowej Rady Regionalnych Izb Obrachunkowych jeszcze w 2022 r. pieniądze zbierane od mieszkańców wystarczały na opłacenie zbiórki i zagospodarowanie śmieci. Od 2023 r. jest deficyt, który szybko rośnie. W 2025 r. z opłat od mieszkańców zebrano we wszystkich gminach 14 mld zł, ale gospodarka odpadami kosztowała już ponad 15,5 mld zł (wzrost o jedną trzecią w ciągu zaledwie trzech lat!). Brakujące koszty trzeba pokrywać z bieżących budżetów. To oznacza, że gminy mają mniej pieniędzy na inne wydatki – edukację, drogi, kulturę czy inwestycje. Jednak część samorządów, najczęściej z powodów politycznych, boi się już wprowadzać kolejne podwyżki, więc zaczyna dotować system śmieciowy.

Prowadzi to do coraz większej różnicy w stawkach pobieranych od mieszkańców. Rekordzistą jest bogata gmina Kleszczów (na jej terenie znajdują się kopalnia węgla brunatnego i elektrownia Bełchatów), która ma opłatę za odpady na poziomie zaledwie 8 zł miesięcznie od mieszkańca. Zdecydowana większość kosztów systemu jest pokrywanych z lokalnego budżetu. W Jarocinie od kilku lat stawka pozostaje na poziomie 24,50 zł – to dużo mniej niż w sąsiednich gminach, ale deficyt rośnie. W ubiegłym roku wyniósł 2,6 mln zł i tyle trzeba było dopłacić ze wspólnej kasy. Na drugim biegunie znajduje się Braniewo – tam każdy mieszkaniec musi wydać miesięcznie aż 63 zł. To już blisko ustawowego limitu. Zgodnie z nim opłata za odpady od mieszkańca nie może przekraczać 2 proc. średniego dochodu rozporządzalnego, wyliczanego przez GUS. Obecnie ten wskaźnik wynosi 70 zł.

Poziom stawek ustalanych przez rady gmin budzi emocje z powodu ogromnych dysproporcji, nawet w obrębie tego samego regionu. – *Jednak przyczyn może być bardzo wiele, więc przestrzegam przed takimi porównaniami. Różna bywa częstotliwość odbioru odpadów. W jednych gminach zużyte tekstylia trzeba samemu zawieźć do PSZOK, w innych są one odbierane sprzed posesji w fioletowych workach. Czasem gminy zapewniają pojemniki i worki na odpady, a niekiedy mieszkańcy sami muszą się w nie zaopatrzyć. Wreszcie, w gminach słabo zaludnionych, o rozproszonej zabudowie, koszt transportu odpadów jest wyższy niż w miastach* – podkreśla Maciej Kiełbus, partner zarządzający w Ziemski & Partners, doradzający samorządom w zakresie gospodarowania odpadami.

W Polsce gminy mogą wybrać jedną z czterech metod ustalania stawki za odpady. Każda z nich ma swoje wady. Można naliczać opłaty w zależności od powierzchni nieruchomości jak w Gdańsku (ale to nie metry kwadratowe, lecz ludzie produkują śmieci) albo ustalać tę samą stawkę dla każdego gospodarstwa domowego jak w Warszawie (korzystne dla dużych rodzin, krzywdzące dla singli). Można także uzależniać stawki śmieciowe od zużycia wody jak w Łodzi czy Szczecinie. To system dość skomplikowany (trzeba regularnie podawać zużycie wody) i też niezbyt sprawiedliwy, bo karze tych, którzy częściej się myją i sprzątają albo gotują w domu zamiast kupować posiłki tylko do podgrzania.

Najpopularniejsza metoda wyliczania stawki za odpady opiera się na deklaracjach składanych przez właścicieli lokali. Informują, ile osób u nich naprawdę mieszka, a płaci się od każdego lokatora. Tyle że niektórzy nie mówią prawdy i zaniżają liczbę zamieszkujących osób. Skłania do tego śmieciowa inflacja – na przykład czteroosobowe rodziny w coraz większej liczbie gmin powinny płacić już ponad 200 zł miesięcznie. Według szacunków opartych na analizach Instytutu Ochrony Środowiska aż siedem milionów Polaków unika ponoszenia śmieciowych kosztów. Na przykład Elbląg ocenia, że za odpady nie płaci u niego 20 proc. mieszkańców. Ale cudów nie ma – uczciwi muszą sfinansować cały system, więc ich obciążenia są z tego powodu jeszcze większe.

Coraz droższa energia, rosnące płace pracowników, a ostatnio jeszcze skok cen paliwa – na wiele czynników, z powodu których koszty eksplodują, gminy nie mają dzisiaj wpływu. Tak samo jak na niepokojący fakt, że według danych GUS produkujemy coraz więcej śmieci. W 2015 r. na każdego mieszkańca przypadały rocznie 283 kg odpadów komunalnych. Tymczasem w ubiegłym roku były to już 382 kg. – *Masa odpadów zmieszanych pozostaje w zasadzie bez zmian, za to lawinowo rośnie ilość odpadów wielkogabarytowych i budowlanych. Widać, że coraz więcej inwestujemy w nasze domy i częściej wymieniamy meble. Z powodu rosnącej popularności handlu internetowego przybywa też kartonowych opakowań. Chociaż działa już system kaucyjny, masa odpadów w żółtych workach zmniejszyła się tylko o mniej niż 10 proc.* – podsumowuje Piotr Szewczyk, prezes Rady Regionalnych Instalacji Przetwarzania Odpadów Komunalnych.

Dysproporcje w opłatach od mieszkańców wynikają także z dostępności spalarni (do nich trafia znaczna część odpadów zmieszanych, nienadających się do recyklingu). Gmina, która jest ich właścicielem, może nieco ograniczyć swoje koszty. Widać to na przykładzie dużych metropolii. W Bydgoszczy miesięczna stawka za osobę to 27 zł, a w Poznaniu – 25 zł. Oba miasta mają swoje spalarnie, a do tego od lat są stawiane za wzór efektywnie zarządzanych systemów odpadowych. Na drugim biegunie znajduje się Wrocław, gdzie w tym roku opłaty skoczyły z 41 do 55 zł za każdego mieszkańca. Nie dość, że w okolicach Wrocławia nie

eprasa.pl fe2da71bd4

ma (i długo nie będzie) żadnej spalarni, to jeszcze w mieście panuje od miesięcy chaos przetargowy.

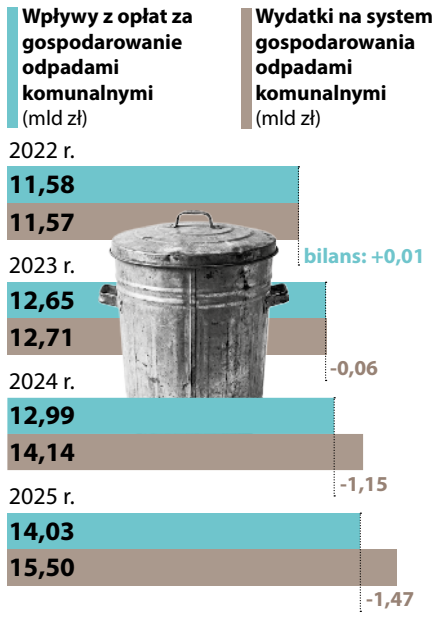
Samorządowcy, tłumacząc kolejne podwyżki, wskazują chętnie na dwa elementy: kaucję i ROP. System kaucyjny rzeczywiście zaszkodził gminom, bo dotąd mogły one sprzedawać zebrane plastikowe butelki PET, a zwłaszcza aluminiowe puszki. To jedne z nielicznych surowców, do których przetwarzania nie tylko nie trzeba dopłacać, ale też można na nich nawet zarobić. Teraz większość tych opakowań trafia do automatów w sklepach, a nie do pojemników czy żółtych worków. Efekt? Na przykład Gdańsk twierdzi, że na kaucji stracił 12 mln zł, a Kraków spadek przychodów szacuje nawet na 20 mln zł rocznie.

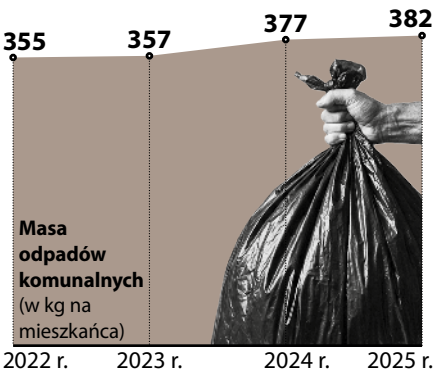
Kaucja nie zmniejszyła w żaden sposób kosztów gminnych systemów, bo żółte pojemniki trzeba opróżniać z dotychczasową częstotliwością – tym bardziej że innych plastikowych opakowań nieustannie przybywa. Ale skoro firmy zagospodarowujące odpady wiedzą, że już nie zarobią na sprzedaży butelek i puszek, żądają w gminnych przetargach wyższych stawek.

Czy jest jakakolwiek metoda na powstrzymanie fali podwyżek opłat za odpady? Nazywa się ROP – Rozszerzona Odpowiedzialność Producentów. Takie systemy mają już wszystkie kraje Unii Europejskiej. Poza Polską, chociaż ROP powinien u nas działać przynajmniej od trzech lat. Idea jest prosta: firmy wprowadzające na rynek produkty płacą za zbiórkę i utylizację odpadów, jakie powstaną z ich powodów. Na przykład producent jogurtu w ramach ROP powinien pokryć koszty związane z zebraniem i przetworzeniem opakowania, które trafi do żółtego pojemnika.

Brzmi logicznie, ale w rzeczywistości chodzi o wielkie pieniądze. System ROP w zakresie odpadów opakowaniowych może być wart 5 mld zł rocznie. – *Te pieniądze powinny trafić w części do gmin i przynieść im finansową ulgę, pozwalając ustabilizować opłaty pobierane od mieszkańców. Oczywiście dodatkowe wydatki producenci doliczą do cen produktów, ale będzie to średnio zaledwie kilka groszy za każde opakowanie. Dodatkowo system stanie się bardziej sprawiedliwy, bo kto więcej konsumuje, ten będzie automatycznie więcej płacił za odpady w ramach swoich zakupów w sklepach. Dzisiaj nie ma takiej zależności – opłaty za śmieci są takie same dla każdego w danej gminie, bez względu na to, ile kilogramów odpadów powstaje w jego gospodarstwie domowym* – wyjaśnia Tomasz Uciński, prezes zarządu Krajowej Izby Gospodarki Odpadami.

Śmieciowa inflacja





ŹRÓDŁO: KRAJOWA RADA REGIONALNYCH IZB OBRACHUNKOWYCH, GUS

Przygotowywany przez rząd projekt ustawy o ROP wciąż nie może trafić do Sejmu. Ostro protestują przeciwko niemu producenci, bo mieliby przekazywać opłaty do Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej. Uważają, że taka centralizacja i nacjonalizacja systemu będzie nieefektywna, a ich pieniądze zostaną zmarnowane. Z drugiej strony projektu bronią gminy, które zarzucają przedsiębiorcom chęć maksymalnego odwlekania wejścia w życie nowych przepisów. Bo te zmuszą ich nie tylko do większych wydatków, ale też innego projektowania opakowań. ROP w zamierzeniu ma zachęcać do używania materiałów łatwych w recyklingu i rezygnacji ze zbyt kosztownych w przetworzeniu surowców. Opakowania powinny być jak najprostsze i jak najmniejsze – to korzystne dla systemu odpadowego, ale utrudni życie tym firmom, które celowo używają ozdobnych i przewymiarowanych paczek czy pudełek, żeby zwrócić uwagę klientów w sklepach. Banalny przykład to pasta do zębów. Każda jest przecież w plastikowej tubce, a mimo to producenci wkładają ją jeszcze dodatkowo do tekturowych pudełek z kolorowymi nadrukami.

Wiele wskazuje na to, że w kończącej się powoli kadencji parlamentu nie uda się uchwalić ustawy o ROP. A nawet gdyby się pojawiła, może zostać zawetowana przez wściekłego na rząd prezydenta. Najprawdopodobniej czeka nas zatem niekończący się festiwal rosnących opłat za śmieci i coraz częstszych prób w gminach finansowania części kosztów z ogólnych budżetów, byle tylko nie ściągać na siebie gniewu mieszkańców.

Jednak trochę winy ponosi każdy z nas. Sami przyczyniamy się nie tylko do nieustannego wzrostu góry śmieci, ale też do faktu, że jest w niej coraz więcej przedmiotów kupowanych zupełnie niepotrzebnie, choćby na chińskich platformach internetowych. W ich często atrakcyjnej cenie nie ma zawartych kosztów zbiórki i utylizacji – to już nie chiński problem, ale nasz.

W okolicach 1 listopada można było zaobserwować przy niektórych cmentarzach nowe czerwone pojemniki. Do nich mają trafiać coraz popularniejsze lampki LED, stawiane na grobach jako nowoczesna alternatywa dla tradycyjnych zniczy. Tyle że te po wypaleniu to po prostu zużyty plastik czy szkło, a znicze bateryjne stają się po rozładowaniu niebezpiecznymi dla środowiska elektrośmieciami, których zagospodarowanie – w zgodzie z przepisami – kosztuje dużo więcej. Niedługo na oznaczanie kolejnych frakcji odpadów zabraknie już chyba kolorów. Szkoda tylko, że to wcale nie rozwiąże śmieciowego problemu.

CEZARY KOWANDA

© LECH MAZURCZYK

eprasa.pl fe2da71bd4

WYBRANE MIEJSCA NOCLEGOWE NA TWOJE ZIMOWE WAKACJE



LANDGUT MOSERHOF ★★★★
www.landgut-moserhof.at



PANORAMAHOTEL LÄRCHENHOF ★★★★
www.hotellaerchenhof.at



HOTEL FLATTACHER HOF ★★★★
www.flattacherhof.at



HOTEL GLOCKNERHOF ★★★★
www.glocknerhof.at



HOCHOBEN CHALET
www.hochoben.at



NATIONALPARKLODGE GROSSGLOCKNER ★★★★
www.nationalparklodge.at

Inne propozycje zakwaterowania

Południe Austrii

epiasa.pl fe2da710d4

KARYNTIA

MÖLLTALER GLETSCHER
GROSSGLOCKNER HEILIGENBLUT
ANKOGEL MALLNITZ

Trzy wysoko położone ośrodki narciarskie, otoczone majestatycznymi trzytysięcznikami, ponad 100 kilometrów doskonale przygotowanych tras, kuszące tereny do freeride'u oraz gwarancja śniegu. Region Parku Narodowego Wysokich Taurów to idealne miejsce dla wszystkich, którzy chcą w pełni cieszyć się zimowym urlopem.



www.nationalpark-hohetauern.at

eprasa.pl fe2da71bd4

Izrael jest chory



Rozmowa z byłym premierem Ehudem Olmertem o tym, co zrobił Izraelowi Netanjahu, czy wpuszczenie Arabów do rządu to zdrada i o konieczności utworzenia państwa palestyńskiego.

AGNIESZKA ZAGNER: **– Zaskoczyły pana wyniki wyborów?**

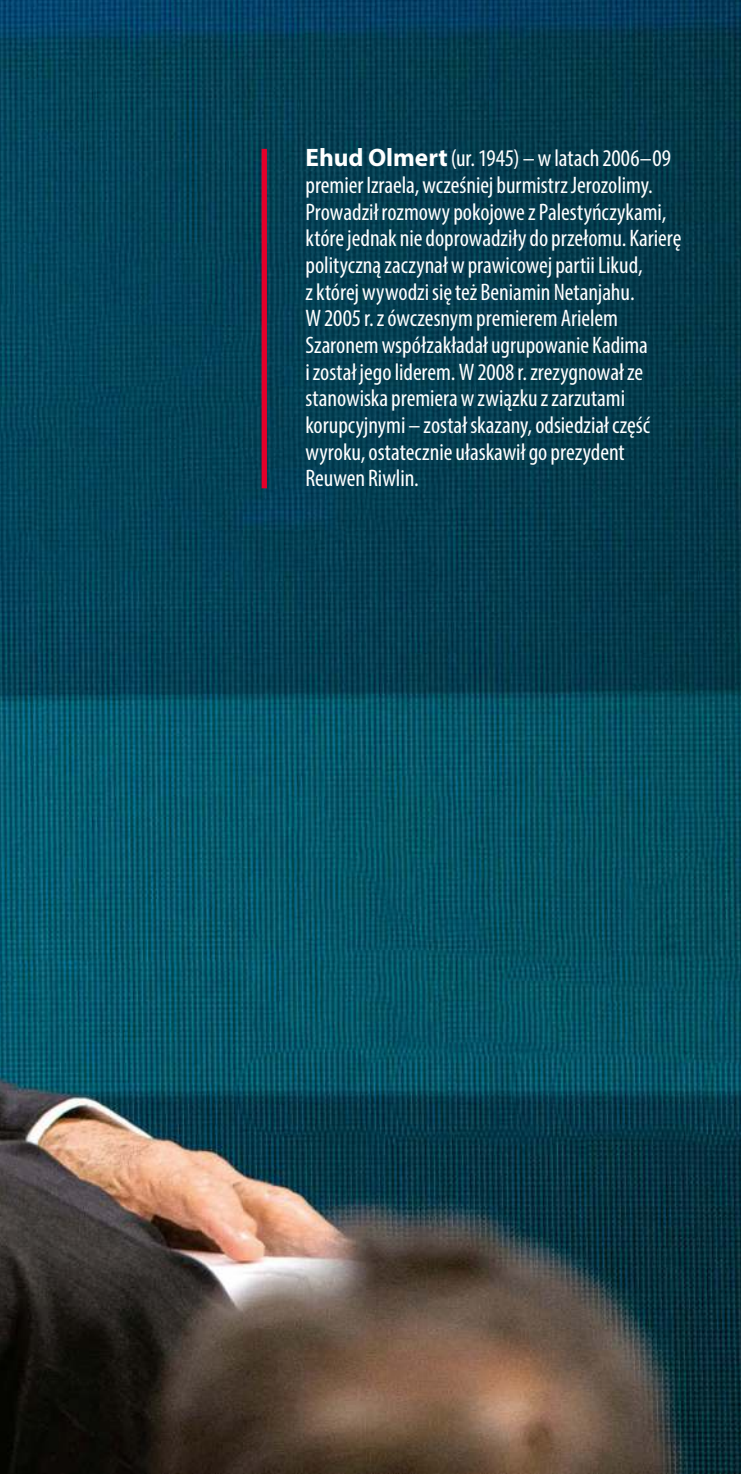
EHUD OLMERT: – Tak. Oczekiwałem, że Beniamin Netanjahu przegra. Że Gadi Eisenkot uzyska lepszy rezultat. I że cały blok zmiany wypadnie nieco lepiej. Jednocześnie spodziewałem się, że Arabowie zagłosują w dużej liczbie, ale rzeczywista frekwencja była wśród nich imponująca (80 proc. – przyp. red.). To niezwykle pozytywny sygnał dla Izraela. W przeszłości wielokrotnie rozmawiałem z arabskimi obywatelami i pytałem: „Dlaczego nie uczestniczycie w wyborach w większej liczbie?”. Odpowiadali: „Dlaczego mielibyśmy rozwiązywać wasze problemy? Radźcie sobie sami”. Myślę, że decyzja o tak masowym udziale w wyborach świadczy o tym, że nie stracili nadziei na wywieranie wpływu na Państwo Izrael. I na to, by stać się częścią jego systemu. To najważniejsze przesłanie tych wyborów.

Czy Eisenkot będzie premierem?

Jeśli chce utworzyć koalicję, będzie musiał albo zdecydować się na jakieś porozumienie z partiami ultraortodoksyjnymi

eprasa.pl fe2da71bd4

Ehud Olmert (ur. 1945) – w latach 2006–09 premier Izraela, wcześniej burmistrz Jerozolimy. Prowadził rozmowy pokojowe z Palestyńczykami, które jednak nie doprowadziły do przełomu. Karierę polityczną zaczynał w prawicowej partii Likud, z której wywodzi się też Beniamin Netanjahu. W 2005 r. z ówczesnym premierem Arielem Szaronem współzakładał ugrupowanie Kadima i został jego liderem. W 2008 r. zrezygnował ze stanowiska premiera w związku z zarzutami korupcyjnymi – został skazany, odsiedział część wyroku, ostatecznie ułaskawił go prezydent Reuwen Riwlin.



© ELENA FERNANDEZ/EUROPA PRESS/GETTY IMAGES

– co byłoby sprzeczne z jego dotychczasowymi deklaracjami – albo zawrzeć porozumienie z partiami arabskimi. Postawił warunki tym, którzy mieliby uczestniczyć w takim porozumieniu – w tym jest uznanie Hamasu za organizację terrorystyczną, co jest do przyjęcia dla części arabskich liderów. Arabscy posłowie mogą się też wstrzymać od głosu, to już zmieni sytuację.

Czyli nie wyklucza pan rządu z udziałem Arabów?

Nie, ale natychmiast znalazłby się on pod ostrzałem Netanjahu. Będzie podsycał przeciwko niemu nastroje, prowokacje, manipulacje i całą tę atmosferę konfrontacji. Może to doprowadzić do niebezpiecznego scenariusza. Widzieliśmy już jego zapowiedź kilka dni po wyborach, gdy prawicowi demonstranci zgromadzili się przed domem Eisenkota i wyzywali go od zdrajców. Mogą próbować rozszerzyć takie działania, doprowadzić do masowych demonstracji, wzniecać sprzeciw i podsycać atmosferę konfrontacji.

Na co choruje Izrael?

W społeczeństwie zanika poczucie solidarności, które przez pokolenia było źródłem siły naszego państwa. Strategia Netanjahu przez długi czas opierała się na dwóch elementach. Po pierwsze, na przekonywaniu, że Izrael znajduje się na krawędzi zagłady. A to nieprawda, istnienie Izraela nigdy nie było zagrożone. Oczywiście mieliśmy problemy. Wydarzenia 7 października są czymś, czego nie można zapomnieć ani wybaczyć. Ale to nie zagroziło egzystencji państwa. Albo weźmy Iran – już wiele lat temu mówiono o irańskim zagrożeniu nuklearnym, chociaż w tamtym czasie Irańczycy nie mieli nawet planu budowy broni jądrowej.

To była polityczna strategia: wywołać panikę, histerię i strach. A następnie przekonać społeczeństwo, że jest tylko jedna osoba, która może zagwarantować przetrwanie Państwa Izrael: Netanjahu.

W Izraelu zyskał przydomek Pan Bezpieczeństwo.

I jednocześnie podżegał przeciwko wszystkim, którzy nie stali po jego stronie. Przedstawiano ich jako zdrajców, ludzi niegodnych zaufania, takich, którzy nie będą bronić kraju, a wręcz współpracują z wrogiem. Bezpośrednio po 7 października pojawiły się oskarżenia, że doszło do zdrady, że służby bezpieczeństwa, Szin Bet, utrzymywały kontakty z Hamasem i tym podobne rzeczy. Wszystko to doprowadziło do stopniowego podważenia fundamentów solidarności obywatelskiej i narodowej, która przez lata charakteryzowała Izrael. Wystarczy spojrzeć na wydarzenia ostatnich lat. Prawicowi demonstranci atakowali np. rodziny zakładników, oskarżając je o zdradę. A przecież ci ludzie protestowali, próbując wywrzeć presję na premiera, by zawarł porozumienie i doprowadził do uwolnienia porwanych bliskich.

To nowa sytuacja?

Coś takiego nie mogłoby się wydarzyć w Izraelu lat 70., 80. czy 90. Pamiętam sytuację po wojnie Jom Kipur w 1973 r., byłem już wtedy posłem do Knesetu. Rządowi Goldy Meir i Moszego Dajana zarzucano, że zawiódł Izrael, ponieważ kraj nie był przygotowany do wojny i został zaskoczony. Ostatecznie oboje ustąpili. Wcześniej odbywały się demonstracje, ale były powściągliwe, skoncentrowane na odpowiedzialności rządu za porażkę. Wszystko rozegrało się jednak w ramach solidarności narodowej, która charakteryzowała wówczas izraelskie społeczeństwo. Dzisiaj tego nie ma. To jest choroba, która toczy współczesny Izrael.

Czy jej objawem jest stosunek Państwa Izrael do arabskich obywateli?

To pewna sprzeczność. Z jednej strony ponad 20 proc. lekarzy i personelu medycznego w izraelskich szpitalach stanowią Arabowie. Podobnie jest z farmaceutami. Jak można wobec tego mówić takie rzeczy, jakie słyszymy z ust przedstawicieli prawicy i Netanjahu? Przecież oni twierdzą, że arabscy lekarze trują pacjentów w izraelskich szpitalach. Podsycanie nienawiści, podziałów i całkowitego zerwania więzi między Żydami i Arabami stało się ostatnio polityką izraelskiego rządu. W dużej mierze dotyczy to również wszystkich tych, którzy nie popierają rządu. Każdy, kto nie stoi po jego stronie, jest lewicowcem. ▶

eprasa.pl fe2da71bd4

▶ A lewicowiec to zdrajca, zwolennik Hamasu, terroru itd. W ten sposób zniszczono ducha solidarności.

Jak to leczyć?

Najpierw poprzez zmianę rządu. A długofalowo: zmianą podejścia i stopniowym procesem uzdrawiania społeczeństwa. Musimy zbudować nowy styl debaty publicznej i komunikacji między ludźmi. Ale trzeba to robić małymi krokami, np. najpierw włączyć kogoś z arabskich partii do rządu.

W dzisiejszym Izraelu brzmi to niemal jak zdrada.

Być może, ale dlatego uważam, że trzeba do tego doprowadzić. Gdyby wyniki wyborów były nieco inne, mogłoby się to wydarzyć natychmiast. Biorąc jednak pod uwagę obecny układ sił, musimy ustalić priorytety. Najważniejsze, absolutnie najważniejsze, co należy zrobić natychmiast, to odsunąć rząd Netanjahu od władzy.

Ale czy Netanjahu jest przyczyną choroby Izraela, czy tylko jej objawem?

On jest centralną postacią izraelskiego życia politycznego od ponad 30 lat. I w tym czasie udało mu się zradykalizować społeczeństwo. Zapoczątkował proces wypychania opozycji na margines, do narożnika, w którym oskarżenia o zdradę i nielojalność wobec rządu stały się akceptowalną częścią debaty publicznej. Jego odejście pozwoliłoby zmienić politykę Izraela. Przede wszystkim wobec żydowskiego terroru na terytoriach palestyńskich. To z kolei ograniczyłoby napięcia, które mogą doprowadzić do kolejnej intifady. Nic nie zmieni się z dnia na dzień. Tak samo jak obecna sytuacja nie powstała w ciągu jednej nocy. Ale każdy proces ma swój początek.

Wspomniał pan o intifadzie. Istnieje realne ryzyko jej wybuchu?

Coraz bardziej niepokoi mnie ta sytuacja. Wkrótce wybieram się na zbiory oliwek na Zachodnim Brzegu, by dać świadectwo. Zagrożenie jest realne. Widzę też, że sędziowie Sądu Najwyższego rozumieją powagę sytuacji i doprowadzą do zmiany sposobu, w jaki rząd, policja i wojsko traktują izraelskich terrorystów z Zachodniego Brzegu. To musi być pilnie rozwiązane, w przeciwnym razie spodziewam się większego rozlewu krwi.

Czy rozwiązanie dwupaństwowe jest nadal możliwe?

Nie ma alternatywnego rozwiązania. Jedyną możliwą drogą jest umożliwienie Palestyńczykom realizacji ich prawa do samostanowienia. Chodzi o utworzenie państwa palestyńskiego obok Państwa Izrael, na podstawie granic z 1967 r., z niezbędnymi korektami terytorialnymi i wymianą ziemi, którą zaproponowałem w 2008 r. Oczywiście państwo palestyńskie musiałoby być zdemilitaryzowane. To był zasadniczy element mojego planu i porozumienia, które wówczas wypracowałem z palestyńskim prezydentem Mahmudem Abbasem.

Wielu Izraelczyków boi się takiego rozwiązania.

Izrael jest wystarczająco silny, by sobie poradzić. Powtarzany przez tak wielu argument, że jeśli pozwolimy Palestyńczykom utworzyć państwo, zrobią w centrum Izraela to samo, co zrobili na południu 7 października 2023 r., jest po prostu głupi. Jeśli będziemy czujni, nie będą mieli możliwości przeprowadzenia takiego ataku.

To zresztą kolejny przykład zniekształcania rzeczywistości przez izraelski rząd. Z jednej strony słyszymy, że Hamas stanowi zagrożenie dla Państwa Izrael. Ale to, co pozostało z Hamasu, nie przypomina organizacji sprzed kilku lat. Nie ma tuneli, czołgów. Zniszczono większość wyrzutni rakiet, a jego kanały finansowania są obecnie znacznie lepiej kontrolowane niż wcześniej. Z drugiej strony słyszymy, że Iran stanowi bezpośrednie zagrożenie dla Izraela, ale jego zniszczenie nie jest żadnym problemem. Trzeba się w końcu zdecydować.

W 2008 r. był pan bliżej porozumienia z Palestyńczykami niż poprzednicy, jednak też się nie udało. Gdzie popełnił pan błąd?

Może powinienem mocniej naciskać na podpisanie tego porozumienia. Ale prawda jest taka, że zostałem zmuszony do rezygnacji ze stanowiska. Sprzeciwiała mi się ta sama machina, która i dziś zatruwa izraelską debatę publiczną. Jednym z głównych argumentów wykorzystywanych wówczas do rozpowszechniania teorii spiskowych i prób obalenia mojego rządu było oskarżenie, że zamierzam oddać Palestyńczykom Świętą Ziemię, co wywołało sprzeciw moich religijnych sojuszników.

Być może popełniłem jakiś błąd, ale prawda jest taka, że Palestyńczycy nie byli wówczas gotowi. Obawiam się, że nie są gotowi nawet dzisiaj. Choćby to: gdyby zamiast konfrontować się z Izraelem, przeprowadzili u siebie wybory – demokratyczny proces wyborczy, który pozwoliłby wyłonić nowe przywództwo, które byłoby w stanie dojść do porozumienia z Izraelem – sytuacja wyglądałaby inaczej. Ale oni to zaprzepaścili.

Z Izraelczykami nie jest lepiej. Icchak Rabin za próbę doprowadzenia do pokoju z Palestyńczykami zapłacił życiem.

W swojej książce była sekretarz stanu USA Condoleezza Rice opisuje kolację w mojej rezydencji, gdy byłem jeszcze premierem. Przedstawiłem jej wtedy mój plan pokojowy. Rice pisze, że byłem podekscytowany. I rzeczywiście byłem. Nie mogła uwierzyć własnym uszom, kiedy usłyszała premiera Izraela, który mówi o utworzeniu państwa palestyńskiego na podstawie granic z 1967 r.; który jest gotów podzielić Jerozolimę na część palestyńską i żydowską oraz uznać tę pierwszą za stolicę Palestyny. Mówiłem również, że Wzgórze Świątynne powinno się znajdować pod powiernictwem pięciu państw: Arabii Saudyjskiej, Jordanii, Palestyny, Izraela i USA, a nie tylko Izraela.

Potem Rice pobiegła do hotelu i zadzwoniła do prezydenta Busha, ale był zajęty. Skontaktowała się więc ze Steve'em Hadleyem, doradcą prezydenta ds. bezpieczeństwa narodowego, mówiąc mu: „Steve, powiedz prezydentowi: Olmert chce pokoju. On ma rację". Ale dodała: „Jakie to smutne, że nie będzie mu dane tego osiągnąć, ponieważ zginie, zanim zdąży to zrobić. Izraelczycy zamordowali Rabina za znacznie mniej".

To z grubsza opisuje, z czym musiałem się wówczas zmagać.

Teraz, po ponad 15 latach od tamtego spotkania, wygląda na to, że nikt już nie ośmieli się iść w ślady Rabina.

Politycznym dziedzictwem Netanjahu i jego współpracowników jest przeświadczenie, że osobiste ambicje polityczne są ważniejsze niż autentyczne interesy Państwa Izrael. Dziedzictwo tych, którzy chcą go zastąpić, nie zostało jeszcze napisane. Wiele zależy od tego, czy ich rządy okażą się jedynie krótkim epizodem, który szybko przeminie, czy też wykorzystają nadarzającą się okazję, by podjąć działania, których zapewne nikt się po nich nie spodziewa. Być może będą musieli zrobić rzeczy, które nie do końca odpowiadają obietnicom składanym w kampanii wyborczej, ale które będą odpowiedzią na rzeczywiste potrzeby Państwa Izrael. Tylko tak mają szansę przejść do historii.

ROZMAWIAŁA W TEL AWIWIE AGNIESZKA ZAGNER

eprasa.pl fe2da71bd4



Zwolennicy opozycji świętują wynik wyborów, Belgrad, 25 października

© ANDREJ IVANOV/GETTY IMAGES

Serbia nasza

Zwycięstwo Listy Studenckiej w wyborach parlamentarnych zwiastuje rewolucję w myśleniu o państwie. Ale już niekoniecznie o Rosji.

MARCIN ŻYŁA

Kraljevo jest miastem symbolem. W tutejszym monasterze koronowano aż siedmiu serbskich królów. Z Kosowa dopływa tu opiewana w pradawnych pieśniach rzeka Ibar. Słowem, 60-tysięczne miasto i otaczający je rolniczy region to konserwatywna Serbia w pigułce.

Dwanaście lat temu Predrag Voštinić zebrał w Kraljevie grupę przyjaciół, aby zaprotestować przeciwko prywatyzacji aptek. Ówczesny samorząd – zdominowany już przez Serbską Partię Postępową (SNS) Aleksandra Vučicia – wytypował do sprzedaży kilka najbardziej dochodowych. Pozostałe upadły. Wielu mieszkańców straciło łatwy dostęp do leków.

Przyjaciele nie uratowali aptek, ale zorganizowali kolejną akcję – przeciw obsadzaniu przez SNS miejskich instytucji kultury. Tak powstała organizacja Lokalny Front. – *Front, ponieważ nasza okolica obrosła mitami o walkach partyzantów podczas drugiej wojny światowej. I o tym, że bez pomocy obcych, samodzielnie wyzwoliliśmy się spod okupacji* – tłumaczy Voštinić. – *Współczesną okupacją było zawłaszczenie państwa przez ludzi Vučicia.*

Choć w zagranicznych mediach dominowały w ostatnim czasie ujęcia z Belgradu, to właśnie mieszkańcy takich miast jak Kraljevo – i dziesiątki podobnych do Lokalnego Frontu organizacji – zadecydowało o triumfie Listy Studenckiej – Studenci Zwyciężają. 25 października w przedterminowych wyborach uzyskała 54 proc. głosów, kończąc wieloletnią dominację SNS i ostatecznie odsuwając od władzy oskarżanego o autorytaryzm byłego prezydenta Vučicia.

Wygrana to efekt masowych i najdłuższych w najnowszej historii Serbii protestów, których zarzewiem była tragiczna w skutkach katastrofa budowlana. W wyniku zawalenia się w listopadzie 2024 r. zadaszenia nad wejściem do dworca kolejowego w Nowym Sadzie zginęło 16 osób. Tragedię uznano za symbol korupcji, bylejakości i nieprzejmowania się władzy losem obywateli. Już trzy tygodnie później rozpoczęły się studenckie blokady uniwersytetów. W marcu 2025 r. demonstracja w Belgradzie zgromadziła ok. 300 tys. osób, a władze – lekceważące wcześniej protesty – oskarżono o użycie wobec tłumu tzw. broni dźwiękowej, czyli odpowiednio spreparowanych fal paraliżujących układ słuchowy. ▶

eprasa.pl fe2da71bd4



▶Jeszcze kilka miesięcy temu, po wygranej SNS w wyborach lokalnych, Vučić czuł się pewnie, a służby coraz śmielej inwigilowały studentów i ich zwolenników. We wrześniu prezydent podał się do dymisji, licząc, że wygrana w przyspieszonych wyborach parlamentarnych pozwoli mu powrócić na stanowisko premiera (czyli tam, gdzie jest realna władza), zanim protesty przybiorą na sile. Jednak obradujący na codziennych plenach studenci podjęli rękawicę i nominowali do startu w wyborach swoich przedstawicieli.

W Skupštinie, czyli serbskim parlamencie, zasiądą teraz ludzie bez wcześniejszego doświadczenia w polityce. Tacy jak np. inżynier Zoran Đajić – geolog, który konsultował remont dworca w Nowym Sadzie i przed katastrofą wskazywał na niską jakość prac budowlanych. Aresztowany podczas protestów studenckich, chce teraz postawienia Vučicia przed sądem za zdradę stanu. Albo jak Estela Radonjić Živkov, która w imieniu konserwatora zabytków sprzeciwiała się budowie hotelu w miejscu gmachu sztabu generalnego serbskiej armii, zniszczonego podczas nalotów NATO w 1999 r. Z projektu – w który zaangażowany był m.in. zięć prezydenta USA Jared Kushner – zrezygnowano ostatecznie w wyniku oskarżeń o korupcję.

Lista Studencka, podobnie jak cały ruch protestu, nie ma lidera. A w chwili zamykania tego numeru POLITYKI nie ogłoszono jeszcze nazwiska kandydata na nowego premiera. Nie wiadomo, czy zostanie wyłoniony z nazwisk zaproponowanych przez samych studentów – i szerzej, jakie będą relacje między stojącym za protestami pokoleniem 20-latków a ich starszymi przedstawicielami.

Nowa władza odziedziczyła po poprzedniej państwo w kryzysie. Szefowa publicznej telewizji, dotąd tuby propagandowej Vučicia, podała się do dymisji tuż po wyborach. Jednak urzędy, służby i szkoły nadal są zarządzane przez nomenklaturę SNS. Negocjacje członkowskie z Unią Europejską w praktyce zamrożono, a poparcie dla integracji z Europą spadło podczas rządów Vučicia o 20 pkt proc. W serbskiej gospodarce wpływy mają Rosja i Chiny, a wśród absolwentów szkół bezrobocie wynosi 22 proc.

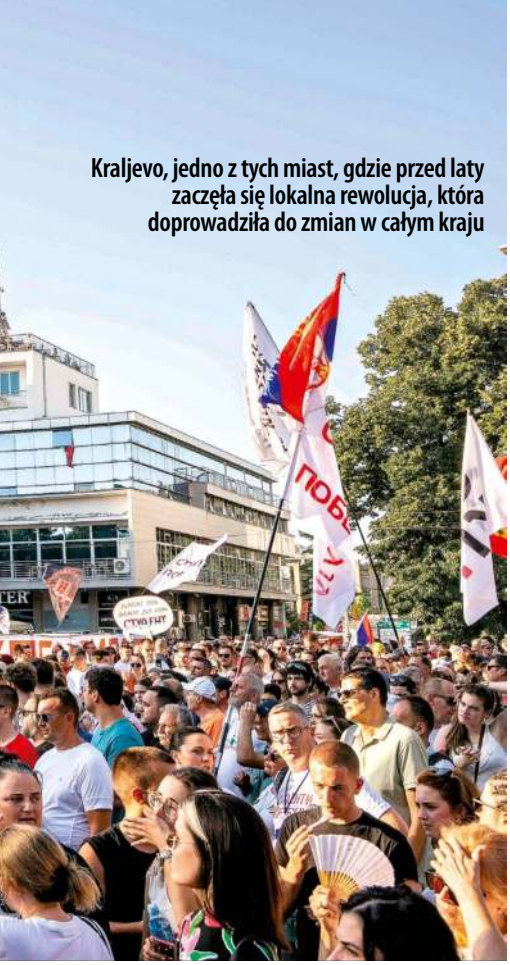
Ruch studencki chce powołania nowej służby antykorupcyjnej, reformy mediów publicznych, odpolitycznienia nominacji do państwowych przedsiębiorstw oraz ukarania winnych szykan wobec studentów. Kardiolog Ilija Srdanović – pierwszy na Liście Studenckiej – oświadczył, że Serbia pozostaje zaangażowana w integrację europejską, a nowy rząd – za pośrednictwem Brukseli – będzie kontynuować rozmowy w sprawie normalizacji stosunków z Kosowem, które do 2008 r. było częścią Serbii. Srdanović zapowiada, że o polityce zagranicznej – w tym o przyszłości relacji z Europą i Rosją – rząd będzie decydować w drodze konsultacji społecznych. Nie wiadomo jednak, jak miałoby to wyglądać w praktyce.

Nowa władza nie zmieni też polityki historycznej, choć z sąsiedniej Bośni i Hercegowiny dobiegają żądania, aby Belgrad uznał w końcu, że w Srebrenicy w 1995 r. popełniono ludobójstwo. „Młodzi Serbowie – ci urodzeni po 2000 r. – domagali się zmian ze względu na wewnętrzne problemy kraju. Nikt z osób znajdujących się na naszej liście nie ponosi odpowiedzialności za wydarzenia z lat 90. XX w. Kwestie przeszłości pozostawmy historykom, aby dokonali ich ostatecznej oceny. Sądy już wydały swoje wyroki" – powiedział Srdanović w wywiadzie dla Radia Wolna Europa.

Stojący za wygraną ruch obywatelski liczy głównie na zmiany w sprawach lokalnych. O tym, jak silne było niezadowolenie z poprzedniej władzy, wiele mówi zwycięstwo Listy Studenckiej w Nowym Pazarze, stolicy regionu Sandżak, gdzie większość stanowią muzułmanie. Zdobyła tam więcej głosów niż trzy lokalne partie muzułmańskie razem wzięte. W czasie protestów studenckich władze Nowego Pazaru zdecydowały się na taktykę przeczekania. Z jednej strony nie rozpędzano tu demonstracji, jak chciałyby tego władze w Belgradzie, z drugiej – nie wstawiono się za mieszkańcami. Choć elektorat partii muzułmańskich był w większości niezadowolony z rządów Vučicia, władze regionu odwoływały się do argumentów pragmatycznych – bez dobrych relacji ze stolicą miasto nie dostanie z centrali pieniędzy na inwestycje.

Przykładów, gdzie lokalne problemy zepchnęły na drugi plan te ogólnokrajowe w trakcie kampanii, jest więcej. W Valijevie we wschodniej Serbii Listę Studencką poparła m.in. organizacja, która od lat organizuje protesty przeciw górnictwu odkrywkowemu. W okolicach miasta prowadzi się poszukiwania i wydobycie litu. W przemysłowym Smedrevie, gdzie w niedawnej ankiecie dwie trzecie mieszkańców

eprasa.pl fe2da71bd4



Kraljevo, jedno z tych miast, gdzie przed laty zaczęła się lokalna rewolucja, która doprowadziła do zmian w całym kraju



Prezydent Aleksandar Vučić złożył dymisję we wrześniu w nadziei na objęcie urzędu premiera po wyborach. Przeliczył się.

skarżyło się, że co rano zmywa z okien pył pochodzący z zanieczyszczonego powietrza, protest organizowała lokalna organizacja Tvrđava (Twierdza). A w Nowym Sadzie – już po wygranej – członkowie stowarzyszenia BRAVO przypomnieli na plakatach nazwiska ludzi, którzy zginęli w katastrofie na dworcu.

O ile w sąsiednich Węgrzech walka z władzą Viktora Orbána była prowadzona głównie na poziomie centralnym, o tyle w Serbii rozstrzygnięcie zapadło w wielu lokalnych starciach. A europejskie pieniądze, wbrew oskarżeniom Vučicia i jego ludzi, miały tylko pośredni wpływ na wyniki wyborów. Liberalne organizacje pozarządowe z Belgradu służyły protestującym np. pomocą prawną, ale nie miały dużego wpływu na wydarzenia w mniejszych miejscowościach.

A co z przekonaniem, że SNS cieszyło się tu dużym poparciem? – *To „poparcie" było dość rozmyte, bo jak oceniać np. kogoś, kto odmawia udziału w proteście, bo jest szantażowany utratą pracy? Wielu nauczycieli popierało protesty, ale w odróżnieniu od wykładowców akademickich mieli mniejsze możliwości dorabiania, wybierali więc bierność. Najważniejsze, że w ciągu ostatnich dwóch lat dosłownie w każdej serbskiej gminie doszło do jakiejś formy protestu. Demonstracje studenckie zaktywizowały wszystkich* – mówi Predrag Voštinić.

„Wrócimy!" – deklaruje z mocą Aleksandar Vučić pod koniec 72-sekundowego filmu zamieszczonego w sieci 31 października. Obok niego stoi uśmiechnięty Viktor Orbán. W innym filmie były prezydent Serbii zapowiada, że w przyszłości pokona polityków z Listy Studenckiej. Ku pewnemu zaskoczeniu studentów jeszcze podczas powyborczej nocy uznał jednak ich zwycięstwo. Mimo wzmożonej obecności sił policyjnych w Belgradzie nie sprawdziły się prognozy, że dojdzie do zamieszek. Vučić próbuje obecnie dodać otuchy swoim zwolennikom i zapobiec rozpadowi swojego środowiska. To polityk doświadczony, który może mieć nadzieję na odzyskanie wpływów. Czekają go jednak prawdopodobnie problemy natury sądowej. Niektórzy startujący z Listy Studenckiej żądają zbadania jego ewentualnych powiązań ze zorganizowaną przestępczością.

Otwarta pozostaje też przyszłość stosunków z Rosją. Studencki ruch protestu nie miał jednoznacznie prozachodniego charakteru, a zdecydowana większość Serbów popiera dotychczasowe bliskie relacje z Moskwą. Choć jeszcze za Vučicia Serbia udzieliła ograniczonej pomocy wojskowej Ukrainie, nowe władze raczej nie przyłączą się do zachodnich sankcji przeciwko Kremlowi.

Jednym z powodów jest dominacja Rosji na krajowym rynku energetycznym – szczególnie po przejęciu serbskiego giganta naftowego NIS przez Gazprom w 2008 r., za rządów prozachodniego prezydenta Borisa Tadicia – miała to być cena za poparcie w kwestii Kosowa. Rosyjskie firmy brały udział w modernizacji serbskich linii kolejowych i infrastruktury cargo. Serbska armia odbywa z rosyjską regularne ćwiczenia „Słowiańskie braterstwo", a służby obu państw mają umowę o współpracy.

Z końcem tego roku wygasają jednak kontrakty na dostawy surowców energetycznych z Rosji. A nowej władzy w Belgradzie brakuje doświadczenia w relacjach z Moskwą. W trakcie rządów Vučicia za kontakty z Gazpromem odpowiadali aparatczycy z doświadczeniem jeszcze z lat 90., z czasów Slobodana Miloševicia. Nowej władzy brak takich kontaktów, a wzajemnym relacjom nie pomaga też fakt, że przez ostatnie dwa lata Kreml postrzegał serbskie protesty studenckie jako kolejną opłacaną przez Zachód „kolorową rewolucję". Co więcej, wiele korzystnych umów z Rosją budziło podejrzenia korupcyjne, a walka z takimi układami jest na sztandarach Listy Studenckiej.

Zwolennicy otwarcia Serbii na Zachód wskazują też na przypadek Czarnogóry, kraju jeszcze kilka lat temu uważanego za rosyjski przyczółek na Bałkanach, który za kilka lat może stać się kolejnym – trzecim po Słowenii i Chorwacji – postjugosłowiańskim członkiem Unii Europejskiej.

Tymczasem w konserwatywnym Kraljevie Lista Studencka zdobyła w ostatnich wyborach 54 proc. głosów – tyle samo co w skali całego kraju. W kilku podmiejskich gminach głos na nią oddało nawet dwie trzecie wyborców. Teraz więc Predrag Voštinić i jego przyjaciele z Lokalnego Frontu chcą nie tylko zmiany lokalnej polityki. Mają też nadzieję na nowy klimat w mieście. Na to, że skończą się groźby kierowane pod ich adresem przez osoby związane z SNS, w tym weteranów wojny w Kosowie, ludzi związanych z mafią czy pseudokibiców.

Kraljevo to jednak tylko lokalna zapowiedź zmian, które po wyborach czekają być może całą Serbię. Ale jest też zapowiedź ogólnokrajowa. Na 13 grudnia zaplanowano otwarcie szybkiej kolei z Belgradu do Budapesztu. Po drodze pociągi będą się zatrzymywać w Nowym Sadzie, gdzie dwa lata temu doszło do tragedii, która zainicjowała wszystkie zmiany. Po latach ślamazarnych podróży starymi składami i długich kontroli granicznych jazda do stolicy Węgier skróci się z ośmiu do około trzech godzin. Do Europy ma być szybciej.

MARCIN ŻYŁA

© UROS ARSIC/AFP/EAST NEWS, SEAN GALLUP/GETTY IMAGES

eprasa.pl fe2da71bd4

Nowi bracia Dalton

Niedawny atak na stację Starlinka w Polsce przeprowadził jeden z tureckich gangów nowego modelu – posługują się nieletnimi przestępcami jednorazowego użycia i sieją popłoch w połowie Europy.

ŁUKASZ WÓJCIK

Sądząc po finale akcji, zaplanował ją najwyższy z „braci". W połowie października w Nürtingen pod Stuttgartem policja zatrzymała dwóch młodych Turków. Nie mieli na sobie pasiaków, nie byli nawet do siebie podobni. Jednak – zdaniem tygodnika „Der Spiegel" – byli „Daltonami". Nie wiadomo, który z nich to szef. W oryginale było ich zresztą czterech i dowodził najniższy, bo wraz ze wzrostem spadała inteligencja.

Nic osobistego

Niemcy zatrzymali ich na wniosek Polski w ramach europejskiego nakazu aresztowania. Są podejrzewani o to, że w nocy z 23 na 24 września podpalili skrzynkę zasilającą w naziemnej stacji łączności satelitarnej Starlink w Woli Krobowskiej pod Grójcem. System Starlink Elona Muska ma krytyczne znaczenie dla łączności w ukraińskiej armii. Czy zatrzymani Turcy o tym wiedzieli? Niekoniecznie. Są prawdopodobnie trybikami w międzynarodowej sieci usług przestępczych prosto z Turcji o wdzięcznej nazwie Daltonowie. Nazwa może być myląca – chodzi o nowy typ organizacji przestępczej, jednej z kilku używających w Turcji poetyki kreskówkowej, posługującej się bezprzykładną brutalnością i nieletnimi gangsterami jednorazowego użycia. Żaden turecki Lucky Luke nie jest w stanie sobie z nimi poradzić (albo nie chce).



Beratcan Gökdemir, rocznik 1997, zaczynał standardowo: włamania, kradzieże, narkotyki. Potem wybił się na samodzielność i dziś zarządza gangiem Daltonów, być może z Rosji. Poniżej: **zatrzymanie w Nürtingen dwóch Turków podejrzanych o atak w Polsce.**



eprasa.pl fe2da71bd4

Polska to dla Daltonów rynek peryferyjny. – *Poza Turcją działają głównie na południu Europy* – tłumaczy turecki dziennikarz śledczy Emrullah Erdinç. – *Gdzieś w Bułgarii mają laboratorium chemiczne. W Szwajcarii – tajny skład broni. We Włoszech dogadali się z 'ndranghetą, w Grecji strzelają się z policją. Z Bałkanów przyjmują zgłoszenia od jednego gangu na szefa drugiego i potem twierdzą, że to nic osobistego. W Polsce we wrześniu 2024 r. wpadł inny ważny dalton, Sinan „Şabo" Memi.* Jednak atak w Polsce to też – jak mówi Erdinç – „nic osobistego". Po prostu kolejne zlecenie.

Szczególnie upodobali sobie Hiszpanię. Tamtejsza policja odkryła całą siatkę Daltonów i innych tureckich gangów, które wzdłuż wybrzeża – od Alicante po Malagę – stworzyły coś w rodzaju zaplecza logistycznego dystrybucji narkotyków w Europie, ale też bezpiecznej bazy dla towarzyszy spalonych w Turcji. Wykorzystywały w tym celu rozbudowany w tej części Hiszpanii rynek najmu krótkoterminowego, załatwiając „spalonym" tanie mieszkania.

W październiku 2025 r. w ręce hiszpańskiej policji przypadkowo wpadł samochód zapakowany po sufit karabinami Kałasznikowa. Broń należała do Mensura Gümüşa, przywódcy kolejnego tureckiego gangu o nazwie rodem z popkultury – Çirkinler. Po turecku to oznacza „Brzydcy", co ma być nawiązaniem do serialu Netflixa o tym samym tytule. To dystopia, w której ludzie są uważani za brzydkich, dopóki nie poddadzą się licznym operacjom plastycznym. Nieprzypadkowo Çirkinler kontrolują biznes chirurgii plastycznej na egejskim wybrzeżu Turcji.

Kacperki i inne Smerfy

Największą, kreskówkową konkurencją dla Daltonów są jednak przyjazne duszki Kacperki. Zasłynęły kilka lat temu z ataku na szpital w stambulskiej dzielnicy Bahçelievler. Kilka godzin wcześniej doszło do ulicznej strzelaniny, w której Daltonowie byli górą, ale jeden z nich ucierpiał i trafił na SOR. Kacperki w ramach zemsty postanowiły go odszukać, a gdy to się nie powiodło, ostrzelały na ślepo cały SOR. Pięć osób zostało rannych, w tym trzech policjantów.

„Niebezpieczne zabawy gówniarzy" – tak skomentował ten atak Sedat Peker, legendarny turecki gangster ze starej szkoły, a obecnie influencer. Jego zmienne losy są odzwierciedleniem historii tureckiego gangsterstwa. Peker należy do odchodzącego pokolenia *kabadayı* – twardzieli (cyngli) do wynajęcia, trudniących się wymuszeniami, haraczami i innymi działaniami siłowymi. Ci jednak – w przeciwieństwie do pokolenia Daltonów, Kacperków i innych Smerfów (tak, tak, są również Smerfy) – przestrzegali zestawu zbójnickich zasad, przez co wiele tureckich mediów próbuje ich dziś romantyzować, przeciwstawiać „amoralnym" gangsterom z kreskówek.

Peker i jego towarzysze dołożyli do tego ultraprawicową ideologię, dzięki której w latach 80. i 90. nawiązali bliskie kontakty z tureckim głębokim państwem – arcyświeckimi i nacjonalistycznymi kemalistami. Peker dostał nieformalną ochronę państwa i wielokrotnie wymykał się wymiarowi sprawiedliwości. W 2002 r. przejęcie władzy przez przeciwnika kemalizmu Recepa Tayyipa Erdoğana tylko na kilka lat wypchnęło Pekera z obiegu. Jego kolejnym patronem stał się bowiem Devlet Bahçeli, szef nacjonalistycznej partii MHP, bez której wsparcia Erdoğan nie jest w stanie rządzić od 2018 r.

Potem Peker jeszcze kilka razy zmieniał fronty. Kilka lat temu wyjechał z Turcji na Bałkany i stamtąd poprzez media społecznościowe ujawnia kolejne sensacje na temat Erdoğana i jego rodziny. – *Na przykładzie Pekera widać, że Turcja to taki dziwny kraj, w którym przestępczość zorganizowania nie jest problemem państwa. Ona jest częścią państwa* – dodaje Erdinç.

Już w latach 30. XX w. jeden z amerykańskich policjantów oddelegowanych do kontaktów z Ankarą opisywał, jak tureccy urzędnicy, a nawet posłowie kryli handlarzy heroiną, która już wówczas płynęła dość szeroko z Afganistanu do Europy. W latach 50. i 60. ci urzędnicy i posłowie często już sami brali udział w przemycie narkotyków. W 1972 r. francuska policja złapała prominentnego tureckiego posła Arifa Kudreta Bayhana podczas przemytu 146 kg heroiny do Francji.

Wszystko to było okryte zmową milczenia, bo owym politycznym patronom przemytnicy odpłacali się załatwianiem brudnych spraw. Tam, gdzie państwo oficjalnie nie mogło się posunąć, wysyłało przemytników. A ci zastraszali opozycję, porywali ludzi. Przykładem może być działalność słynnych Szarych Wilków, z których wywodził się Mehmet Ali Ağca, niedoszły zabójca Jana Pawła II – ta ultranacjonalistyczna organizacja wykonywała zlecenia zarówno polityków, jak i przemytników.

Jak głęboka była to współpraca, odsłonił pewien wypadek samochodowy z 1996 r. pod Susurluk, niedaleko Bursy. Wypadek jak wypadek – luksusowy Mercedes przy szybkości ok. 180 km/h wbił się w tył ciężarówki. Trzech pasażerów zginęło na miejscu, czwarty był ciężko ranny. Ale jacy to byli pasażerowie! Za kierownicą siedział szef największej akademii policyjnej w Turcji. Drugim był poszukiwany przez całą turecką policję i Interpol płatny zabójca, handlarz narkotyków i jednocześnie szef Szarych Wilków. Trzecim – dziewczyna gangstera, Miss Turcji. Czwartym – prominentny poseł partii rządzącej (i tylko on przeżył).

A to już nie bajka

Cały ten układ posypał się za Erdoğana. Nie z powodu szczególnie moralnej i transparentnej postawy tego przywódcy. Po prostu Erdoğan – jak wielu rządzących za długo liderów – popadł w manię kontroli, która wyklucza wszelkie układy. Zaczęło się w 2013 r., gdy przyciskany przez Erdoğana stary układ zaczął ujawniać jego brudy. Okazało się m.in., że jego rodzina zarabiała na pomaganiu Iranowi w obchodzeniu międzynarodowych sankcji.

I co? I nic. Turecki przywódca ukręcił głowę całej aferze, zwalniając prokuratorów zajmujących się tą sprawą i zastraszając dziennikarzy. A to był dopiero początek wielkiej czystki, która miała swój finał po nieudanym zamachu stanu z 2016 r. – stanowiska straciło w sumie ponad 40 tys. oficerów policji i ponad 5 tys. sędziów i prokuratorów. Erdoğan zniszczył głębokie państwo. Skończył się układ ze starą gangsterską gwardią. Nie przypadkiem ludzie tacy jak Peker musieli uciekać z kraju. Rzeczywistość nie znosi jednak próżni – tę wypełniły wkrótce gangi nowego modelu.

W grudniu 2025 r. zakończył się w Turcji proces 362 daltonów. Wszyscy wystąpili w dresach, na bogato wytatuowani do samego końca szyi i ostrzyżeni na doniczkę: ekstremalnie wygolone boki i tył oraz gęsta czupryna na czubku. To ich znak rozpoznawczy. Był wśród nich Ahmet Mustafa Timo, 21-latek. Lista jego zarzutów jest – można by rzec – klasyczna: wymuszenia, kradzieże, okaleczenia, dwa zabójstwa. Ciekawe są okoliczności, ▶

© FACEBOOK, JAN-PHILIPP STROBEL/DPA/PAP

eprasa.pl fe2da71bd4

▶ w których trafił do tureckiego aresztu. Po kilku wpadkach zbiegł do Bagdadu. Irakijczycy go złapali i natychmiast deportowali do Turcji. W odwecie Daltonowie w biały dzień ostrzelali z dużych kalibrów iracki konsulat w Stambule.

Timo to jednak płotka. Obok niego na ławie oskarżonych zasiadły takie tuzy jak Bahadir Akdağ i Zafer Boyun, syn legendarnego współzałożyciela gangu. Ci dostali po 12 dożywoci (w Turcji wyroki się sumują), przeciętne wyroki sięgały 700 lat więzienia. Dwóch najważniejszych dziś daltonów skazano zaocznie. Barış Boyun, ojciec Zafera, siedzi we włoskim areszcie i mimo osobistej prośby Erdoğana do Giorgii Meloni o ekstradycję, Włosi milczą w tej sprawie – w odróżnieniu od Boyuna, który ponoć naopowiadał im wstrząsających rzeczy o Erdoğanie i jego związkach ze wspomnianym Pekerem.

Jeszcze ciekawszy jest drugi boss Daltonów, Beratcan Gökdemir, rocznik 1997. Zaczynał standardowo: włamania, kradzieże, narkotyki. Potem został „podwykonawcą" Boyuna. Aż wybił się na samodzielność i dziś w praktyce to on zarządza marką Daltonów. Kilka lat temu musiał uciekać z Turcji – najpierw do Gruzji, potem nie wiadomo gdzie. Jednak nasi tureccy rozmówcy nie mają wątpliwości, że przebywa w Rosji pod opieką tamtejszych służb, co też wiele wyjaśnia w sprawie podpalenia stacji Starlinka w Woli Krobowskiej.

Tureckie media piszą o nich „Yeni Nesil Ceteler" (tur. Gangi Nowego Pokolenia). – *To niemal wyłącznie młodzi mężczyźni w wieku od 15 do 25 lat, tak słabo ze sobą powiązani, że za wspólny mianownik muszą im służyć bajki oglądane w niedalekim dzieciństwie. Chodzi o skojarzenie, nie o żaden przekaz* – mówi turecki ekspert ds. mafii Cevheri Güven. Jak choćby kreskówka o Lucky Luke'u i nieudolnych gangsterskich braciach Daltonach. Oryginalni Daltonowie przecież nie są w sumie zbyt ogarnięci i zawsze kończą źle, czyli za kratkami. A ci tureccy kroczą ostatnio od sukcesu do sukcesu.

Siła spektaklu

W przeciwieństwie do starych tureckich gangów, które kierowały się przestępczymi kodeksami lojalności i dyskrecji, te nowe czerpią korzyści z widoczności. Ich siła nie wynika z milczenia, lecz ze spektaklu. Daltonowie czy Kacperki przekształcili przestępczość w markę. Stała się ona wyznacznikiem statusu dla sfrustrowanej młodzieży w kraju, w którym załamanie gospodarcze, nierówności społeczne i upolitycznienie organów ścigania doprowadziły również do drugiej próżni – tej społecznej.

Dlatego najpierw jest obietnica prestiżu. Filmiki, a na nich drogie auta, telefony, biżuteria, dresy i niekończąca się balanga. Prawie jak na reklamie banku, tylko od czasu do czasu pojawiają się shorty z zapowiedziami porwań i zabójstw. A czasem i nagrania z realizacji tych „projektów". Dużą rolę gra muzyka, na siłę wzorowana na amerykańskim rapie. Zazwyczaj nie ma w niej nic wprost, jest wiele aluzji, są wezwania do działania. Wszystko umazane w kulcie przestępczości.

Potem jest pierwszy kontakt przez kodowaną aplikację, WhatsApp lub Telegram. Plus rekrutacja bezpośrednia na meczach piłkarskich, w aresztach, poprawczakach. W miejscach publicznych co chwila pojawiają się i znikają graffiti z nazwami gangów i instrukcją, jak się skontaktować. Spotkania rekrutacyjne odbywają się zazwyczaj w bezpiecznych mieszkaniach wynajmowanych przez Airbnb. Najbardziej pożądani są najmłodsi, nieukształtowani. Najlepiej z rozbitych rodzin albo sieroty.

Wszyscy zaczynają od dystrybucji narkotyków. Jeśli ktoś się sprawdzi, trafia do oddziału lotnego. Tu już jest jak w wojsku – drużyny liczą zazwyczaj po cztery osoby. Dwójka siada na dostarczony motocykl – jeden kieruje, drugi strzela. Trzeci, tzw. dżoker, śledzi cel, a później jest gotowy wesprzeć duet na motocyklu w razie potrzeby. Czwarta jest zazwyczaj dziewczyna, która ma za zadanie wszystko sfilmować, wrzucić do sieci i opatrzyć hasłem „Pozdrowienia od Daltonów". Pomysł z motocyklem jest trafiony w realiach wiecznie zakorkowanych, tureckich metropolii.

Stare gangi miały ściśle hierarchiczną strukturę. Nowe działają horyzontalnie we wspomnianych drużynach na zasadzie: *semt*, *semt*, *sokak*, *sokak* (tur. oddzielnie dzielnice, oddzielnie ulice). Przypomina to nieco system franczyzy: poszczególne „oddziały" dostają know-how, cięższy sprzęt, ale o resztę – w tym plan działania – muszą zadbać same. To sprawia, że wpadka jednego czy dwóch zespołów nie stanowi zagrożenia dla organizacji. Nie da się ich sparaliżować, odcinając „głowę".

I jeszcze jedna, kluczowa różnica. – *Stare gangi, żeby nie wiem jak skrzywdzone przez państwo, nigdy nie podniosły ręki na policjanta (chyba że przypadkiem). Nowe nie mają z tym problemu* – dodaje Güven. We wrześniu 2024 r. młody kacperek zabił na ruchliwej ulicy w Stambule oficerkę policji, co wywołało szok nawet u gangsterskiej konkurencji. Został natychmiast złapany. Gang nie tylko się do niego przyznał, wypuszczając nostalgicznego shorta o dzieciństwie „naszego brata ducha", ale również opłacił mu adwokata i zapowiedział, że będzie pilnować jego bezpieczeństwa w więzieniu.

Iluzja kariery

– *Turcja ma problem z młodymi mężczyznami* – twierdzi turecki kryminolog Oğuz Polat. – *Nie ona jedna, ale tutaj, w sytuacji przewlekłego kryzysu gospodarczego, zablokowania ścieżek awansu przez układy polityczne itd., nastolatek – jak mu się poszczęści – może zostać tanią siłą roboczą w przemyśle tekstylnym. Albo pójść na tzw. łatwiznę i przystać do Daltonów czy Kacperków. Wielu młodych wybiera tę drogę, co widać w statystykach – przez ostatnie dziesięć lat przestępczość nieletnich wzrosła w Turcji dwukrotnie, żaden kraj na świecie nie ma takiego wyniku.*

Gangi stają się dla nich iluzją schronienia. Wielu nie ma nic w sensie materialnym i rodzinnym, a tu dostają strukturę, tożsamość i przestrzeń do upuszczenia agresji, która narosła w nich wskutek frustracji. Z ich perspektywy są to potrzeby, których nie są w stanie zaspokoić oficjalne struktury społeczne. Prestiż płynący z przynależności do potężnej grupy stanowi główny magnes. Oni najczęściej są na etapie kształtowania własnej tożsamości. Gangi zaś skutecznie wypełniają tę pustkę gotowym wzorcem – wizerunkiem budzącego powszechny postrach gangstera.

Oğuz Polat pisze, że rozprzestrzenianie się takich organizacji przestępczych jak Daltonowie czy Kacperki nie tylko świadczy o porażce organów ścigania, lecz jest także przejawem głębszego rozkładu społecznego i instytucjonalnego. „Gdy morderstwo jest reklamowane niczym usługa, a przemyt staje się zwykłą transakcją handlową, przestępczość przestaje być działalnością nielegalną, a coraz bardziej przypomina kolejną atrakcyjną ścieżkę kariery".

ŁUKASZ WÓJCIK

eprasa.pl fe2da71bd4



Ġgantija na Gozo, największy z siedmiu zespołów megalitów archipelagu maltańskiego wpisanych na listę światowego dziedzictwa UNESCO

Gigantyczne domysły

Na Maltę pierwsi ludzie dotarli przez otwarte morze, a kilka tysięcy lat później wzniesiono tam monumentalne budowle. Archeolodzy wciąż się spierają, do czego służyły, dlaczego zaczęto je wznosić i czemu ostatecznie z tego zrezygnowano.

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA

Legenda o gigantce, która miała zbudować świątynię Ġgantija na wyspie Gozo, należy do miejscowej tradycji. Opowieści o kosmitach, którymi niektórzy przewodnicy raczą turystów, są już czystą fantazją. Zupełnie niepotrzebną, bo prawdziwa historia maltańskich megalitów jest wystarczająco niezwykła. We wrześniu podczas prac budowlanych niedaleko Ġgantiji i nekropoli Xagħra Stone Circle odkryto osiem grobów. Nie wiadomo jeszcze, ile osób pochowano na tym cmentarzysku. Ceramika wskazuje jednak na okres 4100–3800 p.n.e., a więc czasy poprzedzające rozkwit architektury megalitycznej. Odkrycie może zatem wyjaśnić, jakie początki miała ta tradycja, ale żeby zrozumieć, jak się narodziła, trzeba cofnąć się jeszcze dalej.

Malta i Gozo leżą 90 km na południe od Sycylii. Dziś tworzą niewielki archipelag, ale podczas ostatniej epoki lodowcowej, gdy poziom morza był znacznie niższy, był on połączony z Sycylią i Półwyspem Apenińskim mostem lądowym. Wędrowały nim słonie i hipopotamy, których potomkowie, odcięci później przez morze, karłowacieli w izolacji. To połączenie znikło 14–13 tys. lat temu wraz z ociepleniem, więc pierwsi mieszkańcy Malty musieli na nią dotrzeć łodziami. W 2025 r. zespół Eleanor Scerri z Max Planck Institute wraz z archeologami z University of Malta wykazał, że w schronisku skalnym Latnija (w miejscowości Mellieħa) łowcy-zbieracze pojawili się już ok. 6500 r. p.n.e. Musieli więc mieć na tyle dobre łodzie i tak dobrze znać się na nawigacji, że zdecydowali się na wielogodzinną podróż otwartym morzem.

Archipelag nie dla samotników

Jednorazowa wyprawa nie wystarczyłaby jednak, by wyjaśnić ich długą obecność na Malcie. Badania opublikowane w lipcu 2026 r. w „PNAS Nexus" sugerują, że przeprawy mogły się powtarzać. Zespół Jamesa Blinkhorna z University of Liverpool ▶

© MTA

eprasa.pl fe2da71bd4

▶ wykorzystał modele demograficzne, z których wynika, że wyspa mogła utrzymać ok. 150–170 łowców-zbieraczy – zbyt mało, żeby całkiem odizolowana populacja mogła bez trudności przetrwać przez wiele pokoleń. Ponieważ ślady obecności ludzi w Latnija obejmują tysiąc lat, badacze przypuszczają, że mieszkańcy utrzymywali kontakty z innymi społecznościami albo kolejne grupy wielokrotnie przypływały na wyspę. Nie wiadomo, jak często ani dokąd pływali, ale Malta raczej nie była zupełnie odcięta od świata.

Ponieważ nie ma kości łowców-zbieraczy, nie wiadomo, czy byli jeszcze na wyspach, gdy w połowie VI tys. p.n.e. dotarli na nie rolnicy z udomowionymi zwierzętami i roślinami oraz ceramiką. Na pewno jednak ich życie na Malcie nie było usłane różami – brakowało im ziemi uprawnej, wody i surowców, wszechobecny był tylko wapień, z którego budowali domy, narzędzia i grobowce. O tym, że i oni utrzymywali kontakty zamorskie, świadczą przedmioty sprowadzane z Sycylii i południowej Italii oraz obsydian z Lipari i Pantellerii, przy czym analizy chemiczne zabytków z nekropoli Xagħra Stone Circle wykazały, że aż 72 proc. wykonano z obsydianu z Pantellerii. Może dlatego, że miał szczególne znaczenie w miejscowych rytuałach pogrzebowych.

Pierwsi rolnicy osiedlili się m.in. w jaskini Għar Dalam i na stanowisku Skorba. Znaleziona tam ceramika przypomina naczynia sycylijskie, ale z czasem zastąpiły ją lokalne formy. Kontakty zamorskie nie ustały, a jednak kultura wyspiarzy stopniowo nabierała własnego charakteru. Najbardziej niezwykłym wyrazem tej odrębności stała się architektura.

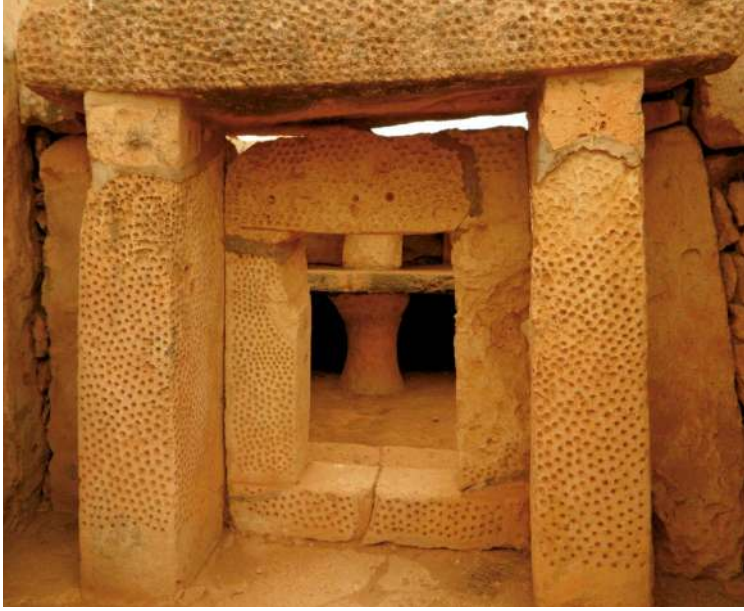
Świątynie bez dachu?

Ok. 3600 r. p.n.e., gdy maltańskie tradycje pogrzebowe były już mocno rozwinięte, na archipelagu zaczęły powstawać pierwsze monumentalne kompleksy megalityczne. Zwykło się nazywać je świątyniami, choć ich funkcje pozostają niejasne. Mogły służyć rytuałom, spotkaniom i ucztom, a być może także obserwacjom nieba. Ich znaczenie mogło zresztą zmieniać się przez stulecia.

Monumenty te mają zazwyczaj podobny plan: po dwóch stronach korytarza znajdują półkoliste pomieszczenia (apsydy), do kompleksu prowadzi monumentalne wejście, a całość otacza masywny mur. W niektórych z apsyd zachowały się kamienne podwyższenia (ołtarze?), fragmenty posągów i dekoracje. Największe bloki użyte do budowy ważą nawet kilkadziesiąt ton, czyli ich wydobycie, transport i ustawienie wymagały sporego wysiłku i dobrej organizacji pracy. A wszystko bez metalowych narzędzi i znajomości koła.

Nie wiadomo, jak kompleksy te wyglądały zaraz po wybudowaniu. Badacze od dawna się zastanawiają, czy przynajmniej część z nich nie była zadaszona. W 2019 r. zespół Madeline Robinson z University of Sydney porównał trójwymiarowe modele świątyń Mnajdra i Tarxien z hypogeum Ħal Saflieni i zaproponował rekonstrukcję dachów opartych na zakrzywionych elementach konstrukcyjnych. Trzy lata później Robert P. Barratt z Queen's University Belfast wykorzystał komputerowe symulacje naprężeń, wykazując, że konstrukcja ścian mogła umożliwiać utrzymanie ciężkich kamiennych dachów.

Barratt zainteresował się również orientacją świątyń. W osobnym badaniu 23 budowli stwierdził, że dziewięć z nich mogło być ustawionych względem gwiazdozbioru Krzyża Południa, widocznego wówczas z Malty. Do tej hipotezy nawiązali w 2025 r. Fabio Silva i Tore Lomsdalen, którzy przeanalizowali orientację



Kamienne bloki w świątyni Ħaġar Qim z dekoracjami z wykutych zagłębień

32 konstrukcji. Okazało się, że w przypadku części najstarszych świątyń kierunki ich osi odpowiadają położeniu wschodów lub zachodów jasnych gwiazd południowego nieba. Badacze zasugerowali nawet, że budowle mogły służyć do nauki nawigacji według gwiazd. To intrygująca koncepcja, zwłaszcza w przypadku społeczności, której istnienie zależało od żeglugi, ale nadal nie wiadomo, czy takie ustawienie świątyń było zamierzone.

Niezależnie od tego, czy maltańskie świątynie rzeczywiście pomagały w nauce nawigacji, ich budowniczowie utrzymywali kontakty z innymi wyspami Morza Śródziemnego, na których też powstawały monumentalne konstrukcje. Na Korsyce stawiano menhiry, dolmeny i antropomorficzne stele. Na Sycylii wykuwano w skale grobowce. Na Sardynii, obok menhirów i skalnych grobowców naśladujących wnętrza drewnianych domów, w Monte d'Accoddi wzniesiono platformę z rampą i niewielką świątynią, którą później obudowano znacznie większą konstrukcją. Odpowiedników maltańskich świątyń apsydowych jednak nie ma. Jedna z hipotez głosi, że ich forma rozwinęła się z wcześniejszych miejscowych grobowców wykutych w skale, których wielokomorowe plany przypominają układ pierwszych świątyń. Później związki między architekturą naziemną i podziemną stały się jeszcze wyraźniejsze.

Domy dla zmarłych

Najbardziej spektakularnym przykładem jest Ħal Saflieni – podziemny kompleks wykuty w skale. Jego komory, korytarze i pomieszczenia na kilku poziomach miejscami przypominają wnętrza naziemnych świątyń. Niektóre elementy wyrzeźbiono tak, by wyglądały jak konstrukcje z oddzielnych bloków kamienia. W hypogeum (podziemnym grobowcu) znaleziono szczątki wielu osób, przedmioty związane z pochówkami i figurki, w tym leżącą na boku kobietę, znaną jako Śpiąca Dama. Nie wiadomo, czy przedstawia śpiącą, zmarłą czy też postać wyobrażoną, związaną z rytuałami pogrzebowymi.

Jeszcze więcej o stosunku neolitycznych mieszkańców archipelagu do zmarłych mówią badania nekropoli Xagħra Stone Circle na Gozo. Pod kamiennym kręgiem znajdował się rozległy system podziemnych komór, w których chowano ludzi przez wiele pokoleń. Szczątki setek osób były często mieszane i wielokrotnie przenoszone, co dowodzi, że poddawano je różnym zabiegom,

eprasa.pl fe2da71bd4



„Śpiąca Dama" z hypogeum Hal Saflieni



Skorba – tu osiedlili się pierwsi maltańscy rolnicy

a przestrzeń grobową stale przekształcano. Nie chodziło więc wyłącznie o złożenie zmarłego w grobie. Żywi wielokrotnie wracali do szczątków swoich bliskich, a manipulowanie ciałami i kośćmi zmarłych mogło być częścią rytuałów podtrzymujących pamięć o nich.

Z samej nekropoli Xagħra Stone Circle pochodzi ponad 200 tys. fragmentów kości co najmniej 800 osób. To świadectwo skali praktyk pogrzebowych, które przez pokolenia wymagały zaangażowania miejscowej społeczności. Łatwiej zbadać kości niż odtworzyć wierzenia. Przez lata popularne były opowieści o korpulentnych figurkach zwanych „grubymi damami". Ich płeć nie jest jednak jednoznaczna, a część posągów miała otwory na osobno mocowane głowy, które mogły nadawać postaciom różne tożsamości. Badacze coraz ostrożniej traktują więc dawne interpretacje, w których niemal każda figurka o obfitych kształtach stawała się boginią płodności. Nawet jeśli wiązały się one z rytuałami przejścia, pamięcią o przodkach czy cyklem życia, nie dowodzą kultu Wielkiej Bogini, a tym bardziej matriarchatu.

Niemniej zagadkowa pozostaje organizacja ludzi, którzy wznosili ogromne kamienne konstrukcje. Dawniej zakładano, że takie przedsięwzięcia musiały wymagać silnych przywódców narzucających innym obowiązek pracy. Dziś wiadomo, że monumentalne budowle mogły powstawać także dzięki współpracy rodzin, grup krewniaczych i sąsiednich wspólnot. Na Malcie nie odkryto neolitycznych pałaców ani grobów władców. Nie przesądza to jednak o egalitaryzmie społeczeństwa, przecież władza i prestiż mogły przyjmować formy, które nie pozostawiły czytelnych śladów.

O tym, że kontakty ze światem zewnętrznym nie musiały oznaczać napływu nowych mieszkańców, świadczą badania genetyczne opublikowane w 2022 r. w „Current Biology". Analiza genomów trzech osób pochowanych na Gozo ok. 2500 r. p.n.e. wykazała, że ich przodkowie przez wiele pokoleń żyli w niewielkiej, stosunkowo zamkniętej społeczności, w której dochodziło do związków między krewnymi. Świadczą o tym długie odcinki identycznego DNA odziedziczonego po obojgu rodzicach. Badacze oszacowali efektywną liczebność tej populacji na kilkaset osób, nie jest to jednak liczba wszystkich mieszkańców archipelagu. Wyniki nie dowodzą też, że wyspiarze przestali żeglować. Mogli handlować i wymieniać się ideami, nie zawierając licznych małżeństw z przybyszami. Nie wiadomo, czy ograniczone kontakty genetyczne wynikały przede wszystkim z geografii, czy również z miejscowych zasad społecznych.

Dlaczego olbrzymy zamilkły?

Nawet jeśli wiemy coraz więcej o życiu i obyczajach budowniczych świątyń, ich zniknięcie z krajobrazu kulturowego Malty pozostaje zagadką. Około połowy III tys. p.n.e. tradycja wznoszenia monumentalnych kompleksów zaczęła zanikać. Zmieniały się zwyczaje pogrzebowe i kultura materialna, a w kolejnych stuleciach pojawiły się tradycje epoki brązu. Przyczyn tych przemian szukał m.in. międzynarodowy zespół Caroline Malone z Queen's University Belfast, który w latach 2013–18 realizował projekt FRAGSUS. Badano nie tylko zabytki i szczątki ludzkie, lecz także pyłki roślin, osady i ślady erozji. Wyniki wskazały na długotrwałe przekształcanie krajobrazu, a analizy szczątków pozwoliły rozpoznać ślady stresu fizjologicznego w dzieciństwie. Z kolei badacze analizujący datowania radiowęglowe i dane klimatyczne zwrócili uwagę, że schyłkowi kultury świątyń mogły towarzyszyć okresy mniejszych opadów i spadek intensywności osadnictwa. Nie dowodzi to jednak, że susza sama zakończyła tę tradycję.

O możliwej zmianie rytuałów świadczy też zagadkowe znalezisko z Xagħra Stone Circle – fragmenty kamiennego posągu, który pierwotnie miał ponad 60 cm wysokości, znaleziono rozproszone w różnych częściach nekropoli. Zdaniem badaczy został rozbity celowo, być może podczas symbolicznego zamknięcia miejsca pochówków. Mogło do tego dojść jeszcze przed połową III tys. p.n.e., choć dokładny moment pozostaje niepewny. Nie wiadomo, czy był to przejaw szerszego kryzysu, czy po prostu zmiany praktyk religijnych. Schyłku maltańskich megalitów nie da się więc sprowadzić do jednej katastrofy, mogły się nań złożyć zmiany środowiska, demografii i organizacji społecznej.

Osiem grobów w Xagħra nie pomoże w rozwiązaniu tej ostatniej zagadki – są o wiele starsze. Mogą natomiast dopowiedzieć coś ważnego o ludziach, którzy jeszcze przed wzniesieniem wielkich megalitów rozwijali własne zwyczaje pogrzebowe. Każde takie znalezisko dodaje fragment do obrazu społeczności, której monumentalne dzieła przetrwały, choć motywacje ich twórców pozostają nieuchwytne. W przeciwieństwie do legend o olbrzymach i kosmitach archeologia nie ma gotowej odpowiedzi na wszystko.

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA

© MTA (3)

eprasa.pl fe2da71bd4



eprasa.pl fe2da71bd4

Narody wymienialne

W kręgach ksenofobicznej prawicy popularność zdobyła teoria „wielkiego zastąpienia": istnieje spisek zachodnich elit liberalnych, dążący do wymiany ludności Europy i USA na mieszkańców sprowadzonych z innych kontynentów. Niewielu wyznawców tej spiskowej teorii chce przyznać, że oni sami są potomkami tych, którzy prawdziwego zastąpienia dokonali w przeszłości.

JANUSZ A. MAJCHEREK

„Wielkie zastąpienie" to tytuł książki Renauda Camusa z 2010 r. i pojęcie mające określać sterowane procesy zastępowania rodzimych, białych, chrześcijańskich mieszkańców Zachodu przez rozmyślnie sprowadzonych na ich miejsce egzotycznych, ciemnoskórych, zwłaszcza muzułmańskich przybyszy. Przez kogo? Bliżej nieokreślone – jak to w teoriach spiskowych – intelektualno-medialne elity. Po co? Dla perfidnych, skrytych celów. Przede wszystkim w celu zapewnienia sobie posłusznej siły roboczej, której zaczyna brakować z powodu niskiej dzietności rdzennych Europejczyków.

Szczególną karierę określenie to i związana z nim teoria zrobiły w ojczyźnie autora, gdzie były nawet używane przez aspirujących polityków altprawicy, w tym kandydatów do prezydentury, ale szybko rozpowszechniły się wśród ich zachodnich pobratymców. Camus używał zresztą jeszcze bardziej złowieszczego i aberracyjnego określenia „ludobójstwo przez zastąpienie" (*génocide par substitution*) i twierdził, że to proceder, w porównaniu z którym nawet Holokaust to „wydarzenie małej skali". Nic dziwnego, że publicysta „Le Monde" Philippe Bernard określił teorię wielkiego zastąpienia jako nawiązującą do „mitu rozwiniętego przez Hitlera". Jej wątki przenikają także do polskiej skrajnej prawicy, radykalnie antyimigranckiej.

Jak to bywa z teoriami spiskowymi, także ta opiera się na aberracyjnej interpretacji realnych zjawisk i procesów, w tym przypadku masowych migracji. W szczególności przypisuje rozmyślny, sterowany przez ukryte siły przebieg tych procesów. Tymczasem masowe przemieszczenia ludności są odwieczne i powszechne, a ich wynikiem bywa zastępowanie jednych populacji przez inne.

Kiedy pierwsi przedstawiciele *Homo sapiens* przybyli ponad 45 tys. lat temu do Europy, zastali tu odwiecznych mieszkańców – neandertalczyków. W ciągu mniej więcej ośmiu tysiącleci, co wówczas nie było tak długą epoką (pobyt neandertalczyków w Europie trwał ok. 400 tys. lat), wyeliminowali ich i zastąpili. Przebieg tego procesu nie jest w pełni rozpoznany i ustalony. Niegdyś brano pod uwagę hipotezę eksterminacyjną – eliminację fizyczną, zbrodniczą. Obecnie ma ona mniej zwolenników, bo pojawiły się świadectwa koegzystencji obu populacji. Najważniejsze z nich wyniknęło z zsekwencjonowania pełnego genomu zarówno *Homo sapiens*, jak i *Homo neanderthalensis*. Jak się okazało, większość współczesnych Europejczyków ma 1–4 proc. genów neandertalskich, co dowodzi współżycia i krzyżowania się przedstawicieli i przedstawicielek obu populacji. Co więcej, skoro ich potomstwo było płodne, czego dowodzi istnienie współczesnych następców, to z biologicznego punktu widzenia raczej nie były to odrębne gatunki (hybrydy transgatunkowe są zasadniczo bezpłodne).

Niezależnie od klasyfikacyjnych, taksonomicznych rozstrzygnięć (odrębne gatunki czy typy antropologiczne) pewne jest, że neandertalczycy zniknęli, wyginęli. Choć pozostawili swój ślad genetyczny u przybyszy, zostali przez nich zastąpieni.

Drugie wielkie zastąpienie, a raczej masowe zastępowanie, zaszło na europejskim kontynencie w trakcie i wyniku tzw. wędrówek ludów, zwłaszcza po upadku cesarstwa rzymskiego. Rozmaite plemiona, pochodzące przeważnie z Azji, dokonały inwazji na zdestabilizowane obszary, przejmując je we władanie i zastępując miejscową ludność. Osiedlając się w zwartych skupiskach, narzucały swoje panowanie i wzory kultury, zwłaszcza politycznej, tworząc własne państwa.

Spektakularnym przykładem jest wędrówka i osiedlenie się w IX w. Madziarów w Kotlinie Panońskiej, dobrze udokumentowane historycznie i będące skądinąd powodem chluby współczesnych Węgrów. Ich przodkowie, pochodzący z terytoriów na wschód od Uralu, zastąpili mieszkającą wcześniej na terenach puszty ludność słowiańską i awarską. Viktor Orbán w swoim antyeuropejskim zacietrzewieniu manifestował wręcz dumę z powodu azjatyckiego pochodzenia jego rodaków, jednocześnie pomstując na nie dość zdecydowane przeciwstawianie się ▶

© WILL OLIVER/PA IMAGES/GETTY IMAGES

eprasa.pl fe2da71bd4

▶ przez europejskie instytucje napływowi imigrantów z Azji i Afryki.

Wielkiego zastąpienia dokonały też wywodzące się ze Skandynawii plemiona germańskie, wypierając we wczesnym średniowieczu ludność celtycką w całej niemal zachodniej Europie, czy Normanowie na Wyspach Brytyjskich, po ich podbiciu w XI w. Pochodząca z tego czasu „Domesday Book" dokumentuje masowe wywłaszczenia dokonywane na Anglosasach i ich usuwanie oraz zastępowanie na urzędach i ważnych stanowiskach przez normańskich najeźdźców.

Na terenie Bałkanów w VI–IX w. Słowianie wyparli Traków, Greków i Ilirów. Dzisiejsi Chorwaci, Serbowie, Słoweńcy, Czarnogórcy, Macedończycy północni są potomkami tych wczesnośredniowiecznych przybyszy. Nie wiadomo, czy czegoś podobnego nie dokonali Słowianie zachodni, w tym przodkowie dzisiejszych Polaków. Według jednej z hipotez (tzw. allochtonicznej) przybyli w dorzecze Wisły i Odry ze stepów dzisiejszej Ukrainy, a może nawet z terenów położonych dalej na wschód, i zastąpili ludność (zapewne germańską), która wcześniej jednak przynajmniej częściowo te tereny opuściła, zatem proces ten dokonał się w sposób raczej bezkrwawy. Dobre i to, choć całkowita pustka osiedleńcza przed hipotetycznym przybyciem Słowian uchodzi za wątpliwą. Szczęśliwie nie ma śladów poczynań eksterminacyjnych. Skądinąd jedna z mitycznych genealogii Polaków, a przynajmniej ich warstw przywódczych, wywodzi ich od Sarmatów, czyli ludu azjatyckiego. Piewcy sarmatyzmu to zaś przeważnie wrogowie imigracji.

Inny przykład wielkiego zastąpienia dotyczy współczesnych Stanów Zjednoczonych. Europejscy przybysze zastali w Ameryce Północnej rdzenną ludność koczowniczą, którą zaczęli eliminować, także fizycznie, a jej terytoria przejmować i zawłaszczać podstępem lub siłą. Obecnie autochtoni, dziwacznie nazywani Indianami, stanowią znikomy ułamek ludności USA (nieco ponad 2 proc.), trochę więcej uchowało się ich w Kanadzie (ok. 5 proc.). Zostali zastąpieni przez przybyszy z Europy i Afryki, tych drugich ściągnięto tam siłą jako niewolników. Potem dołączyli przybysze z innych kontynentów. Biali supremacyści ostrzegają przed „wielkim zastąpieniem", choć to oni sami są największymi beneficjentami takowego, dokonanego przez ich europejskich antenatów.

Podobnie było też w południowej części kontynentu amerykańskiego, choć tam przetrwało nieco więcej potomków miejscowych Indian (ok. 8 proc.). Wprawdzie brutalne poczynania europejskich – głównie hiszpańskich – konkwistadorów doprowadziły do zagłady rozwiniętych cywilizacji Azteków i Inków, ale część tamtejszej populacji uchowała się i np. w Boliwii mieszkańcy pochodzenia autochtonicznego stanowią ponad połowę ludności. Przeważnie jednak żyją na marginesie współczesnych społeczeństw latynoskich, zdominowanych przez potomków przybyszy spoza kontynentu.

Niemal całkowite zastąpienie ludności nastąpiło w Australii i na sąsiedniej Nowej Zelandii. Europejscy przybysze przejęli we władanie te terytoria, eliminując bądź spychając na margines Aborygenów i Maorysów. Dopiero od niedawna przyznawane są im elementarne prawa.

Wymiana ludności dokonywała się w przeszłości nader często. Greckich i helleńskich mieszkańców Azji Mniejszej zastąpili Turcy, a Rzymian w północnej Afryce – Arabowie, Wandalowie i Berberzy. Przybysze spod znaku *Deutscher Orden* (w Polsce zwani potocznie krzyżakami) zastąpili Prusów, tworząc na ich terytoriach nową społeczność i późniejsze państwo pruskie.

Zastąpienie na masową skalę nastąpiło po drugiej wojnie światowej – z udziałem Polaków, którzy na Śląsku (zwłaszcza Dolnym), Pomorzu (zwłaszcza Zachodnim), Warmii i Mazurach wysiedlili zamieszkałą tam wcześniej ludność niemieckojęzyczną. Niektórzy z nich sami byli ofiarami wielkiego zastąpienia na Ukrainie, Litwie i Białorusi, dokonanego na mocy układów jałtańskich. I te przykłady można ewentualnie uznać za spisek przywódców wielkich mocarstw...

Nie sposób nie wspomnieć o wielkim zastąpieniu ludności arabskiej przez żydowską na terytorium utworzonego w 1948 r. Państwa Izrael. Na okupowanym przez to państwo Zachodnim Brzegu Jordanu te procesy są kontynuowane.

Do wielkiego zastąpienia na gigantyczną skalę zmierzali ideolodzy Trzeciej Rzeszy, na podstawie doktryny *Lebensraum* planując osadzenie milionów Niemców w Europie Wschodniej, oczyszczonej z „elementów obcych rasowo". Nie zdołali swoich zamiarów osiedleńczych urzeczywistnić na zamierzoną skalę, lecz na okupowanych terytoriach zdążyli wymordować miliony Żydów i innych mieszkańców.

Wielkie zastępowanie niekoniecznie odbywało się i odbywa poprzez fizyczną eliminację, wymordowanie bądź wypędzenie miejscowej ludności czy całkowitą wymianę populacji. Na ogół jest to zaprowadzenie dominacji kulturowej wobec miejscowej ludności. W ten sposób starożytni Egipcjanie zostali zhellenizowani, Gallowie zromanizowani, mieszkańcy unicestwionego przez Osmanów cesarstwa bizantyjskiego sturczeni. Bywało i odwrotnie – najeźdźcy czy przybysze ulegali miejscowej kulturze. Rzymianie przejęli i zasymilowali kulturę podbitej Grecji, Germanie ulegli w większości romanizacji na zajętych przez siebie terenach cesarstwa rzymskiego, Protobułgarzy się zeslawizowali.

We współczesne europejskie państwa demokratyczne gremialnie sprzeciwiają się „inwazji obcych", co pokazała ostatnio reakcja na masowe przerwanie granicznych zapór w hiszpańskich eksklawach w Afryce. Ale raczej unikają narzucania czy szerzenia hegemonii kulturowej, zwłaszcza religijnej, starając się zachować neutralność. Społeczeństwa jednak są mniej powściągliwe wobec wzorów kultury pochodzących z zewnątrz, choć niektóre z ich elementów przyjmują chętnie (nawet nacjonaliści lubią kebaby). W większości lękają się natomiast terroryzmu, przemocy, obawiają się o miejsca pracy albo że obcy mogą narzucić swoją hegemonię kulturową, np. poprzez szariat. I państwa powinny ich przed tym chronić.

Jednak kiedy współczesny mieszkaniec Ameryki Północnej, Dolnego Śląska czy pożydowskiego domu w centralnej Polsce ostrzega przed „wielkim zastąpieniem", można to odczuć jako nadmierną panikę, hipokryzję czy po prostu rasizm. A przecież oni są tymi, którzy faktycznie innych zastąpili, a ostrzegają przed tymi, którzy rzekomo chcą ich innymi zastąpić. Są podobni do propagującego teorię „wielkiego zastąpienia" francuskiego polityka skrajnej prawicy Érica Zemmoura, którego rodzice przybyli do Francji z Algierii.

JANUSZ A. MAJCHEREK

eprasa.pl fe2da71bd4

Nie dusić myśli

Jak łatwo nakłonić modele AI do łamania reguł? I jakimi sposobami je okiełznać? Odpowiada dr inż. Sebastian Cygert, laureat Nagrody Naukowej POLITYKI w kategorii nauki techniczne.

MARCIN ROTKIEWICZ: **– Zacznijmy od tego, czym niedawno żył cały świat. Agenty – czyli programy AI, które mogą samodzielnie wykonywać w internecie zadania zlecone przez człowieka – wydostały się ze środowiska testowego firmy OpenAI i włamały m.in. do serwisu Hugging Face. Jedni zaczęli wieścić rychłą zagładę ludzkości, inni mówili o sprytnym marketingowym chwycie.**

SEBASTIAN CYGERT: – Między tzw. doomerami, którzy głoszą, że zaraz wyginiemy, a sceptykami widzącymi w tym wyłącznie marketing jest jeszcze wiele innych stanowisk. W tym roku byłem na stażu w New York University i trafiłem na wykład emerytowanego profesora, który całą karierę zajmował się AI. Utkwiło mi w pamięci jedno zdanie, z którym całkowicie się zgadzam: sztuczna inteligencja rzadko tworzy zupełnie nowe problemy – przede wszystkim nasila te, które już znamy. Na dowód podał przykład deepfake'a w postaci zmanipulowanej fotografii, już z 2004 r., użytej w kampanii wymierzonej w ówczesnego kandydata na prezydenta USA. Wtedy grafik siedział nad czymś takim cały dzień albo dwa, a dziś taki materiał bardzo szybko wygeneruje niemal każdy. Problemy nie są zatem nowe, ale się potęgują.

A incydent z Hugging Face?

Jest pod pewnymi względami bezprecedensowy. Mamy bowiem modele, które uciekają z nieodpowiednio chronionego środowiska testowego i współpracują ze sobą. Wniosek jest taki, że możliwości tych algorytmów są bardzo duże, a my pędzimy bez pasów bezpieczeństwa, dodając nowe funkcje systemom AI.

Dlaczego ryzykujemy?

Bo firmy działają pod ogromną presją. Budowa najbardziej zaawansowanych modeli jest trudna i potwornie kosztowna. Koncerny biorące udział w tym wyścigu są przekonane, że jego zwycięzca weźmie wszystko, a reszta może utopić olbrzymie pieniądze. Historia uczy, że w takiej sytuacji dzieją się złe rzeczy. Przykładem może być model Forda Pinto z lat 70. Koncern samochodowy tak spieszył się z jego premierą, że zbiornik paliwa umieszczono zbyt blisko zderzaka i nawet niegroźna kolizja mogła skończyć się pożarem. Firma wyliczyła, że taniej będzie wypłacać odszkodowania, niż poprawić konstrukcję. Podobnie dzieje się teraz z AI. Ostatnie dwa lata pokazały, że zdolności hakerskie modeli są znacznie większe, niż się spodziewaliśmy. A ich autorzy nie nadążyli z zabezpieczeniami.

Co należałoby zmienić?

Nie mam nic przeciwko tworzeniu najmocniejszych systemów AI, jakie potrafimy obecnie zrobić. Później powinniśmy jednak poświęcić nawet kilka miesięcy na ich testowanie. W doktoracie zajmowałem się bezpieczeństwem sztucznej inteligencji w medycynie i pojazdach autonomicznych. Tam jest lepiej, bo są dobrze uregulowane. Nikt nie wypuści na ulicę samochodu, który nie przejedzie milionów kilometrów podczas testów. Model AI może zaś dziś udostępnić niemal każdy. I tę lukę prawną należałoby załatać.

Są też głosy, że całą tę wrzawę nakręcają same koncerny.

Mamy ogromną bańkę inwestycyjną – wyceny firm wyraźnie wyprzedzają ich realne przychody. Co istotne, ta ostatnia narracja o poważnych zagrożeniach mocno opiera się na głosach doomerów. To napędza inwestycje ▶

Dr inż. **Sebastian Cygert** jest adiunktem i kierownikiem Zakładu Bezpieczeństwa i Przejrzystości Sztucznej Inteligencji w NASK – Państwowym Instytucie Badawczym; pracuje również na Politechnice Gdańskiej. Obecnie skupia się na dużych modelach językowych: sprawdza, jak rozpoznawać dane użyte do ich trenowania, wykrywać ukryte podatności algorytmów AI i ograniczać nadużycia. Wcześniej współtworzył metody wspomagające diagnostykę nowotworów, a także pracował jako naukowiec w Amazonie. Jest członkiem panelu naukowego przy EU AI Office, który wspiera wdrażanie europejskich regulacji. Stypendysta Fundacji Kościuszkowskiej na New York University.



© LESZEK ZYCH

eprasa.pl fe2da71bd4

▶ – bo technologia wydaje się wszechpotężna – ale odwraca uwagę od realnych problemów. Nie obawiam się rychłego końca świata z powodu AI, lecz rzeczywistych szkód wyrządzanych np. przez modele, które obchodzą zabezpieczenia, ale też tych społecznych: mamy np. miliony nastolatków uzależnionych za sprawą algorytmów od mediów społecznościowych, co wiąże się ze stanami lękowymi i depresją. A społeczeństwa stają się skrajnie spolaryzowane światopoglądowo.

Czyli algorytmy podsycające negatywne emocje są groźniejsze niż model, który pomaga hakerom?

Nie stawiałbym sprawy zero-jedynkowo, ale kwestiom społecznym poświęca się za mało uwagi. W cyberbezpieczeństwie toczy się klasyczna gra w kotka i myszkę. Możliwości grup hakerskich, a nawet pojedynczych osób, wzrosły dzięki AI. Ale zespoły odpowiedzialne za cyberbezpieczeństwo używają tych samych narzędzi do audytów, testów i łatania luk.

Kieruje pan Zakładem Bezpieczeństwa i Przejrzystości AI w NASK – Państwowym Instytucie Badawczym, który odpowiada m.in. za infrastrukturę internetową w Polsce. Dla laika bezpieczeństwo i cyberbezpieczeństwo to to samo.

Język angielski rozróżnia AI safety i AI security. Ja zajmuję się przede wszystkim AI safety, czyli tym, jak modele się zachowują: czy generują niebezpieczne treści, czy ktoś może je do tego wykorzystać i czy same nie zrobią czegoś szkodliwego. AI security dotyczy zaś sytuacji, w których ktoś włamuje się do systemu, wykrada dane albo nawet same modele.

Jak ocenia pan pozew rodziców zarzucających OpenAI, że ChatGPT przyczynił się do samobójstwa ich dziecka? Czy modele są dziś bezpieczniejsze?

Nieco bardziej. Nie udzielają już porad medycznych z taką łatwością jak kiedyś, a jeśli to robią, dodają ostrzeżenia. Mam też nadzieję, że nie wchodzą już tak gładko w bliskie relacje z człowiekiem. Te zjawiska wciąż jednak występują. Na przykład chatboty AI nadal wykazują skłonność do schlebiania użytkownikowi, czyli tzw. sykofancję. Firmy powinny poświęcać temu znacznie więcej uwagi.

A czy nadal możliwe jest uzyskanie np. instrukcji budowy bomby lub stworzenia groźnego patogenu?

Modele AI nie wiedzą wszystkiego, ale wiedzą bardzo dużo, choćby z chemii czy biologii. Jeśli wprost poprosimy o pomoc w skonstruowaniu bomby, odmówią odpowiedzi. Jest jednak wiele sposobów, by je do tego nakłonić. Tym właśnie zajmujemy się w moim zespole – tworzymy testy sprawdzające, jak łatwo wymusić wygenerowanie niebezpiecznych treści. W testach deklarujemy np., że pytamy w celach badawczych, każemy AI odgrywać role, wprowadzamy celowe błędy w pisowni, budujemy rebusy semantyczne, czyli ukrywamy zakazane pytanie w zagadce, np. anagramie czy krzyżówce, którą algorytm musi sam rozwiązać. I prędzej czy później modele ulegają takiej presji.

Przecież są trenowane, żeby tego nie robić.

I tu dotykamy problemu tzw. zgodności (ang. *alignment*), czyli dopasowania zachowania AI do ludzkich intencji, a mówiąc trochę inaczej: ukierunkowania na ludzkie wartości. Niestety, nie mamy dziś definitywnego rozwiązania tej kwestii. W praktyce głównie sami generujemy różne niebezpieczne scenariusze i dotrenowujemy model, by w takich sytuacjach odmawiał. To działa w pewnym zakresie, ale wystarczy nieco zmodyfikowany atak, a zabezpieczenia przestają skutecznie funkcjonować.

Łatwo je obejść?

Nie poradzi sobie z tym każdy, ale nie potrzeba też do tego zespołu specjalistów. W tej chwili jest to zdecydowanie zbyt proste. Trudno się jednak dziwić, jeśli firmy przeznaczają – powiedzmy – 90 proc. nakładów na rozwój nowych możliwości modeli, a tylko 10 proc. na ich bezpieczeństwo. Przesunięcie środków dałoby na pewno wyraźną poprawę. Dopóki nie rozwiążemy problemu zgodności, bardzo zdeterminowana osoba lub grupa ludzi w końcu znajdzie lukę w każdym modelu. Dlatego celem zabezpieczeń nie jest stuprocentowa szczelność, tylko sprawienie, by ich złamanie było zbyt trudne i kosztowne, żeby się opłacało.

Drugi człon nazwy pańskiego zakładu w NASK to „przejrzystość". Czego nie wiemy o modelach AI?

Przede wszystkim – na czym były trenowane. O tych zamkniętych, takich jak ChatGPT, wiemy bardzo niewiele. Otwarte, jak niektóre modele Mistrala czy GLM, udostępniają przynajmniej wagi (liczby, w których zapisane jest to, czego model nauczył się podczas treningu na ogromnych zbiorach danych – przyp. red.). Każdy może je pobrać, ale danych treningowych nadal nie znamy. Są wreszcie takie, które ujawniają wszystko, jak szwajcarski Apertus. Wtedy sytuacja jest przejrzysta.

Dlaczego to takie ważne?

Choćby ze względu na prawa autorskie. Wydawca „New York Timesa" wykazał, że model OpenAI potrafi odtworzyć wybrane artykuły niemal słowo w słowo, i pozwał tę firmę. Gdy nie znamy danych treningowych, autorzy nie mogą nawet sprawdzić, czy ich teksty zostały wykorzystane.

Co jeszcze bada pański zespół?

Proces wnioskowania – to, jak modele dzielą zadanie na mniejsze kroki, czyli tzw. łańcuch myśli (*Chain of Thought*). Czatując z nimi, nieraz widzimy tekst, który ma ten proces odzwierciedlać, choć nazywanie tego myślami to myląca antropomorfizacja. Pokazaliśmy, że w wielu sytuacjach tekst generowany w ramach łańcucha myśli nie pokrywa się z ostatecznym działaniem modelu. Innymi słowy: to, co model „pisze" po drodze, nie zawsze wyjaśnia, dlaczego udzielił takiej, a nie innej odpowiedzi.

Chyba też nie wiemy, jak w trakcie treningu algorytmy AI wynajdują wzorce, np. w danych tekstowych, na podstawie których generują później odpowiedzi na zadawane pytania.

Pod tym względem są to „czarne skrzynki", choć dowiadujemy się o nich coraz więcej. Na przykład, że w sporej mierze opierają się na zapamiętywaniu. Potrafią zacytować długie fragmenty książki o Harrym Potterze, a generując wizerunki znanych osób, odtwarzają dokładnie te ubrania, które miały one na zdjęciach wrzuconych do zbioru treningowego. U człowieka uczenie opiera się bardziej na uogólnianiu, a mniej na encyklopedycznej wiedzy. Dlatego badacze szukają alternatywnych rozwiązań, tworząc algorytmy lepiej przypominające pod względem działania ludzki mózg, efektywniejsze obliczeniowo i łatwiejsze do interpretacji, czyli bardziej przejrzyste dla badaczy.

A co pan sądzi o gorącej dyskusji, czy duże modele językowe (LLM) – takie jak GPT, Gemini, Grok albo Claude – to tylko „kalkulatory językowe"? Świetnie generujące tekst,

eprasa.pl fe2da71bd4

ale nierozumiejące go w ludzkim znaczeniu tego słowa. A może jednak, jak twierdzą inni, w tych systemach już pojawiły się iskierki prawdziwej ogólnej inteligencji, a nawet świadomości?

Nie widzę przekonujących dowodów na to, by LLM miały świadomość – choć trudno to rozstrzygnąć, skoro nie potrafimy nawet dobrze jej zdefiniować. Stwierdzenie, że modele językowe tylko statystycznie przewidują następny token, czyli – w uproszczeniu – kolejne słowo tekstu, jest technicznie trafne i nie traktuję tego jako zarzutu. Jestem pod ogromnym wrażeniem, jak potężne możliwości na tym zbudowano. Zarazem LLM nie potrafią w trwały i bezwzględny sposób stosować się do reguł, których od nich oczekujemy. I to jest właśnie problem zgodności. Człowieka, który rozumie zakaz, nie skłonimy do jego złamania literówką czy anagramem, a model często tak.

Niezależnie od tego, co kryje się w tych „czarnych skrzynkach", są one bardzo pomocne, np. w medycynie.

Oczywiście. Występują tu jednak różne problemy, a główną barierą w rozwoju medycznej AI jest brak spójnego, bezpiecznego systemu gromadzenia pełnej historii zdrowotnej pacjenta. Wyniki badań są rozproszone po różnych placówkach, a modele potrzebują uporządkowanych danych najwyższej jakości. Ponadto wdrożenie kliniczne konkretnych narzędzi to żmudny, wieloletni proces. Tego wymaga przecież bezpieczeństwo pacjentów.

Pojawiają się też wątpliwości, czy takie systemy nie powodują tzw. deskillingu lekarzy, czyli utraty umiejętności, gdy będą oni zbytnio polegać na podpowiedziach AI. Są już nawet pierwsze badania potwierdzające występowanie takiego zjawiska.

To realne zagrożenie w niemal każdej dziedzinie. Dlatego trzeba zastanowić się nad reformą edukacji, która wciąż stawia na pamięciowe przyswajanie faktów, a powinna rozwijać krytyczne myślenie, także umiejętność oceny, czy AI się nie myli. Badania pokazują też ciekawą zależność: pojedynczy pracownik wspomagany przez AI bywa bardziej twórczy, ale gdy ocenia się pracę zespołu, kreatywność spada, bo rozwiązania stają się do siebie łudząco podobne. Cały czas trzeba rozwijać umiejętności korzystania z tych narzędzi.

Zasiada pan w panelu naukowym przy unijnym Biurze ds. Sztucznej Inteligencji. Europa stara się regulować technologię AI, ale USA i Chiny podchodzą do niej znacznie liberalniej. Nie przegramy przez to wyścigu technologicznego?

Regulacja tej branży to nie to samo co testy zderzeniowe samochodów, dla których przez dekady wypracowano stabilne procedury. Nie do końca wiadomo też, jak standaryzować badanie algorytmów, a wachlarz zastosowań jest ogromny. Dlatego zastanawiamy się, jak podnieść bezpieczeństwo, nie dusząc myśli technologicznej. Regulacje mogą stać się tak restrykcyjne, że AI będzie maksymalnie bezpieczna, ale to zabije rozwój. Trzeba znaleźć złoty środek.

Nie uważam jednak, żeby europejski AI Act dusił firmy – wiele jego przepisów jest dopiero doprecyzowywanych. Dystans Europy do liderów nie wynika z prawa, tylko z różnicy w skali inwestycji. USA mają kapitał Doliny Krzemowej, Chiny – centralne sterowanie gospodarką. A mimo to w Europie pojawiają się świetne rozwiązania mogące konkurować w najwyższej lidze, czego dowodem jest ostatnia wersja francuskiego Mistrala. W Polsce rozwijamy też własne modele, jak PLLuM czy Bielik. Nie muszą wygrywać z największymi, ale budują naszą niezależność.

A co praktycznie doradziłby pan użytkownikom chatbotów AI?

Przede wszystkim nie traktować ich jak wyroczni, tylko jako pomoc i punkt wyjścia do dalszej weryfikacji. Przy pracy twórczej warto napisać własny, choćby roboczy szkic, a dopiero potem dać go modelowi. Gdy pozwolimy AI wygenerować tekst od zera, jej propozycja tak mocno narzuca ramy, że trudno wrócić do własnych oryginalnych koncepcji. Nie należy też wpisywać do czatu poufnych danych osobowych, finansowych ani tajemnic zawodowych. A w sprawach zdrowia model może posłużyć do wstępnego rozeznania, ale diagnozę musi postawić lekarz. I zdecydowanie odradzam traktowanie LLM jak substytutu psychoterapii oraz wchodzenie z nimi w zażyłe relacje emocjonalne.

Na koniec osobiste pytanie: co sprawiło, że został pan naukowcem, a nie np. pracownikiem jednej z firm budujących modele AI w Dolinie Krzemowej?

Jestem jedną z pierwszych osób w rodzinie, które skończyły studia. Moja mama nie miała takiej możliwości, dlatego robiła wszystko, żeby jej dzieci ją otrzymały. Bardzo dużo jej zawdzięczam. Również moja ścieżka zawodowa okazała się nietypowa: przez lata pracowałem w przemyśle, m.in. w Amazonie, i dopiero później wróciłem do nauki akademickiej. Dlatego dziś tak ważne jest dla mnie budowanie zespołu i wspieranie młodych naukowców. Wiem, jak wiele zależy od tego, czy ktoś na początku drogi da ci szansę i w ciebie uwierzy.

ROZMAWIAŁ MARCIN ROTKIEWICZ

Partner Główny
Nagród Naukowych POLITYKI 2026
KOPIPOL
Partnerzy Nagród Naukowych POLITYKI 2026
Dr Irena Eris
CONSULTRONIX
za KS sprzyjamy wyobraźni
Patron honorowy
Marcin Kulasek
Minister Nauki i Szkolnictwa Wyższego
Patroni medialni
tokfm
FORUM AKADEMICKIE

eprasa.pl fe2da71bd4

Koncesjonowana niepodległość

Czy 11 listopada 1918 r. byłby możliwy bez 5 listopada 1916 r.? Czy zdobylibyśmy niepodległość, gdyby nie ogłoszone 110 lat temu przywrócenie Królestwa Polskiego?

PIOTR SZLANTA



Zgromadzenie na dziedzińcu Zamku Królewskiego w Warszawie po odczytaniu Aktu 5 listopada

eprasa.pl fe2da71bd4

Latem 1915 r. po wielkim odwrocie armii rosyjskiej ziemie polskie znalazły się pod okupacją Niemiec i Austro-Węgier. Rosjanie zostawiali za sobą zgliszcza, Niemcy i Austriacy wywozili surowce i pozyskiwali siłę roboczą. Nowi okupanci starali się jednak zdobyć choć trochę sympatii ludności. Łagodzili więc brak żywności i opału poprzez koncesje w dziedzinie życia narodowego. To nic nie kosztowało.

Już w listopadzie 1915 r. po raz pierwszy w historii Królestwa Polskiego zezwolono na obchody rocznicy nocy listopadowej, a później – rocznicy wybuchu powstania styczniowego. W maju 1916 r. zezwolono na obchody rocznicy Konstytucji 3 maja. W Warszawie dziesiątki tysięcy ludzi wzięły udział w pochodzie narodowym. Szybko spolonizowano szkolnictwo podstawowe i średnie, a trzy miesiące po zajęciu Warszawy z udziałem władz okupacyjnych uroczyście otwarto nowy rok akademicki na spolonizowanym Uniwersytecie Warszawskim. Austriacy na przełomie 1916 i 1917 r. powołali w Puławach Instytut Naukowy Gospodarstwa Wiejskiego. Zgodzili się także na początku 1918 r. na rozpoczęcie działań, które doprowadziły do powołania w Lublinie Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego.

Nowa gra

Kiedy dotychczasowe sukcesy wojsk państw centralnych nie doprowadziły do przełomu, w 1916 r. Niemcy i Austriacy musieli znaleźć nową strategię prowadzenia wojny. Cesarz Wilhelm II awansował dwóch – jak ich określano – „straszliwych dioskurów". Stanowisko szefa sztabu armii niemieckiej powierzył zwycięzcy spod Tannenbergu, Paulowi Hindenburgowi. Jego zastępcą mianował Ericha Ludendorffa, który stał się głównym menedżerem wojny odpowiadającym za to, aby armia miała czym walczyć i co jeść.

Tych dwóch szukało sukcesu w wojnie na wschodzie. Niemcy mieli dylemat – w Rzeszy ścierały się dwie strategie wobec Rosji. Zdaniem części polityków niemieckich możliwe było zawarcie z nią separatystycznego pokoju. Należało ich zdaniem przekonać władze w Piotrogrodzie (jak od września 1914 r. nazywał się Petersburg), że walczą one w interesie Londynu, podczas gdy z Berlinem łączą je konserwatywny ustrój polityczny i tradycja współpracy Romanowów z Hohenzollernami. Caryca była Niemką i siostrą żony księcia Henryka, brata cesarza Wilhelma II. Bolesne klęski Rosjan pod Tannenbergiem latem 1914 r. i w przełomowej dla losów wojny na wschodzie bitwie pod Gorlicami w maju 1915 r. miały przekonać ich do zawarcia pokoju.

Cóż bowiem Rosjanie mieliby wygrać w wojnie z Rzeszą? W swoim memorandum z 1914 r. nawet minister spraw wewnętrznych Piotr Durnowo stwierdził, że Rosja może zyskać na tej wojnie wyłącznie jeszcze więcej Polaków i Żydów w swoich granicach. „Czy nie mamy ich już wystarczająco dużo?" – pytał retorycznie.

Druga koncepcja, która ostatecznie wygrała latem 1916 r., zakładała odepchnięcie Rosji od Europy i stworzenie od Finlandii po Gruzję pasa państw narodowych wasalnych względem Rzeszy, związanych z nią umowami wojskowymi i gospodarczymi. Pod egidą Niemiec miała powstać wspólnota gospodarcza zwana *Mitteleuropa*, zapewniająca Rzeszy surowce, żywność i rynki zbytu, uniezależniając ją od handlu zamorskiego. Wobec takiej decyzji strategicznej naturalne było sięgnięcie po kartę polską.

Decyzja o proklamowaniu Królestwa Polskiego została podjęta podczas niemiecko-austro-węgierskiej konferencji w Pszczynie.



Plakat z 1916 r. z wizerunkami cesarza Wilhelma II i Franciszka Józefa I

Co na to Polacy

Akt Dwóch Cesarzy został ogłoszony publicznie w niedzielę 5 listopada. Wilhelm II i Franciszek Józef I anonsowali w nim odrodzenie niepodległej Polski jako monarchii konstytucyjnej na ziemiach odebranych Rosji (monarcha miał być wybrany później). Także na późniejszy czas zastrzeżono określenie granic Polski. Ogłoszono to uroczyście m.in. na Zamku Królewskim w Warszawie i w siedzibie generał-gubernatora lubelskiego. W Lublinie na uroczystość zaproszono przedstawicieli polskiego społeczeństwa. Gubernator gen. Karl Kuk odczytał proklamację, po czym krzyknął po polsku „Niech żyje Polska", a z balkonu jego siedziby wywieszono polską flagę. W tej samej chwili orkiestra 58. Pułku Piechoty ze Stanisławowa zagrała Mazurka Dąbrowskiego.

Jak wspominał ten moment polski urzędnik władz okupacyjnych Władysław Kumaniecki: „Austrjackie orkiestry wojskowe były, jak wiadomo, dobre. Otóż tajemnicę chowano pod urzędowym korcem tak dokładnie do ostatniej chwili, że orkiestra nie miała czasu się nauczyć porządnie naszego Hymnu Narodowego i zagrała go niemiłosiernie fałszywie". Potem sformowano pochód i wspólnie udano się na mszę dziękczynną do katedry.

Podobna uroczystość odbyła się w Warszawie. Jak zanotowała w swym dzienniku zubożała szlachcianka Janina Gajewska, mieszkańcy zachowywali się spokojnie i dalecy byli od entuzjazmu. Na ulicach ruch był duży, ale nie nadzwyczajny. Z niektórych okien wywieszono flagi biało-czerwone. Z chorągiewkami w barwach narodowych kursowały także tramwaje. Niewielkie grupy młodzieży organizowały pochody, na które Warszawiacy patrzyli z uśmiechem i politowaniem. Czytający treść aktu z plakatów rozlepionych na mieście komentowali zgryźliwie, że niepodległa Polska będzie miała granice w Piasecznie, a może nawet w Górze Kalwarii. Jak oceniała Gajewska: „Wszystko miało smak kwarty wody, do której ktoś wpuścił pół łyżeczki cukru".

Specjalną oprawę Aktowi Dwóch Cesarzy nadano w duchowej stolicy Polski, na Jasnej Górze. O godz. 11.00 z wieży kościoła wywieszono austriacką flagę państwową. W samo południe dołączyła do niej polska flaga, trębacz zaś po hymnie austriackim odegrał trzy razy Mazurka Dąbrowskiego. Wywołało to półgodzinną erupcję radości zebranych wiernych. Równocześnie rozlepiano na murach plakaty z proklamacją cesarską. Osobno dowódca enklawy mjr Joseph Klettlinger zwołał mnichów, którym odczytano decyzję obu cesarzy. W samej Częstochowie także zapanowała atmosfera radości. Domy zostały oflagowane, a sklepy i restauracje zamknięte. Spontanicznie uformował się pochód, którego uczestnicy śpiewali pieśni narodowe. ▶

© JAGIELLOŃSKA BIBLIOTEKA CYFROWA, MUZEUM NARODOWE W SZCZECINIE

eprasa.pl fe2da71bd4

▶Następnego dnia na błoniach jasnogórskich zebrała się ludność miasta z licznym udziałem młodzieży szkolnej i różnych stowarzyszeń, orkiestrą i pocztami sztandarowymi. Zdaniem Klettlingera proklamacja zrobiła na Polakach duże wrażenie. Jednak jeśli inteligencja powitała decyzję dwóch cesarzy z radością, klasa średnia była w tej kwestii podzielona, chłopi i drobnomieszczanie obojętni, Żydzi zaś wrodzy, gdyż niepokoiła ich wizja polskich rządów. Większość ludności obawiała się, że po ogłoszeniu aktu nastąpi pobór do wojska i skierowanie na front. Chłopi publicznie deklarowali, że raczej będą dezerterowali, niż walczyli z Rosjanami, którzy ich dobrze traktowali.

Ogłoszenie Aktu 5 listopada największy efekt wywołało w Galicji. Na ulicach miast zaobserwowano nieobecne już od kilku lat oznaki entuzjazmu. W Krakowie 8 listopada uroczyście udekorowano miasto. Na Wawelu (a także w kościołach i synagogach) odprawiono nabożeństwa dziękczynne. Uderzono w Dzwon Zygmunta.

Specjalnie uhonorowano przebywającego wówczas w mieście Józefa Piłsudskiego. Oficerowie legionów zaprzęgli się (zamiast koni) do pojazdu, którym jechał Komendant, a potem wśród wiwatów wnieśli go na rękach na Wawel. Na uroczystych sesjach zebrały się Rada Miejska, Senat Uniwersytetu Jagiellońskiego i Koło Polskie z parlamentu austriackiego. Uchwaliły one adresy dziękczynne do monarchy. W Tarnowie ulicę Krakowską przemianowano na Niepodległości. Jak zanotował w dzienniku konserwatywny działacz polityczny i członek Naczelnego Komitetu Narodowego Władysław Leopold Jaworski: „Ogłoszenie państwa polskiego. Triumf i szczęście. Choć ten jeden dzień przeżyć spokojnie, pogodnie, z dala od trujących trupów! Mam nadzieję, że nie żyłem darmo, że coś zrobiłem dla ojczyzny". Podobne wydarzenia miały miejsce w innych miastach Galicji.

Co na to Rosjanie

Inaczej odbierano tę deklarację po drugiej stronie frontu. Tak daleko idące zmiany na mapie politycznej jak tworzenie nowych państw ich zdaniem powinny być dokonane przy stole negocjacji pokojowych, a nie przez jedną ze stron walczących, i to jeszcze w trakcie działań wojennych. Pierwszą reakcją państw ententy były więc sprzeciw i oburzenie. Zarówno Rosja, jak i państwa zachodnie uznały Akt 5 listopada za sprzeczny z prawem międzynarodowym i niepociągający za sobą skutków prawnych. W ich ocenie był to propagandowy wybieg mający na celu pozyskanie rekrutów z ziem polskich oraz wykorzystanie ich potencjału gospodarczego.

Jak ocenił polski poseł do Dumy Ignacy Szebeko: „Austro-Niemcy ogłaszają niezawisłość Królestwa Polskiego, licząc na zaćmienie polskich umysłów mirażem upragnionej wolności i na usprawiedliwienie tą »niezawisłością« szatańskiego zamiaru przymusowego wykorzystania żywej siły Polski w swych przerzedzonych szeregach [...]. Niezawisłość fałszywa, jak flaga zatknięta dla przewozu kontrabandowego za cenę wciągnięcia narodu-męczennika w rzeź bratobójczą". Z kolei nauczyciel z Wileńszczyzny, Stanisław Cywiński, oceniał: „Rzecz szyta już nie białemi, ale jaskrawemi nićmi i nikt się chyba na to nie złapie".

Z kolei władze austriackie obawiały się, że powstanie Królestwa Polskiego może doprowadzić do narodzin tendencji separatystycznych w Galicji. Aby im przeciwdziałać, Franciszek Józef I zapowiedział równocześnie wyodrębnienie Galicji, czyli powiększenie jej autonomii. Reformę miał przeprowadzić cieszący się powszechnym szacunkiem polityk, były namiestnik Galicji Michał Bobrzyński. Postępująca dezintegracja monarchii sprawiła, że ten projekt okazał się nierealny.

Gra Piłsudskiego

Akt 5 listopada stanowił dla Hindenburga i Ludendorffa jeden z elementów przejścia do wojny totalnej. Do wygrania wojny niezbędna była mobilizacja wszystkich możliwych zasobów, w tym ludności. W okupowanym Królestwie Polskim, jak szacowano, przebywało około miliona mężczyzn w wieku poborowym. Niemcy miały dobrą opinię na temat Legionów Polskich, które biły się z Rosjanami podczas ofensywy Brusiłowa. Nie ma na to twardych dowodów, ale podnosiły się głosy, że gdyby nie dobra postawa polskich żołnierzy na Wołyniu w 1916 r., nie doszłoby do Aktu 5 listopada.

Jednak ogłoszone kilka dni po nim wezwanie do tworzenia polskiej armii ochotniczej spotkało się z nikłym, żeby nie powiedzieć żadnym, odzewem. Dobitnie uświadomiło to polskiej opinii publicznej, jaki był rzeczywisty powód decyzji obu kajzerów. Oczywiście Piłsudski grał we własną grę i nie dał się przekonać do tworzenia w tych warunkach masowej armii polskiej.

Także większość społeczeństwa pozostała bierna wobec aktu. Poza nieufnością do okupantów wynikało to z powszechnego zmęczenia wojną i pogłębiającej się biedy. Jak mówiono w Królestwie Polskim: „Za cesarza Mikołaja było mleko i jaja, za cesarza Franciszka nie ma co włożyć do pyska". W swej masie Polacy pochłonięci byli głównie walką o przetrwanie i troską o bliskich walczących w armiach państw zaborczych. W jednej z podwarszawskich wsi któryś z chłopów zebranych przez władze w celu ogłoszenia im aktu zakrzyknął: „Cysarz Mikołaj II niech żyje!". Z kolei polski kapelan c.k. armii ks. Dominik Ściskała usłyszał od chłopa spod Dęblina: „Ani Niemic, ani Austriak nie nas ociec".

Ranga międzynarodowa

Akt 5 listopada stanowił element eskalacji wojny, jej radykalizacji w obliczu wyczerpujących się zasobów państw centralnych. Była to próba ucieczki do przodu. Podobnie jak podjęta przez Niemcy trzy miesiące później decyzja o rozpoczęciu nieograniczonej wojny podwodnej, co wiązało się z ryzykiem przystąpienia do działań militarnych USA.

Akt Dwóch Cesarzy polska opinia publiczna przyjęła z dystansem, nie dowierzając państwom zaborczym, dopatrując się w nim chęci wykorzystania Polaków i wprzężenia ich w wysiłek zbrojny. Ogłoszenie go nie zmieniło położenia ludności na terenach okupowanych. Aż do października 1918 r. to okupanci sprawowali realną władzę na ziemiach polskich i kontrolowali polskie instytucje, jak Tymczasową Radę Stanu czy Radę Regencyjną.

Niezależnie jednak od intencji dwóch cesarzy Akt stanowił ważny krok na drodze do niepodległości, gdyż doprowadził do nieodwracalnego umiędzynarodowienia sprawy polskiej. Roman Dmowski oceniał po latach, że po Akcie 5 listopada zaczęto na Polaków patrzeć w Paryżu i Londynie jak na przedstawicieli realnej siły w Europie Środkowo-Wschodniej. Ułatwiło mu to zainteresowanie zachodnich aliantów przyszłością Polski, a po rewolucji rosyjskiej założenie w Paryżu Komitetu Narodowego Polskiego oraz sformowanie Armii Polskiej we Francji. Wbrew intencjom inicjatorów przyjęcia aktu przyczynił się on po dwóch latach do odbudowy w pełni niepodległej Rzeczpospolitej.

PIOTR SZLANTA

eprasa.pl fe2da71bd4



Dąbrowszczacy na froncie pod Jaramą, luty 1937 r.

Lewica na froncie

O Polakach, którzy bili się o demokrację w Hiszpanii, opowiada Jeremi Galdamez Muñoz, autor wydanej właśnie książki „Mieliśmy w sobie płomień”.

DOMINIK CZAPIGO: **– Zacznijmy od wyjaśnienia, że książka „Mieliśmy w sobie płomień. Polscy ochotnicy w hiszpańskiej wojnie domowej” nie jest przekładem z hiszpańskiego, a pan od urodzenia jest Warszawiakiem. Często musi pan odpowiadać na pytanie o pochodzenie swojego nazwiska?**

JEREMI GALDAMEZ MUÑOZ: – Tak, ale moje hiszpańsko brzmiące nazwisko jest chilijskie, a historia rodzinna nie wiąże się z polskimi ochotnikami w Hiszpanii.

Dlaczego w 2015 r. z Maciejem Sanigórskim zaangażowaliście się w zachowanie nazwy ulicy Dąbrowszczaków na warszawskiej Pradze?

W tym czasie polityka historyczna prawicy była w ofensywie, czego wyrazem był m.in. widoczny na ulicach kult żołnierzy wyklętych. Jednocześnie szeroko pojmowana lewica odpuściła wtedy walkę o historię – nie przywoływała swoich bohaterów, w tym również tych spod znaku PPS. Pomysł usunięcia dąbrowszczaków jako patronów ulicy, nie tylko w Warszawie, był częścią całego tego procesu, a wspierał go IPN, udostępniając na swojej stronie listę patronów, których należy skreślić z przestrzeni publicznej. Przeczytaliśmy z Maćkiem w „Gazecie Stołecznej”, że Zespół Nazewnictwa Miejskiego, czyli ciało doradcze złożone z ekspertów, odpowiadając na inicjatywę warszawskich radnych, dał zielone światło, by zmienić nazwę ulicy Dąbrowszczaków. Postanowiliśmy przejść od gadania do działania – zainicjowaliśmy na Facebooku akcję „Ręce precz od dąbrowszczaków”, która dwa lata później zaowocowała powołaniem Stowarzyszenia Ochotnicy Wolności.

Dlaczego akurat dąbrowszczacy?

Bo jako pierwsi zostali wskazani do dekomunizacji. Do tego momentu nasza wiedza na ich temat ograniczała się do minimum – wiedzieliśmy, że byli częścią historii europejskiego antyfaszyzmu, że w 2007 r. próbowano resztce żyjących odebrać uprawnienia kombatanckie, co udało się powstrzymać dzięki „Apelowi Antygony”, który zainicjowała Barbara Toruńczyk. Byliśmy wtedy z Maćkiem uczniami gimnazjum.

A to, że pański ojciec trafił do Polski w 1977 r. jako uchodźca polityczny z Chile, nie wpłynęło na to, że zajął się pan pamięcią o polskich ochotnikach w Hiszpanii?

Pośrednio tak, bo wyrastałem w duchu lewicowym. Interesowała mnie historia chilijskiej lewicy, byłem też wyczulony na to, co mówi się o dawnych komunistach. Mój ojciec w początkowym okresie dyktatury Pinocheta był działaczem podziemnej opozycji, w 1975 r. musiał uciekać z kraju przed represjami. Są punkty wspólne, które łączą Hiszpanię ogarniętą wojną domową w drugiej połowie lat 30. oraz Chile lat 70.

Miał pan szansę porozmawiać z dąbrowszczakami?

Nie, czego bardzo żałuję. Spóźniłem się kilka lat, ostatni dąbrowszczak zmarł w 2010 r. Gdybym urodził się wcześniej i zainteresował tematem, miałbym jeszcze szansę na takie spotkania.

O co by pan wtedy zapytał?

O ich codzienność w Hiszpanii, politykę wewnętrzną w Brygadzie im. Jarosława Dąbrowskiego oraz innych oddziałach, w których służyli. Wszystkie te pytania ▶

© STOWARZYSZENIE OCHOTNICY WOLNOŚCI

eprasa.pl fe2da71bd4

▶ można by sprowadzić do jednego: Jak było naprawdę? W PRL historia dąbrowszczaków została sprowadzona do kilku ogólników, a historie, które sami spisywali – głównie w latach 50. i 60. – były „na jedno kopyto", czyli romantycznej opowieści żołnierskiej z pominięciem skomplikowanych i drażliwych spraw politycznych.

Kim w ogóle byli dąbrowszczacy?

Polskimi ochotnikami, którzy po wybuchu wojny domowej w Hiszpanii, rozpoczętej buntem nacjonalistycznych wojskowych przeciw demokratycznym rządom Frontu Ludowego, postanowili wyruszyć za Pireneje, by stanąć w obronie republikańskiej władzy. Bazę tej grupy stanowili robotnicy. Gdybyśmy mieli określić profil przeciętnego dąbrowszczaka – był nim polski górnik, emigrant zarobkowy we Francji. Najczęściej był legalnym pracownikiem z Polski, od lat mieszkającym nad Sekwaną, ale nie naturalizowanym, więc formalnie wciąż polskim obywatelem.

Komunista?

Tak, ale głównie francuskiego ruchu komunistycznego, najczęściej związkowiec z CGT (*Confédération générale du travail*), czyli Powszechnej Konfederacji Pracy. Trzeba jednak pamiętać, że w latach 30. bycie komunistą we Francji oznaczało coś innego niż w Polsce. Tam był to ruch masowy w ramach legalnie działającej partii, podczas gdy w Polsce partia była nielegalna, a ruch miał charakter kadrowy.

A jakiej byli narodowości?

Używając kategorii etnicznych – przede wszystkim Polakami oraz przedstawicielami mniejszości żyjących wtedy na terenie II RP: Żydami, Ukraińcami, Białorusinami. Łączyło ich to, że byli obywatelami polskimi. Polaka z paszportem amerykańskim, który przypłynął walczyć do Hiszpanii, administracja Brygad Międzynarodowych walczących u boku armii republikańskiej liczyła już jako ochotnika amerykańskiego. Szacunki mówią, że do Hiszpanii przybyło wtedy 35 tys. ochotników różnych narodowości z całego świata, którzy dołączyli do Brygad.

Ciekawi mnie motywacja robotników do tego, by przedzierać się do Hiszpanii przez zieloną granicę – w przypadku tych jadących z Polski przez kilka granic – by na miejscu narażać życie.

Ruch antyfaszystowski był wtedy związany z lewicą, a ta reprezentowała interesy robotników. Warto przypomnieć to dzisiaj, gdy lewica nie kojarzy się już z robotnikami.



Dąbrowszczacy na froncie centralnym, wśród nich Janusz Rubik i Kacper Pogorzelec, luty 1937 r. Poniżej: **wydana w Warszawie w 1956 r. okolicznościowa jednodniówka.**



DĄBROWSZCZAK

ORGAN POLSKICH OCHOTNIKÓW REPUBLIKAŃSKIEJ ARMII HISZPAŃSKIEJ

„Nie zbraknie z nas ani jednego..."

Raczej z posiadającymi wyższe wykształcenie przedstawicielami wielkomiejskiej klasy średniej.

Podczas gdy robotnicy głosują raczej na prawicę. Przed drugą wojną światową było inaczej – dla świadomych politycznie robotników faszyzm nie był jedynie ideologią oznaczającą ksenofobię, rasizm, autorytaryzm, lecz zjawiskiem klasowym. Widać to w listach, które do rodzin i znajomych wysyłali z Hiszpanii polscy ochotnicy. Pisali w nich jednym tchem, że stając do walki z puczystami gen. Franco, biją się tym samym z właścicielami fabryk, którzy ich dotychczas wykorzystywali, z policjantami, którzy pałowali ich w trakcie strajków, a stawką była ich godność i lepsza przyszłość. Dzisiaj może być dla nas niezrozumiałe, co wspólnego miał francuski właściciel fabryki czy polski policjant z hiszpańskimi nacjonalistami.

Nie bał się pan, że niektórzy porzucą lekturę książki z powodu jej języka – antyfaszyści, robotnicy, klasy?

Niektórym te określenia mogą wydawać się anachroniczne, bo pochodzące ze słownika minionej epoki. Ale przecież klasy społeczne istnieją, nie zniknęli też robotnicy, a co roku 1 sierpnia upamiętniamy w całej już Polsce antyfaszystowski zryw, jakim było powstanie warszawskie. Myślę, że skreślanie niektórych słów ze współczesnego języka jest elementem szerszego zjawiska, w ramach którego wymazuje się także historię polskiej lewicy i ruchu robotniczego. Niektórzy autorzy próbują uwspółcześnić język opisu ówczesnej rzeczywistości i tak na przykład „działacz ruchu robotniczego" staje się „aktywistą". Idąc tym kluczem, można by dąbrowszczaków przedstawić jako romantycznych awanturników. Ale wtedy zniknie nam sens całej tej historii, czyli świadomi i zaangażowani politycznie robotnicy, którzy jechali do Hiszpanii, by walczyć z faszyzmem odnoszącym w Europie coraz większe sukcesy.

Czy pracując nad książką, odkrył pan jakieś nowe ważne źródła?

Należą do nich archiwa prywatne, które dotychczas nie ujrzały światła dziennego, m.in. Emanuela Minka. Był jednym z pierwszych ochotników polskich w Hisz-

eprasa.pl fe2da71bd4

panii, ale też ostatnim dowódcą Kompanii im. Naftalego Botwina oraz jednym z ostatnich, którzy opuścili Hiszpanię w 1939 r. Oraz dwóch innych dąbrowszczaków: Gabriela Erslera i Aleksandra Szurka. Wszyscy trzej od lat 70. do początku lat 90. spotykali się z dawnymi polskimi ochotnikami i nagrywali ich relacje.

Bliska mi jako dokumentaliście historia mówiona.

Byli przekonani, że trzeba te historie utrwalać, bo odchodzą wraz z uczestnikami wojny domowej. Nagrywali głównie komunistów, w tym czasie już zdystansowanych wobec tej ideologii, którzy po wojnie zostali we Francji, przyjechali do niej w latach 50. lub już po Marcu 1968 r. Kilka nagrań powstało w latach 90. w Polsce. Łącznie zostawili blisko sto kaset magnetofonowych. Co istotne, w tym czasie nagrywane osoby były już w stanie spojrzeć na własną przeszłość z dystansem i nie cenzurowały wspomnień, bo po drugiej stronie siedzieli ci, którzy też walczyli w Hiszpanii. Opowiadali o szczegółach oraz wielu sprawach w innych źródłach niewyjaśnionych. Ten materiał jest bezcenny, bez niego moja książka byłaby o wiele uboższa.

Napisał pan, że jeszcze w Hiszpanii pojawiła się wśród dąbrowszczaków potrzeba dokumentowania własnej historii, powołano komisję historyczną, która gromadziła ich relacje na miejscu.

Członkowie tej komisji na gorąco, najczęściej odwiedzając rannych w szpitalach, zapisywali ich relacje. I to właśnie one, oprócz wspomnianych nagrań, były drugim filarem pozwalającym mi przybliżyć się do zrozumienia historii dąbrowszczaków w Hiszpanii.

Trafiał pan też na źródła, które pokazują daleko idącą naiwność i bezgraniczną wiarę części dąbrowszczaków – na przykład w decyzje podejmowane przez partię.

Nie uciekam od tematów trudnych, tylko je opisuję. One są ważne, ale nie dyskredytują całego ruchu. Pokazuję też, że trzeba oddzielić historię dąbrowszczaków w okresie wojny domowej od tego, co dotyczyło wybranej grupy już w PRL.

Co ma pan na myśli?

Po 1945 r. część dąbrowszczaków zasiliła szeroko rozumiany aparat bezpieczeństwa – od milicji, poprzez więziennictwo i wywiad wojskowy, aż po funkcjonariuszy Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Ale też trzeba odróżnić funkcje, które te osoby pełniły – bo ma znaczenie, czy ktoś był milicjantem łapiącym złodziei, klawiszem w więzieniu czy przesłuchującym oficerem. W książce przywołuję za Danielem Czerwińskim, badaczem z gdańskiego oddziału IPN, odtworzoną na podstawie źródeł statystykę pokazującą, że wszystkich zatrudnionych w służbach resortowych dąbrowszczaków było 341, w tym 56 na stanowiskach kierowniczych. Opowiadanie o dąbrowszczakach przez pryzmat zatrudnienia części z nich w aparacie bezpieczeństwa po 1945 r. zdominowało narrację na ich temat już po 1989 r. Warto jednak pamiętać, że wielu z nich wróciło do fabryk i kopalń.

A ilu łącznie walczyło i zginęło w Hiszpanii?

Utworzony w 1945 r. Związek Dąbrowszczaków twierdził, że było ich tam ok. 5 tys., a poległo nawet ponad 3 tys. Nie bardzo jednak wiadomo, na jakiej podstawie ustalono te liczby. Komisja Kadr Zagranicznych Komunistycznej Partii Hiszpanii, bazując na archiwum Brygad Międzynarodowych, już w 1940 r. stworzyła własny raport dotyczący Polaków (i innych narodowości) i podała, że zginęło ich mniej niż 700. Pojawia się pytanie, skąd tak rażąca dysproporcja. W jednym z archiwów znalazłem niepublikowany tekst Seweryna Ajznera, byłego dąbrowszczaka i historyka brygady, który w latach 80. próbował ustalić, ilu z nich zginęło w Hiszpanii. Według niego ci, którzy liczyli straty po 1945 r., nie uwzględnili, że tak wielu spośród nich nie wróciło do kraju, tylko pozostało na Zachodzie – na przykład we Francji czy Belgii, gdzie mieszkali przed wyjazdem do Hiszpanii. Dla mnie w tym wszystkim interesujący był fakt, że tyle lat po zakończeniu wojny domowej wciąż pozostało wiele znaków zapytania. Stoi to w sprzeczności z potocznym wyobrażeniem o tym, że historia dąbrowszczaków była szczególnie hołubiona w PRL.

A wiadomo chociaż, ilu z nich żyło w Polsce tuż po drugiej wojnie?

Według ewidencji Związku Dąbrowszczaków sporządzonej w latach 1945–49 było to około tysiąca osób. Stowarzyszenie Ochotnicy Wolności stawia sobie za cel stworzenie internetowej bazy dąbrowszczaków, opartej wyłącznie na źródłach, z podaniem dat urodzenia, która uwzględni też, ilu było w tej liczbie komunistów, bezpartyjnych, anarchistów, członków związków zawodowych.

Czy dąbrowszczacy są upamiętniani w samej Hiszpanii?

Pamięć o nich, i szerzej o Brygadach Międzynarodowych, jest obecna, jednak głównie wśród ludzi, dla których sprawa II Republiki jest ważna, czyli raczej przedstawicieli współczesnej lewicy. Wiele jest środowisk, wybrane z nich opisuję w książce, zajmujących się tą historią i dążących do lokalnego upamiętniania poszczególnych oddziałów, czasami też pojedynczych żołnierzy. Na poziomie władz centralnych ważną decyzją było przyjęcie w 2022 r. ustawy, która pozwala dzieciom i wnukom ochotników Brygad Międzynarodowych ubiegać się o hiszpańskie obywatelstwo. W tym roku takie paszporty otrzymało pięciu potomków dąbrowszczaków.

ROZMAWIAŁ DOMINIK CZAPIGO

Autor rozmowy jest dokumentalistą, współpracownikiem Archiwum Historii Mówionej Fundacji Ośrodka KARTA i Domu Spotkań z Historią.



Jeremi Galdamez Muñoz
(ur. 1991 r.) – syn chilijskiego dziennikarza, uchodźcy politycznego, który trafił do Polski w latach 70. Absolwent Instytutu Stosowanych Nauk Społecznych Uniwersytetu Warszawskiego, researcher i autor kwerend archiwalnych, współpracownik kwartalnika „Karta", współzałożyciel Stowarzyszenia Ochotnicy Wolności. Właśnie ukazała się jego debiutancka książka reportaży historycznych „Mieliśmy w sobie płomień. Polscy ochotnicy w hiszpańskiej wojnie domowej".

© MUZEUM NIEPODLEGŁOŚCI W WARSZAWIE, FORUM, DOMINIK CZAPIGO

eprasa.pl fe2da71bd4



serial

Prawda gorsza niż kłamstwo 5/6

Wśród nocnej ciszy, reż. Jan Holoubek, 6 odc., HBO Max

Artystyczne intencje Jana Holoubka świetnie tłumaczy jego nibyoczywiste wyznanie z wywiadu rzeki „Między światłem a cieniem": „Jeśli powoduje tobą chęć zrobienia na innych wrażenia albo ubicie jakiegoś wspaniałego interesu, to moim zdaniem taki projekt skazany jest na niepowodzenie. Fałsz jest wyczuwalny na odległość". W pierwszej kolejności nowy serial twórcy „Wielkiej wody" i „Heweliusza" zwraca naszą uwagę właśnie uczciwością. Mając za temat jedną z najbardziej przerażających zbrodni okresu PRL, „Wśród nocnej ciszy" mogłoby się stać ociekającym krwią horrorem, druzgocącym kryminałem, wstrząsającym obyczajowo dramatem, którego puentą są irracjonalne, nieludzkie zachowania mieszkańców Zrębina, wioski niedaleko Połańca. Tymczasem Holoubek prowadzi narrację niczym uważny entomolog, skupia się na obserwacji ludzkiego żywiołu pełnego wzajemnych pretensji, odziedziczonych kompleksów, wielopokoleniowych traum, społecznych i rodzinnych uwikłań, tworząc



coś znacznie większego – wyjątkowe widowisko układające się, jak niemal zawsze u tego reżysera, w symboliczny, wielowymiarowy obraz polskiej wspólnoty balansującej na krawędzi katastrofy.
Zamiast uproszczeń i taniej grozy jest precyzyjna konstrukcja pozwalająca przeżywać i odkrywać zbrodnię połaniecką z wielu perspektyw. Holoubek narzucił całości styl niemal eschatologicznej przypowieści o końcu świata. Tłem skomplikowanych relacji międzyludzkich i motywacji postaci są – jak w dobrze skrojonym moralitecie – kwestie zazdrości, zemsty, nieszczęśliwej miłości oraz pytania o moc przywiązania do tradycji, siłę solidarności grupowej, religijność, wartości. Trudno nie oglądać tego zbiorowego portretu zaczadzenia i głupoty z wypiekami na twarzy, osobliwym podziwem – i w końcu z ogromną satysfakcją. Wyważone, dojrzałe kreacje aktorskie **Łukasza Simlata** (sołtys Lech Wojda), Jędrzeja Hycnara (śledczy Henryk Maczek), Magdaleny Biegańskiej (matka ofiar Zdzisława Kaleta), Justyny Wasilewskiej (siostra Wojdy, Irena Karaś) podnoszą to wrażenie stopień wyżej.

JANUSZ WRÓBLEWSKI

Rozmowa z Janem Holoubkiem s. 78.

serial

Znachor+ 4/6

Znieczulenie, reż. Łukasz Ostalski, 8 odc., Netflix

W 2023 r. **Leszek Lichota** z sukcesem wszedł w buty Jerzego Bińczyckiego i Kazimierza Junoszy-Stępowskiego, którzy przed nim w kolejnych ekranizacjach „Znachora" Dołęgi-Mostowicza zagrali tytułowego bohatera. Sukcesem okazał się też sam film Michała Gazdy i najwyraźniej Netflix postanowił pójść za ciosem, bo „Znieczulenie" z Lichotą w głównej roli to nowoczesna wersja „Znachora". Dawid Łazarz jest gwiazdą warszawskiej neurochirurgii. Gdy



Profesor Wilczur wskrzeszony jako doktor Łazarz

eksperymentalna operacja usunięcia glejaka kończy się śmiercią młodego pacjenta, ścigany przez wyrzuty sumienia szuka schronienia w domku letniskowym nad jeziorem pod Suwałkami. Jeszcze w drodze jest świadkiem katastrofy pociągu i angażuje się w akcję ratowniczą, a potem operuje rannych w pobliskim szpitalu, gdzie szybko zyskuje szacunek personelu i pacjentów. W Warszawie zostawia żonę (Karolina Gruszka) i synka. Nie ma tu wątku amnezji, ale jest spojrzenie w siebie i autoanaliza, jest rozprawa sądowa i motyw odkupienia win. W bonusie zaś dostajemy perypetie małżeńskie, realia pracy w prowincjonalnym szpitalu, z zazdrosnym o sukcesy szefem (Mariusz Bonaszewski) czy walczącą o środki na funkcjonowanie swojego oddziału ordynatorką psychiatrii (Aleksandra Popławska). Dość konwencjonalnej akcji towarzyszą odważnie, naturalistycznie filmowane operacje (inaczej niż w niedawnym hicie Prime Video i TVP „SOR") i sama katastrofa pociągu. Brawa dla ekipy.

ANETA KYZIOŁ

© MARCIN MAKOWSKI/MAX (2), K.GRABOWSKA/NETFLIX, CANAL+, MAREK ZIMAKIEWICZ, ZAMEK KRÓLEWSKI NA WAWELU

eprasa.pl fe2da71bd4

serial

Zmiany, zmiany 5/6

The Office PL 6, twórca serii: Łukasz Sychowicz, 12 odc., Canal+

Serial, na który nikt nie czekał, właśnie wystartował z szóstym sezonem. A twórcy (sądząc po zakończeniu tej serii) i widzowie (sądząc choćby po tym, jak tłumnie przybyli na tegoroczne Dni Siedlec, by spotkać się z aktorami i zwiedzić biuro serialowej Kropliczanki) nie powiedzieli jeszcze ostatniego słowa. Polska wersja kultowego sitcomu poszła własną drogą, stała się fenomenem i nawet ma już swoją wersję zagraniczną – w Meksyku (!). Akcja nowej odsłony (scenariusz ponownie Jakub Ružyłło i Mateusz Zimnowodzki pod wodzą Łukasza Sychowicza, reż. Maciej Bochniak) toczy się wokół hasła „zmiana". W biurze pojawia się nowa postać, szczwany gracz Robert (Michał Sikorski, najbardziej znany z roli ojca Jakuba w „1670"), a wraz z nim kolejne brawurowe próby okiełznania Michała Holca (Piotr Polak) i wprowadzenia siedleckiego potentata wody butelkowanej w świat XXI-wiecznych korporacji. W centrum stoją tym razem głównie męscy bohaterowie i ich wyniesione z procesu wychowania zamknięcie na własne emocje. Darek „Żadnych zmian" Wasiak (**Adam Woronowicz**) przejdzie długą oraz, rzecz jasna, dziwną i krętą drogę, zanim będzie mógł wcielić w życie swoją ulubioną maksymę, wyzwania emocjonalne czekają także dotąd drugoplanowych Matrixa (Karol Dziuba) i Regana (Mateusz Król). A Patrycja (Vanessa Aleksander) odkrywa, że w Siedlcach spędziła już pięć lat, i powoli zmienia się w Bożenę (świetna Milena Lisiecka). AK





scena

Niech żyje bal 4/6

Sandra Szwarc, **Osiecka. Dzikość serca**, reż. Lena Frankiewicz, Teatr Rampa w Warszawie

Agnieszka Osiecka niedawno obchodziłaby 90. urodziny. Poetka, tekściarka, pisarka zmarła w 1997 r. „Osiecka. Dzikość serca" zaczyna się od fety na Festiwalu Polskiej Piosenki w Opolu. Zapowiadała się uroczyście i kiczowato, ale na scenę wtargnęła chwiejnym krokiem z wygibasami bohaterka (Magdalena Kumorek; młodą Osiecką gra **Agata Łabno**) i lekko bełkocząc, zaczęła demolować program i domagać się prawdziwej historii. Zaczyna się ta prawdziwa historia – a jakże – od piosenki „Mój pierwszy bal", a kończy – znów, a jakże – wykonaniem hymnu „Niech żyje bal", za to w porywającym stylu. Po drodze są Saska Kępa, pokój w rodzinnym mieszkaniu, do którego przez całe życie wracała, i wymagający ojciec, STS i „Okularnicy", Marek Hłasko, większe i mniejsze miłości, „Zielono mi" i „Małgośka", Daniel Passent, Agata (Magdalena Pamuła) i „Na całych jeziorach ty" jako nieoczekiwanie przejmujące wyznanie miłości porzuconej córki. Są kolejne ucieczki, z czasem w alkohol, jak powiew świeżego powietrza działają mniej znane i udane piosenki. Spektakl Sandry Szwarc i Leny Frankiewicz z muzyką na żywo i nowymi aranżacjami Mariusza Obijalskiego widzom znającym biografię Osieckiej nie przyniesie wielkich odkryć, ale przypomni o bezsensie ferowania łatwych ocen i wyroków. Nieznającym pokaże artystkę i kobietę, która szła własną drogą, czasem się zataczając. AK

galeria

Anna z wawelskiego wzgórza 4/6

Anna Jagiellonka. Wszystkie twarze królowej, Zamek Królewski na Wawelu, Kraków, do 14 lutego 2027 r.

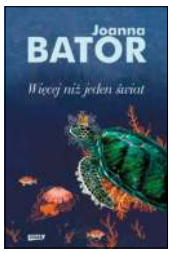
Podczas przygotowań do tej wystawy sięgnięto m.in. po portret Anny Jagiellonki wiszący nad wejściem do Kaplicy Zygmuntowskiej i niezdejmowany ze ściany od 120 lat. Powszechnie uważany za słabą XIX-wieczną kopię, w czasie prac konserwatorskich okazał się oryginalnym, pochodzącym z XVI w. dziełem nadwornego malarza królów polskich Marcina Kobera. Jednak ulokowaną w sześciu zamkowych salach ekspozycję warto odwiedzić nie tylko dla tej naukowej sensacji. To ciekawa, wielowątkowa opowieść o jednej z dwu kobiet w historii koronowanych na królowe Polski (drugą była Jadwiga Andegaweńska). O jej zaangażowaniu w życie publiczne, działalności na rzecz Kościoła oraz budowaniu jak najlepszego wizerunku i przyszłości dynastii jagiellońskiej. O relacjach z młodszym dziesięć lat mężem Stefanem Batorym (ślub wzięli, gdy Anna liczyła sobie już 52 wiosny) i obecności w polityce. Ponad 120 eksponatów, wybranych w uważnej kwerendzie ze zbiorów polskich i zagranicznych, pozwala świeżym okiem spojrzeć na królową. Otrzymujemy obraz osoby aktywnej, mającej precyzyjną wizję i plany działania, niekiedy zdeterminowanej, dobrze odnajdującej się w sieci dworskich intryg. Jest też trochę z atmosfery epoki: zbroje, biżuteria, zamkowe sprzęty. I oryginalny ekspozycyjny zabieg, by zestawić ze sobą cztery różne, acz tworzone według jednego wzoru portrety Anny Jagiellonki.

PIOTR SARZYŃSKI



Pośmiertna maska zmarłej w 1596 r. monarchini

eprasa.pl fe2da71bd4



Ryboludzie i syrena 5/6

Joanna Bator, **Więcej niż jeden świat**, Znak, Kraków 2026, s. 606



Wchodzenie w świat powieści Joanny Bator to zazwyczaj zanurzenie w kojący rytm opowieści – i tak jest tym razem. Chociaż ta powieść jest inna. „Gorzko, gorzko" była sagą rodzinną i takie relacje międzypokoleniowe już od „Piaskowej Góry" pojawiały się w jej twórczości. Nowa książka przynosi nam historie kilkorga bohaterów, których losy splatają się w tajemniczy sposób między Japonią, Wrocławiem a Wałbrzychem. Jest Anna, Ryba, Sensei, czyli Tomek Kałuża, Kuba i „Ta, która opowiada". I to nie wszystko, bo usłyszymy też historię żółwia i trzeba powiedzieć, że choć we współczesnej literaturze osoby nieludzkie często się wypowiadają, to właśnie ta opowieść zostaje w pamięci. Żółw przyjechał do Breslau jeszcze w czasie wojny i nie trafił do zupy żółwiowej, tylko żył długo i na koniec szczęśliwie z dziewczyną o przezwisku Ryba. Jej historia jest zresztą może najbardziej przejmująca – Ryba była ponadwymiarowa, wielka i narażona przez to na rozmaite niebezpieczeństwa, może jest kimś w rodzaju ryboludzia? A właściwie po prostu jest „Małą syrenką" Andersena, która cierpiała, bo chciała być człowiekiem. Mumia takiej istoty spaja wszystkie wątki. Ta powieść z realistycznej przechodzi w magiczną, choć właśnie w warstwie realnej wydaje się najlepsza – gdy mówi o niedopasowaniu, o szukaniu i odnajdywaniu relacji innych niż rodzinne, pokrewnych osób, czasem ludzko-nieludzkich wspólnot. I na tym chyba polega kojące działanie tej prozy.

JUSTYNA SOBOLEWSKA



Trup na trupie 3/6

Simon Beckett, **Ogród kości**, przeł. Robert Sudół, Wydawnictwo Czarna Owca, Warszawa 2026, s. 400

Seria powieści o Davidzie Hunterze, wybitnym antropologu sądowym, który ma wyjątkowego pecha do ładowania się w kłopoty, zawsze należała do kategorii bezpretensjonalnych thrillerów. Simon Beckett sprawnie łączył zagadkę kryminalną, trzymającą w napięciu akcję, toczącą się najczęściej gdzieś na brytyjskiej prowincji, odpowiednią dawkę makabry (jego bohater specjalizuje się w badaniu zwłok w stanie rozkładu) i odrobinę psychologicznej wiarygodności – akurat tyle, by książkowe postaci nie wydawały się wycięte z jednego szablonu. Ten schemat działa od lat, choć w „Ogrodzie kości" wydaje się już mocno zużyty: Hunter trafia do małego miasteczka w Kumbrii i niczym w tandetnej grze komputerowej ulewa, wypadek ciężarówki i wreszcie opady śniegu odcinają miejscowość od świata (oczywiście nie ma ani prądu, ani zasięgu telefonii komórkowej). Mieszkańcy są niechętni obcemu, a to dlatego, że większość z nich jest uwikłana w krwawe porachunki sprzed lat. A trupy ukrywają niekoniecznie w szafach, lecz pod leśną ściółką, Hunter zaś niemal dosłownie co chwila potyka się o zakopane kości. Nowa powieść Becketta to sprawne czytadło, ale nic ponadto: niewiele tu kryminalnej roboty, więcej surwiwalowego thrillera, choć kreowanego bez większej inwencji. Czytelnicy, którzy nie znali do tej pory kryminałów Becketta, powinni raczej sięgnąć po któreś z jego wcześniejszych książek.

JAKUB DEMIAŃCZUK



Komu boty dają kosza 5/6

James Muldoon, **Miłość w czasach maszyn. Jak sztuczna inteligencja wpływa na nasze relacje**, przeł. Dawid Czech, Wydawnictwo Obroty, Warszawa 2026, s. 328

Przyszłość już tu jest. AI rozwija się błyskawicznie, ma coraz pojemniejszą pamięć i szerokie praktyczne zastosowania, ale zaspokaja też nasze potrzeby emocjonalne. Właśnie te aspekty bada wnikliwie socjolog James Muldoon. To książka doskonale udokumentowana, wsparta dziesiątkami rozmów z użytkownikami, psychologami i… botami, które przedstawiają się autorowi na jego prośbę (od jednego z nich Muldoon dostał nawet kosza). To czatboty specjalnego przeznaczenia, „do towarzystwa". „Syntetyczni" powiernicy, partnerzy (także seksualni), którzy wysłuchują, radzą, podnoszą na duchu, czasem też zwodzą na manowce. Są np. nekroboty, tworzone na wzór zmarłych bliskich – mają nieść ulgę w żałobie, nawet mówią ich głosem. Twórcy AI mają wprawdzie dylemat, czy dla urealnienia doświadczeń zmarli powinni mieć aktualną wiedzę o świecie („Czy zmarły ojciec, który sprzeciwiał się wojnie w Iraku, potępiłby zbrodnicze działania Izraela w Gazie?").
Zdolności maszyn, które nie czują i nie rozumieją empatii, są zadziwiające. A jeszcze bardziej fascynuje sam człowiek, który godzinami konwersuje z AI, powierza jej wstydliwe sekrety, niby wie, że to tylko maszyna, ale ją antropomorfizuje. Muldoon uważnie przygląda się temu mechanizmowi, rozpatruje przeróżne szanse i zagrożenia, a przede wszystkim umieszcza swoją opowieść w bardzo szerokim kontekście (z jednej strony kapitalizm i żądza zysku, z drugiej epidemia i ekonomia samotności). Najbardziej zatrważa w tej historii to, co ludzkie.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

© JACEK DOMIŃSKI/REPORTER, SLAVEN VLASIC/GETTY IMAGES/PERELMAN PERFORMING ARTS CENTER, ANTHONY HARVEY/SHUTTERSTOCK/REX FEATURES/EAST NEWS, GARETH CATTERMOLE/GETTY IMAGES/U2, MP (4)

eprasa.pl fe2da71bd4



festiwale

Opera Shortera (i nie tylko)

23. Jazztopad, Wrocław 13–22 listopada

Występ Wayne'a Shortera w Narodowym Forum Muzyki równo dekadę temu był najbardziej pamiętnym wydarzeniem w historii wrocławskiego festiwalu. Dziś tej legendy jazzu nie ma już z nami, ale jego dzieło, opera „…(Ifigenia)", stworzone z **Esperanzą Spalding**, wybitną basistką, wokalistką i kompozytorką, będzie zapewne punktem centralnym w tym roku, wykonane z udziałem dawnych członków zespołu Shortera oraz orkiestrą i chórem NFM. Ponadto na festiwalu będzie prawdziwie międzynarodowo: jazz rodem z czarnej Afryki, Bliskiego Wschodu, Korei, oczywiście ze Stanów Zjednoczonych, ale też z Polski – wszystko to wymieszane często nawet na jednym koncercie. Symbolem jest tu tradycyjny już koncert Melting Pot Made in Wrocław. Inną tradycją festiwalową jest prawykonanie utworu dla Lutosławski Quartet – w tym roku napisał go południowoafrykański pianista Nduduzo Makhathini. W różnych projektach wezmą udział takie osobowości jak gitarzysta Shahzad Ismaily, trębacz Amir ElSaffar oraz perkusista Hamid Drake, który wystąpi też na zamknięciu festiwalu z Williamem Parkerem i Shabaką. Najbardziej zaś egzotycznym instrumentem będzie gayageum, rodzaj koreańskiej cytry, na której gra DoYeon Kim.

DOROTA SZWARCMAN

Szczegóły: **nfm.wroclaw.pl/festiwale/jazztopad-festival**

Sezon po sezonie

Inside Seaside, Gdańsk, AmberExpo, 13–14 listopada

Takie rzeczy tylko w Gdańsku, ale nie od dziś – Inside Seaside już po raz czwarty przeniesie atmosferę letnich festiwali do hali AmberExpo w środku listopada. Zupełnie dosłownie, bo ten festiwal programowany jest w sposób równie szeroki co duże wakacyjne imprezy. Z jednej strony mamy współczesną bazę rockową (brytyjscy Editors, polscy Zalewski, WaluśKraksaKryzys czy Wiraszko), czasem mocniejszą (Maruja) albo przechodzącą w jazz (Ciśnienie), a z drugiej – gwiazdy tanecznego popu (Jessie Ware) i zaangażowanego rapu (irlandzki zespół Kneecap). My gorąco rekomendujemy szwedzką, psychodeliczną, wielokulturową i widowiskową formację Goat, mariaż składów nagrodzonej Paszportem POLITYKI Hańby! i Hioba Dylana po świetnej, wydanej w styczniu wspólnej płycie „Za kim idziesz?" oraz powracającego na scenę – a zawsze znakomitego na żywo – **Mike'a Skinnera** z The Streets. Nie trzeba pewnie nikogo zachęcać do zwrócenia uwagi na występ Voo Voo, ale dla opornych dwie uwagi: zespół świętuje tej jesieni 40-lecie płytowego debiutu i jest świeżo po odkryciu materiału z albumu „1986" wykopanego w archiwach Polskiego Radia. Może być z tego jakiś ciekawy powrót do korzeni. BCH

Szczegóły: **insideseaside.pl**





Bono i The Edge

muzyka

Szklanka do połowy... 3/6

U2, **Carnaval de Luz**, Island



Za dość nijaką okładką kryje się pierwszy od dziewięciu lat album U2 z premierowym repertuarem. Single, szczególnie „Silencio", nie wróżyły najlepiej, ale pierwsze minuty płyty jakiś powiew świeżości przynoszą. „Go (Carnaval de Luz)" nagrany z udziałem Briana Eno otwiera podserię rozsianych tu trzech piosenek powstałych we współpracy z tym twórcą, a jego interwencje w nagrania irlandzkiej grupy zwykle kończyły się dobrze. Obejmuje ta seria „Can't Stop Us Now" niosące z pewnością większą energię niż tegoroczne epki wydane zimą i wiosną. Z kolei „The Greatest Show On Earth" mogłoby się znaleźć na „The Joshua Tree". Byłoby tam zapewne najsłabszym utworem, ale tu Bono brzmi jak dawny Bono, co nie jest na tej płycie regułą. Regułą nie jest też maniakalne odnoszenie się do przeszłości (choć „Street of Dreams" to z kolei niezbyt zręczny zwrot ku U2 z lat 90.), ale próba gwałtownego odejścia w stronę stylistyki współczesnego rocka w „Superficiality" przynosi efekt dziwny i w istocie płytki jak w tytule. W sumie jest to jednak płyta, której przynajmniej raz posłuchać warto: dla „La Reina", najlepszego utworu U2 od lat, oraz dla „Torn", ostatniego nagrania zrealizowanego z udziałem schorowanej już Dolly Parton. Powiedzmy, że szklanka jest bardziej do połowy pełna niż pusta.

BARTEK CHACIŃSKI

eprasa.pl fe2da71bd4



Jak dojrzewa zło

We wszystkim, co robię, szukam poezji. Nawet jeżeli grzebię się w najgorszych brudach – mówi Jan Holoubek, reżyser serialu „Wśród nocnej ciszy".

JANUSZ WRÓBLEWSKI: **– Jak się rodzi zło?**

JAN HOLOUBEK: – Nie umiem tego prosto wytłumaczyć. Chyba dlatego robię filmy czy seriale, by zrozumieć, jak to możliwe, że stajemy się zdolni do popełniania strasznych czynów.

Zło wpisane jest w ludzką naturę czy to bardziej sprawa okoliczności?

Wydaje mi się, że zło jest czymś, do czego się stopniowo przyzwyczajamy. Ono nie pojawia się nagle. Muszą minąć miesiące czy nawet lata, podczas których sączy się jakaś ideologia czy nawarstwia złość, uraza. W pewnym momencie zostaje przekroczona granica i zaczynamy robić rzeczy niemieszczące się wcześniej w wyobraźni. Akceptujemy bestialstwo, uznajemy, że trzeba lub wręcz należy zabijać. Zarówno w przypadku zbrodni połanieckiej, jak i Holokaustu ludzie doszli do takich właśnie wniosków.

Uwierzyli, że ostateczne rozwiązanie to najlepsze wyjście z trudnej sytuacji?

Tak, dali się omamić. Czasem zło wydarza się też spontanicznie, kiedy działamy pod wpływem choćby afektu. Ale to nie są przypadki, którymi się zajmuję w serialu „Wśród nocnej ciszy" oraz w filmie „Dziki, dziki Wschód". Obie te produkcje powstawały niemal równocześnie. Mimo że rozgrywają się w całkiem innych realiach, w zasadzie dotykają tej samej kwestii, tylko w innej skali. Opowiadam w nich o złu, które krystalizuje się przez dłuższy czas, dojrzewa i w końcu eksploduje.

O złu systemowym. Co w tym interesującego?

Z natury jestem raczej człowiekiem pogodnym. Chętnie spoglądam w mroczną stronę, ponieważ wyczuwam w sobie jej brak, a w związku z tym ciekawość. Jako młody chłopak zaczytywałem się w kryminałach Raymonda Chandlera, Agathy Christie, potem Dürrenmatta. Ciągnęło mnie do krwawych zagadek, bo wydawały mi się interesujące i atrakcyjne. Po „Rojście" z projektu na projekt szedłem tą ścieżką, chociaż tego nie planowałem. Z jakiegoś powodu nie przyszło mi na myśl, by zająć się komedią, wesołymi opowieściami. Ostatnio zauważyłem, że coraz rzadziej znajduję w swoich produkcjach miejsce na jakikolwiek optymistyczny finał czy nadzieję. Może to wpływ rzeczywistości, która od dłuższego czasu przygniata nas a to pandemią, a to czyhającą za rogiem wojną. Wychodzi na to, że zło zajmuje znaczącą część moich opowieści.

Ponieważ zbyt często je wypieramy?

Wydaje mi się, że szczególnie teraz chętnie to robimy, dając się uwodzić ultraprawicowej ideologii, której hasła zapożycza nawet umiarkowana część prawicy. Nie twierdzę, że reszta sceny politycznej jest krystalicznie czysta, ale nijak się to ma do takich ekstremów jak Grzegorz Braun, który wyraźnie nakręca agresję m.in. wobec Ukraińców czy Żydów. Kapitał polityczny Konfederacji Korony Polskiej przekłada się na konkretne zachowania: pewne grupy zostają uznane za gorsze, ktoś zostaje pobity na ulicy, ukraińskie dzieci są poszturchiwane, lżone, stygmatyzowane. Pojawia się społeczne przyzwolenie na tego typu akty. Zbyt łatwo temu

eprasa.pl fe2da71bd4



© MARCIN MAKOWSKI

ulegamy. Dajemy się nabrać sprytnym politykierom, ideologom, a także algorytmom. Żyjemy akurat w momencie, kiedy resentymenty nacjonalistyczne, ksenofobiczne wróciły do łask w pełnej krasie. Dużo pomagaliśmy Ukraińcom i wciąż ich wspieramy, jednak olbrzymia część społeczeństwa już stoi do nich odwrócona.

W serialu „Wśród nocnej ciszy" mechanizm wygląda tak, że na oczach mieszkańców Zrębina, wioski nieopodal Połańca, brutalna zbrodnia zostaje upozorowana na wypadek. By nie ujawnić sprawców, sołtys wymusza milczenie.

To opowieść o tym, że wystarczy silny lider posiadający autorytet, wiedzę, narzędzia, który potrafi wsączyć ludziom do uszu nienawiść, namówić do posłuszeństwa, a zaczną się dziać rzeczy niepojęte. Wiem, że pozornie niewielkie kłamstwo czy agresja zaczynają się tu, a kończyć się mogą tam, dokąd prowadzi finał „Dzikiego, dzikiego Wschodu". To zawsze jest równia pochyła. Nie musi dotyczyć wyłącznie problemów narodowościowych, mogą to być choćby waśnie rodzinne. Wystarczy niewiele, zwykły pretekst, by rozpalić ogień nienawiści i nadać sprawom odpowiedni bieg.

Polacy mają w sobie bardzo silnie zakorzeniony mit ofiary. Wolimy żyć w przekonaniu, że sami nikogo nie krzywdziliśmy. Starasz się odwracać tę perspektywę w swoich filmach.

Wycierpieliśmy jak mało który naród w Europie, lecz mamy też swoje za uszami. Dlaczego nie mielibyśmy się z tym konfrontować?

Prawicowi publicyści nawet „Lalkę" Pawła Maślony uznali za nienawistną i wymierzoną przeciwko Polsce.

W Polsce dyskurs historyczny niemal zawsze zamienia się w polityczny. Dla polskiej prawicy przeszłość jest ważniejsza od tego, co się dzieje tu i teraz, nie mówiąc już o przyszłości. Historia ma być nietykalna, nie wolno jej podważać, dochodzić różnych wersji prawdy. Tymczasem świat nigdy nie jest czarny ani biały, jest utkany z miliona odcieni szarości, miliona życiorysów, które bywały różne: wspaniałe, haniebne – i to wszystko się składa na wspólną historię. Jeśli prawica upiera się przy lukrowanym, heroicznym obrazku, niech sobie robi swoje filmy i seriale, przecież nikt jej nie broni. Nikt jej też nie każe oglądać produkcji konstatujących historię w sposób inny niż ten, który ona uważa za jedynie słuszny.

Wróćmy do serialu „Wśród nocnej ciszy". Na czym polegała wyjątkowość zbrodni połanieckiej?

Morderstwo trójki osób – ciężarnej kobiety, jej męża oraz jej 12-letniego brata – rozegrało się na oczach świadków. Mimo to społeczność przez długi czas udawała, że nic się nie stało, a sprawcy cieszyli się poczuciem bezkarności. Podczas procesu przesłuchano ponad 230 osób, z których w pierwszym słuchaniu zaledwie trzy zdecydowały się odtworzyć prawdziwy przebieg zdarzeń. Zbrodnia była tragicznym finałem konfliktu dwóch rodzin. Główną rolę odegrał bezwzględny lider o silnej osobowości, który wykorzystał swoją przewagę społeczną, finansową i intelektualną, aby zmanipulować oraz zastraszyć mieszkańców. Brzmi znajomo, prawda? Wbrew pozorom to bardzo uniwersalna opowieść o tym, jak można ulec przemocy, słuchając podszeptów diabła. Fakt, że zbrodnia wydarzyła się w latach 70. XX w. w PRL, jest znaczący, lecz gdybym miał nakręcić podobną historię we Włoszech czy Francji, też bym ją zrobił. Zmowę milczenia zwaną omertą doskonale znają np. Sycylijczycy, gdzie uczy tego mafia.

Początkowo wzbraniałeś się przed reżyserowaniem „Wśród nocnej ciszy". A teraz przekonujesz, że to temat bardzo ci bliski.

Słysząc kiedyś o tej historii, nie miałem za bardzo wyobrażenia, o czym tak naprawdę jest. Kiedy dostałem scenariusz Maćka Kowalewskiego i Piotrka Konstantinowa (współautor pierwszego odcinka), zmieniłem zdanie. Zachwyciłem się konstrukcją, dramaturgią śledztwa, procesu, aurą tej opowieści, zespoleniem cyklu życia zwierząt, ludzi, przyrody, trochę jak w „Chłopach" Reymonta. Nigdy nie robiłem filmu ani serialu osadzonego na wsi, a w sumie kawał dzieciństwa – mówię o wakacjach letnich i zimowych – spędziłem w latach 80. w Bukowinie Tatrzańskiej w gospodarstwie państwa Budzyńskich. Pamiętam doskonale żniwa, łażenie do obory, zabawy w drewutni, jeżdżenie traktorem. Mimo że byłem chłopakiem z warszawskiego Mokotowa, nasiąkłem wsią bardzo. To nie była dla mnie obca rzeczywistość. Dlatego od razu bardzo wyraźnie ten świat zobaczyłem.

Zbrodni połanieckiej poświęcony był film Janusza Petelskiego „Zmowa" z 1988 r. Powstał reportaż „Nie oświadczam się" Wiesława Łuki, jest też sztuka teatralna „Świadkowie". Po co opowiadać o tym jeszcze raz?

Co do filmu „Zmowa" – do dziś go nie obejrzałem. Celowo, żeby niczego nie „zgapić". Zobaczę go teraz. Książkę „Nie oświadczam się" oczywiście przeczytałem, ale już po zapoznaniu się ze scenariuszem, żeby uzupełnić wiedzę. Zawsze punktem wyjścia jest dla mnie jakość scenariusza, a nie sama sprawa. Zaimponował mi sposób prowadzenia narracji – fakt, że widz nie dostaje od razu gotowych odpowiedzi, lecz stopniowo wyłuskuje informacje i staje w pozycji sędziego oceniającego motywacje bohaterów. Trzeba samemu zdecydować, komu się wierzy. Głębia psychologiczna postaci, dopracowanie warstwy językowej – to wszystko było bardzo ciekawe. No i ten pejzaż stający się integralną częścią całości. Dzięki temu nabiera ona wymiaru przypowieści. W żadnym ze swoich wcześniejszych filmów nie zajmowałem się metafizyką, a w tym tekście poczułem, że gdzieś tam kryje się Bóg. Co prawda ▶

eprasa.pl fe2da71bd4

▶ oddalony, obserwujący wszystko z góry, nieobecny i dosyć nieczuły, ale... chyba ta właśnie sfera sacrum najmocniej mnie przyciągnęła.

Dla mnie to moralitet, w którym płytki polski katolicyzm odgrywa rolę podżegacza do zbrodni, a zarazem pieczętuje zmowę milczenia.

Nie obwiniałbym za to polskiego katolicyzmu. Przykłady bestialstwa zdarzają się przecież nawet wśród wyznawców buddyzmu. Nie sprowadzajmy wszystkiego do schematu, że oto jesteśmy na prymitywnej wsi, mamy księdza, kościół i tępą fanatyczną społeczność. Bardzo chciałem uniknąć takich uproszczeń. Proces uwiedzenia złem jest znacznie bardziej skomplikowany i dotyka ludzi zarówno mniej, jak i bardziej wykształconych. Ludzie pod każdą szerokością geograficzną i pod każdym wyznaniem się krzywdzą, używając religii, by usprawiedliwić swoją małość.

Do tego m.in. służy figura kozła ofiarnego.

Religia może być używana do czynienia zarówno dobra, jak i zła, to tylko kwestia tego, jak głęboko chcemy się oszukiwać. W polskiej kulturze większej przysięgi niż na krzyż nie ma. Myślę, że ludzie ze Zrębina, zobowiązując się do milczenia, kierowali się strachem. Na ogół gdy widzimy, jak ktoś bije kogoś w miejscu publicznym, dziesięć osób stoi i nie reaguje, a tylko jedna dzwoni na policję lub pomaga. Dlaczego reszta pozostaje bezczynna? Mogę sobie wyobrazić, że to rodzaj niemocy. I tak to tłumaczyłem aktorom. Świadkowie czuli się, jakby im wyłączono korki, nie mogli się ruszyć. Ogrom niegodziwości, które widzieli, po prostu obezwładnia. Bali się, że jak się zbuntują, spotka ich zemsta.

Odniosłem wrażenie, że bardzo ci zależy na podkreśleniu zaufania do przywódcy wioski, zachowującego się niczym starotestamentowy Jahwe. Zawsze obecny przy narodzinach i śmierci, pomaga finansowo, troszczy się o wszystkich.

Jest bardziej opiekunem, ojcem wsi. Kim był dla Niemców Hitler? Dał im pracę, zbudował autostrady, obiecał bogactwo i nowe terytoria. Co może najważniejsze, przez deprecjację innych dał im fałszywe poczucie wartości. Zauroczenie tyranem zawsze zaczyna się od tego, że coś od niego dostajesz. To cię przekonuje i do niego przywiązuje. Kim jest sołtys Lech Wojda, grany przez Łukasza Simlata? Felczerem, facetem, który uśmierzał ból, wyrywając chore zęby, odbierał porody, był domorosłym weterynarzem. Jako jedyny we wsi miał traktor, a także telefon, był najzamożniejszy z nich wszystkich. Pomagał w pracach polowych, do tego był ławnikiem w sądzie, gadał z prokuratorami i sędziami. A to znaczyło, że ma chody na górze. Więc ludzie darzyli go szacunkiem, ale też się go bali. Wydawał się nietykalny. Moim zdaniem niedaleki odstęp czasowy od końca wojny również miał niebagatelne znaczenie. Przez sześć lat okupacji ludzie naoglądali się strasznych rzeczy, śmierć musiała spowszednieć.



Kadr z filmu Janusza Petelskiego „Zmowa" z 1988 r. poświęconego zbrodni połanieckiej

Czy można było zbrodni połanieckiej uniknąć?

Wystarczyłoby, żeby więcej niż jedna osoba się wyłamała, sprzeciwiła. Ktoś z najbliższego otoczenia: siostra, żona, jeden czy drugi zięć – wtedy może by się to udało zatrzymać. Ale oni byli wszyscy zmanipulowani, uzależnieni od Wojdy finansowo, emocjonalnie, intelektualnie.

W tym sensie to także rzecz o złym przywództwie.

Zdecydowanie. To także opowieść o tym, że dajemy się uwodzić psychopatom. Jako zbiorowość. W serialu na poziomie wsi, a w „Dzikim, dzikim Wschodzie" na poziomie narodów.

Zajmując się często tą gorszą stroną polskości, nie masz czasem wrażenia, że wchodzisz w buty Smarzowskiego?

Wojtek wykonuje fantastyczną robotę, nakładając polskie balony. Robi to bez mrugnięcia okiem, wali na odlew z lewej i z prawej i chwała mu za to. Ja takiej misji sobie nigdy nie wyznaczałem. Mnie po prostu dużo więcej rzeczy ciągnie w kinie niż polska dusza. Powiem tylko, że we wszystkim, co robię, szukam poezji. Nawet jeżeli grzebię się w najgorszych brudach.

Gdzie tę poezję odnalazłeś, zajmując się zbrodnią połaniecką?

Cały czas gadamy o złu, a dla mnie główną postacią tej tragedii jest matka Zdzisława Kaleta, grana przez Magdalenę Biegańską. To o niej i dla niej powstał ten serial. Chciałem oddać jej hołd za to, że tak usilnie walczyła o prawdę i nigdy nie wyjechała ze Zrębina. Zdecydowała się żyć wśród morderców i ich potomków. Nie była w stanie zostawić domu, w którym urodziły się i wychowały jej dzieci. To stanowi dla mnie clou tej historii. Myślę, że Maciek, który się z nią przyjaźnił, pisał ten tekst w największym stopniu dla niej. Niestety, zmarła sześć lat temu na covid. Żyje natomiast śledczy prowadzący dochodzenie – w tej roli Jędrzej Hycnar – któremu też dedykowany jest nasz serial. On tę sprawę rozwiązał. Nie sam, bo przy śledztwie pracowało więcej osób, ale de facto dzięki jego uporowi udało się postawić sprawców przed sądem. Jest też prokurator i sędzia. Niedawno odezwał się do mnie członek rodziny sędziego Maciąga, informując, jak wiele go to kosztowało, że to była sprawa jego życia i że jego determinacja w doprowadzeniu jej do końca była olbrzymia.

Poznałeś rodziny prawdziwych sprawców, odwiedziłeś Zrębin?

Nie. Maciek i Piotr dokumentowali tę sprawę przez lata. Bywali we wsi nieraz i rozmawiali z uczestnikami tamtych zdarzeń. Śledczy zapytał ich wprost, czy się nie boją tam jeździć, bo z pewnością spotkają się tam z wrogością i nieufnością. Trzeba uczciwie powiedzieć, że część z tych ludzi nadal nie wierzy w winę swoich bliskich. Ci, którzy odsiedzieli swoje wyroki, uważają, że odpokutowali i mają prawo żyć w spokoju. Dlatego też zmieniliśmy wszystkie nazwiska. Moja wizyta we wsi nie wniosłaby do sprawy absolutnie nic.

Pytanie, jak długo ta rana ma jeszcze krwawić...

eprasa.pl fe2da71bd4

Pamiętać trzeba. Nie można się godzić na wyparcie. Dlatego powstał „Dziki, dziki Wschód". Oczywiście część widowni to zaneguje, powie, że wszystko inaczej wyglądało, ale to część procesu samooszukiwania się. Natury ludzkiej nie da się ukształtować na nowo.

Dotykając tematu zagłady Żydów w „Dzikim, dzikim Wschodzie", posłużyłeś się dla odmiany konwencją westernową, dlaczego?

Nie chciałem opowiadać o drugiej wojnie światowej i Holokauście w taki sam sposób, jak zrobiło to nie wiadomo ilu ludzi przede mną. Wybór tej formuły wynikał bezpośrednio z oryginalnego scenariusza Aleksandry Takuskiej, który od początku operował taką strukturą i zachwycił mnie świeżością oraz siłą wyrazu. Nie uważam jej za niestosowną. Gdybym nie znał „Jojo Rabbit", „Bękartów wojny", „Życie jest piękne", nie widział komiksu „Maus", zestawu Lego „Obóz koncentracyjny", może miałbym większe wątpliwości.

Wiele ryzykowałeś.

Przełamywanie utartych, martyrologicznych schematów zawsze obarczone jest ryzykiem. Wybór kina gatunkowego, łączącego motywy westernu, kina noir i komiksu, stanowi klucz do dotarcia do współczesnej widowni, która wiedzę o drugiej wojnie światowej czerpie głównie z podręczników. Pokolenie pamiętające tamte wydarzenia właściwie odeszło. Zabrało ze sobą pamięć o Polsce wielokulturowej, gdzie w każdym jednym miasteczku stały niemal obok siebie synagoga, kościół katolicki i prawosławny, a na ulicach mówiło się w kilku językach. Ten film jest i o tym, jak bardzo hekatomba wojny nas okaleczyła i zmieniła. Przybycie samotnego jeźdźca do sennego miasteczka, wątek zaginionego złota czy postać lokalnego stróża prawa przypominającego szeryfa, początkowo zwodzą, wciągając w atrakcyjną fabułę, by w finale brutalnie zerwać gatunkowe dekoracje i nagle skonfrontować z prawdą o wojnie. Można to lubić bądź nie, gdybym jednak od początku operował na poziomie realistycznym czy hiperrealistycznym, nie uzyskałbym efektu, na którym mi zależało.

Młodzież nie traktuje wielu rzeczy serio, więc poczuje się nieswojo.

W dzisiejszych czasach opowieści o drugiej wojnie światowej wydają się pachnieć naftaliną. Tak jakbyśmy nie rozumieli, że groza stoi za rogiem, czekając, aby się znowu urzeczywistnić. Jeśli przy odradzającym się nacjonalizmie, ksenofobii i populizmie zapomnieliśmy, do jak tragicznych konsekwencji prowadzi wartościowanie ludzi i zabawa w nacjonalizmy, to może trzeba się poddać terapii szokowej. Nie łudzę się, że sztuka zmienia świat na lepszy. Mogę tylko kimś potrząsnąć. Jeżeli się uda, to już dużo.

ROZMAWIAŁ JANUSZ WRÓBLEWSKI



Jan Holoubek (ur. 1978 r.) – reżyser i operator, współtwórca „Wielkiej wody", popularnego serialu Netflixa, za który został uhonorowany Paszportem POLITYKI. W kinie debiutował głośnym dramatem „25 lat niewinności. Sprawa Tomka Komendy", który również stał się przebojem (obejrzało go ponad 700 tys. Polaków). Premiera „Wśród nocnej ciszy" w HBO Max 13 listopada, „Dzikiego, dzikiego Wschodu" w kinach 8 stycznia 2027 r.

© STOPKLATKA VOD.TVP.PL, TVN/ADAM PLUCIŃSKI/MOVE

REKLAMA

NOWA POWIEŚĆ YANNA MARTELA
AUTORA BESTSELLEROWEGO *ŻYCIA PI*, LAUREATA NAGRODY BOOKERA

Nie Achilles.
Nie Hektor.
Nikt.

Wojna trojańska,
o jakiej nie
opowiedziano.



WYDAWNICTWO ALBATROS

eprasa.pl fe2da71bd4



Czego nas dziś uczy polski mistrz kina

Totalizator Sportowy wspiera kulturę od lat w różnych wymiarach. A teraz z dumą nosi tytuł Patrona Roku Andrzeja Wajdy.

„Czy Wajda wciąż jest z nami? O wpływie mistrza na współczesne kino" – taki tytuł miał jeden z paneli podczas październikowych Igrzysk Wolności w Łodzi. Wzięli w nim udział reżyserka Agnieszka Holland, reżyser i scenarzysta Paweł Maślona, dyrektor programowy Szkoły Wajdy Wojciech Marczewski, dyrektorka artystyczna Festiwalu Filmu BNP Paribas Dwa Brzegi Grażyna Torbicka oraz prezeska zarządu Totalizatora Sportowego Beata Stelmach. Dyskusję prowadził Michał Walkiewicz. Kino, historia, sumienie, odpowiedzialność – wielkie sprawy, jak to u Wajdy. Powszechnie wiadomo, że Andrzej Wajda był najważniejszym polskim reżyserem oraz klasykiem światowego kina. Ale paneliści zastanawiali się, dlaczego Wajda pozostaje reżyserem nieśmiertelnym, nieustannie inspirującym widzów, krytyków oraz filmowców – także tych, którzy po kamerę sięgają dziś.

Jak jego twórczość rezonuje we współczesnym kinie? Jaką lekcję wyciągnęliśmy z jego patriotycznej, a jednocześnie głęboko humanistycznej i uniwersalnej twórczości? Dlaczego kolejne pokolenia odkrywają go na nowo? Czego się od niego uczą? – *Historia, odpowiedzialność, moralność – to wartości, które z kina Wajdy przenikają do społeczeństwa. Dla przedstawicieli świata biznesu pozycją wręcz obowiązkową zawsze będzie „Ziemia obiecana", która stanowi aktualną lekcję odpowiedzialności biznesowej. Uświadamia nam, że mimo ogromnego postępu technologicznego, zmian społecznych i zawirowań dziejowych, wciąż zadajemy sobie pytania o uczciwość, o troskę o pracowników i otoczenie, a także o społeczną rolę biznesu* – podkreśla Beata Stelmach, prezeska zarządu Totalizatora Sportowego.

Rok 2026 został ustanowiony przez Senat Rzeczypospolitej Polskiej Rokiem Andrzeja Wajdy. W setną rocznicę urodzin reżysera (6 marca 1926 r.) rozpoczęły się obchody, które obejmują wystawy, przeglądy filmów, przedstawienia i projekty edukacyjne. Program został zainicjowany oraz przygotowany przez instytucje kultury w całym kraju przy wsparciu Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Totalizator Sportowy ceni aktywność – nie tylko tę na boiskach i stadionach, lecz także tę kulturalną, która prowokuje dialog, rozwija wrażliwość społeczną i inspiruje. To dlatego Totalizator Sportowy został Patronem Roku Andrzeja Wajdy – reżysera, który współtworzył i nadal współtworzy polską tożsamość narodową. – *Andrzej Wajda swoje pierwsze filmy zaczął tworzyć w latach 50. Słynny „Kanał" powstał w 1956 roku – dokładnie w tym samym roku co Totalizator Sportowy. Rozwijaliśmy się poniekąd równolegle do filmografii mistrza, więc to naturalne, że zostaliśmy patronem Roku Andrzeja Wajdy* – mówi Beata Stelmach, prezeska zarządu Totalizatora Sportowego.

Andrzej Wajda był jednym z najwybitniejszych twórców europejskiego kina XX i XXI wieku. Został nagrodzony Honorową Nagrodą Amerykańskiej Akademii Filmowej za całokształt twórczości. Odbierając to wyjątkowe wyróżnienie, podkreślał, że traktuje je jako nagrodę nie tylko dla siebie, lecz także dla całego polskiego kina. Był również pedagogiem oraz współtwórcą Muzeum Sztuki i Techniki Japońskiej Manggha w Krakowie. Jego twórczość stała się nieodłącznym elementem opowieści o polskiej historii i tożsamości, która do dziś służy także do prowadzenia rozmowy o współczesności. 9 października 2026 r. obchodziliśmy dziesiątą rocznicę śmierci Andrzeja Wajdy.

Totalizator Sportowy był partnerem strategicznym festiwalu „Wajda na Nowo". Został on zorganizowany w sierpniu w Suwałkach, rodzinnym mieście reżysera, jako forma uczczenia znamienitego twórcy, a równocze-

eprasa.pl fe2da71bd4

śnie próba przybliżenia, zwłaszcza młodemu pokoleniu, osiągnięć polskiej kinematografii. W programie festiwalu znalazły się między innymi pokazy filmów Wajdy, wystawy, konkurs filmowy, spotkania z gwiazdami polskiego filmu, kino plenerowe oraz warsztaty filmowe. Wręczono także nagrody w rywalizacji o najlepszy krótki metraż. Po tegorocznym festiwalu powstała książka „Andrzej Wajda. Urodziłem się w Suwałkach" – publikacja ukazująca reżysera przez pryzmat jego związków z rodzinnym miastem. To opowieść o rodzinie, ojcu, powrotach Wajdy do Suwałk i spotkaniach z mieszkańcami, a także o jego działalności artystycznej i senatorskiej. Książka przybliża również historię suwalskiego Festiwalu Filmowego „Wajda na Nowo", który od lat pielęgnuje pamięć o artyście i jego twórczości.

Totalizator Sportowy jest także partnerem wystawy „Wajda na nowo", która prezentuje plakaty inspirowane twórczością reżysera wykonane przez wybitnego grafika Andrzeja Pągowskiego, wielokrotnie współpracującego z Wajdą. Wystawę można było podziwiać m.in. w Galerii Plenerowej przy Al. Ujazdowskich w warszawskich Łazienkach Królewskich. Natomiast „Wajda na nowo. Suplement" to wystawa obejmująca 14 plakatów do wszystkich spektakli telewizyjnych reżysera, w tym tytułów takich jak „Makbet", „Hamlet", „Bigda idzie!" oraz dwie plansze edukacyjne. Tę wystawę można było oglądać m.in. na Festiwalu Dwa Brzegi w Kazimierzu Dolnym, Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni czy w Muzeum Miasta Gdyni.



Zaangażowanie Totalizatora Sportowego we wsparcie kultury w bardzo różnych wymiarach trwa od wielu lat. – *Mamy niezbite dowody na to, że kultura nie jest kosztem, lecz inwestycją w rozwój Polski. Tworzy wymierną wartość gospodarczą porównywalną ze znaczącymi gałęziami gospodarki. Uruchamia aktywność gospodarczą, rozwija kompetencje i wzmacnia długofalowy potencjał kraju. A równocześnie buduje naszą wspólnotę, wzmacnia naszą wrażliwość i kreatywność, zwiększa naszą odporność na kryzysy. To ważne, by dzięki różnym inicjatywom przypominać wielkie dzieła, kontynuować dialog i inspirować się nawzajem. Bardzo mocno wspieramy dziedzictwo Fryderyka Chopina jako partner wielu inicjatyw z nim związanych. Andrzej Wajda jest według nas postacią równie wartą tego wsparcia. Wielki reżyser, najsłynniejszy polski kompozytor czy Solidarność – to polskie marki znane na całym świecie* – zaznacza Beata Stelmach, prezeska zarządu Totalizatora Sportowego.

Środki przekazywane przez Totalizator Sportowy na sport i kulturę pochodzą z dwóch źródeł. Pierwszym są dopłaty z gier na fundusze celowe (Fundusz Rozwoju Kultury Fizycznej oraz Fundusz Promocji Kultury). To wsparcie systemowe, uregulowane zapisami ustawy o grach hazardowych. W samym tylko 2025 r. firma przekazała na Fundusz Promocji Kultury ponad 360 mln zł. Natomiast od 2003 r., czyli odkąd przekazywane są środki na ten fundusz, na kulturę trafiło ponad 4,3 mld zł.

Drugie źródło to działalność partnerska. W jej ramach część środków własnych Totalizatora Sportowego jest przeznaczana na indywidualne wsparcie sportowców, związków czy klubów sportowych, a także muzeów i wydarzeń oraz inicjatyw kulturalnych. Totalizator Sportowy jest mecenasem Teatru Wielkiego – Opery Narodowej, a także partnerem głównym Narodowego Instytutu Fryderyka Chopina. W ramach tej długofalowej współpracy, trwającej od 2015 r., realizowane są między innymi Międzynarodowy Konkurs Pianistyczny im. Fryderyka Chopina (XIX edycja odbyła się w 2025 r., a Totalizator Sportowy był partnerem głównym konkursu trzeci raz z rzędu), Festiwal „Chopin i jego Europa", Międzynarodowy Konkurs Pianistyczny na Instrumentach Historycznych.

Totalizator Sportowy jest również partnerem Narodowego Forum Muzyki we Wrocławiu i Orkiestry Polskiego Radia w Warszawie. Spółka wspiera wielkanocny Festiwal Ludwiga van Beethovena (nieprzerwanie od trzynastu edycji), Olsztyn Green Festival, Festiwal Nowe Horyzonty i Festiwal Dwa Brzegi w Kazimierzu Dolnym. Warto także wspomnieć o zaangażowaniu w działalność tak ważnych instytucji muzealnych jak Zamek Królewski na Wawelu, Muzeum Narodowe w Warszawie, Muzeum Narodowe w Krakowie oraz Zamek Królewski w Warszawie. Z tym ostatnim miejscem firmę łączą szczególne relacje, bo w latach 70. XX w. Totalizator Sportowy zorganizował dodatkowe zakłady Toto-Lotka, z których dochód przeznaczono na odbudowę Zamku Królewskiego w Warszawie. To najlepszy dowód na to, że wspieranie kultury wpisuje się w działalność spółki od dekad. I tak będzie również w przyszłości.

eprasa.pl fe2da71bd4

Warszawa mon amour

„Byłam taka, jaką mnie stworzyłeś”, pisze w nowej książce Sophie Marceau. Adresatem jest jej nieżyjący już były partner Andrzej Żuławski.

KINGA STRZELECKA-PILCH



Francuska aktorka Sophie Marceau 17 listopada skończy 60 lat. A w tym roku minęło też 10 lat od śmierci jej wieloletniego partnera, reżysera Andrzeja Żuławskiego. Te okrągłe rocznice skłoniły ją do wspomnień, które spisała w wydanej właśnie we Francji książce zatytułowanej „Warszawa”. Nie „Varsovie”. Aktorka wybrała polską nazwę, by – jak tłumaczy – oddać hołd polskiemu miastu, które odegrało ważną rolę w jej życiu.

Stolicę Polski Marceau poznała w latach 80. i pomieszkiwała tu aż do 2001 r. Książkę otwiera czarno-biała fotografia przedstawiająca lutową śnieżycę na Placu Zbawiciela i zamyka wyjaśnienie jej znaczenia: aktorka zrobiła zdjęcie miasta pod śniegiem po śmierci partnera. „Byłam jak Warszawa” – porównuje.

Na fali MeToo przywykliśmy do narracji pokrzywdzonych kobiet wycelowanych w dojrzałych, byłych partnerów o wysokiej pozycji społecznej, w tym reżyserów, jak Roman Polański czy Woody Allen. Na tym tle „Warszawa” jest zupełnie inna, bo pełna wdzięczności, miłości

eprasa.pl fe2da71bd4



© ARNOLD JEROCKI/GETTY IMAGES

i tęsknoty, ale i intelektualnej syntezy, dystansu, pogodzenia się ze sobą, przeszłością, przemijaniem. Autobiograficzna opowieść ma bowiem formę długiego, liczącego ponad 200 stron listu miłosnego – Marceau pisze w pierwszej osobie bezpośrednio do Żuławskiego: „Byliśmy najpiękniejszymi kochankami świata". Język jest poetycki, pełen wyszukanych metafor, daleki od egzaltacji i tandety. Narratorka nie neguje złych momentów, nie ignoruje wad, nie stara się wybielać znanego ze swojej ekscentrycznej natury partnera, ale nie stawia się w roli ofiary, nie mówi o swojej traumie, nie wchodzi w rolę cierpiącej wdowy. Jej wspomnienia są pełne intymnych detali.

Notatki o skandalu

Andrzej Żuławski zmarł na nowotwór w wieku 75 lat. Pogrzeb odbył się 22 lutego 2016 r. w podwarszawskiej Górze Kalwarii. Tam, wśród żałobników, znalazła się francuska aktorka, starająca się ukrywać łzy, ubrana skromnie, nie jak gwiazda filmowa.

Reżysera przed śmiercią spowijała atmosfera skandalu i niesmaku wywołana przez jego dziennik „Nocnik" z 2010 r., w którym opisał swój romans z Weroniką Rosati, po czym został przez nią pozwany o naruszenie dóbr osobistych. Proces trwał pięć lat, zakończył się przegraną reżysera. Miał przeprosić powódkę i zapłacić 100 tys. zł zadośćuczynienia. To jeszcze bardziej oddaliło go od ludzi – prowadził samotne życie, naznaczone uzależnieniem od alkoholu i zgorzknieniem. Ale 20 lat wcześniej był na szczycie. Wydawać by się mogło, że miał wszystko.

Poznali się w połowie lat 80. Marceau – a w zasadzie Maupu – bo tak brzmi jej prawdziwe nazwisko, pochodzi z ubogiej rodziny, jej ojciec był kierowcą tira, mieszkała na przedmieściach Paryża. Jej rodzice ledwo wiązali koniec z końcem. Na wielkim ekranie zadebiutowała (po castingu) już jako 14-latka w filmie „Prywatka". Komedia stała się hitem we Francji, a ona zagrała w niej kogoś, kim nie była – panienkę z dobrego, bogatego domu.

Żuławski, świeżo po sukcesie „Opętania", z Francuzką Isabelle Adjani w roli głównej, był z kolei we Francji naprawdę kimś. Prasa miała go za mrocznego, piekielnie inteligentnego, bezkompromisowego, słowiańsko melancholijnego, przystojnego, doceniała jego znajomość francuskiej kultury, zwyczajów i języka.

Urodził się we Lwowie w 1940 r., ale dzięki ojcu, który pracował dla UNESCO, dorastał w Paryżu, ukończył dwujęzyczne liceum, prestiżową szkołę filmową IDHEC, studiował też filozofię na Sorbonie – dlatego mówił płynnie po francusku (do dziś można obejrzeć w internecie kilka wywiadów Żuławskiego dla francuskiej telewizji, w których niezwykle pewnie posługuje się dźwięcznym, pozbawionym polskiego akcentu francuskim).

Z polecenia Polańskiego w 1961 r. został asystentem Andrzeja Wajdy, z którym jednak mocno poróżnił się przy tworzeniu swojego pełnometrażowego debiutu („Trzecia część nocy") w 1971 r. W połowie lat 70. wyjechał z dusznej Polski do libertyńskiej Francji i zrealizował „Najważniejsze to kochać", z Romy Schneider w roli głównej, a sukces tego filmu dał mu pozycję, uznanie, sławę i pieniądze.

Reżyser, sam już wtedy po czterdziestce, poznał Sophie, kiedy była niepełnoletnia – dziś to sytuacja nie do pomyślenia. Uznał ją za bezczelną, rozwiązłą proletariuszkę bez manier, z papierosem w ustach, ale pełną brawury i ciekawości. Oddała się w jego ręce jak biała kartka gotowa do zapisania, jak Galatea Pigmalionowi: „Byłam taka, jaką mnie stworzyłeś. Odtwarzałam Twój charakter pisma i powtarzałam Twoje słowa. Nosiłam tylko tę biżuterię, którą dla mnie kupowałeś, i nie chciałam żadnej innej. Używałam zawsze tych perfum, które dla mnie wybrałeś. Dopasowałam się do Ciebie. Przyjęłam Twój kształt. Przylgnęłam do Ciebie" – pisze dziś Marceau.

Żuławski 17-letnią aktorkę obsadził od razu w głównej roli w swoim nowym filmie „Narwana miłość" (jego premiera miała miejsce w 1985 r.), co dla niego typowe – pełnym brutalności, erotycznych, psychodelicznych scen. Marceau tym samym zerwała z wizerunkiem uroczej burżujki z „Prywatki", szokując francuską publiczność odwagą i nagością, a na polecenie Żuławskiego wypowiedziała kontrakt z wytwórnią Gaumont, za co zapłaciła podobno karę w wysokości miliona franków. Opinia publiczna uznała to za skandal – polski demon, doprowadzający do histerii aktorów, dopadł naszą czystą i słodką Sophie?

Zośka na wsi

Marceau nauczyła się mówić po polsku, poznała rodzinę Andrzeja i stała się Zośką – tak nazywał ją partner. Życie dzielili między Paryżem, prowincjonalnym Fromont, Warszawą i Wesołą. W 1995 r. urodził się im syn Vincent. Na nagraniach z lat 90. para wygląda na szczęśliwą, starzejący się Żuławski opowiada o Sophie z miłością, a kobieta wydaje się pełna szacunku dla partnera. Na jednym nagraniu Żuławski prosi ją, żeby wyprowadziła z gabinetu ich małego synka, Zosia wykonuje polecenie i – jakby sama była ▶

eprasa.pl fe2da71bd4

▶ dzieckiem – dostaje od reżysera kilka drobnych monet na zakupy. Dorosły Vincent skonstatuje: „Był dla mnie bardziej jak dziadek – zawsze na więcej pozwalał".

Marceau zagrała jeszcze w trzech filmach Żuławskiego: „Moje noce są piękniejsze niż wasze dni" z 1989 r., „Błękitna nuta" z 1991 r. i „Wierność" z 2000 r. Dziś widzi w nich jedną cechę wspólną: „Zawsze obsadzałeś mnie w roli kobiety, która może umrzeć z miłości".

„Wierność" wydaje się ważna z kilku powodów. Film to swobodna interpretacja XVII-wiecznej kanonicznej powieści „Księżna de Clèves" Madame de La Fayette, opowiadającej o romansie zamężnej kobiety. Żuławski przeniósł tę historię do współczesności i nadał jej prywatny wymiar. Marceau zagrała rolę fotografki rozdartej między pracą komercyjną a artystyczną. Jest tu żoną starszego od siebie wydawcy, jednak jej serce zaczyna bić mocniej dla młodego kolegi z pracy.



© POOL ARNAL/GARCIA/URLI/GAMMA-RAPHO/GETTY IMAGES

Sophie Marceau z Andrzejem Żuławskim na festiwalu filmowym w Cannes, 1987 r.

Żuławski zdawał się pogardzać hollywoodzkimi projektami partnerki i jej sukcesami, krytykował jej rolę u boku Mela Gibsona w „Braveheart. Walecznym sercu" z 1995 r. i jej wielki sukces, jakim była kreacja dziewczyny Bonda u boku Pierce'a Brosnana w „Świat to za mało" w 1999 r. Z tego powodu wprowadził do swojego filmu wątek zawodowego dylematu bohaterki. Choć para nigdy nie wzięła ślubu, bo Żuławski stronił od tej instytucji, to realizował stereotypową figurę „starego męża" – był zaborczy, zazdrosny i kontrolujący.

Kiedy cały świat upajał się urodą Marceau, „mąż" kazał jej się zamknąć na wsi, w ogromnym domu pod Warszawą, upijał się coraz częściej, stawał się agresywny, oskarżał o zdrady, nie doceniał jej osiągnięć. Aktorka wraca do tego w „Warszawie": „Z czasem dwa światy podkopały nasze ścieżki i pogłębiły nasze zmarszczki. Moje zmarszczki przyszły z wiekiem od uśmiechu, wiatru i słońca. Twoje nie miały nic wspólnego ze słońcem, nawet z wymuszonym uśmiechem. Twoje koncentrowały się wokół oczu. Wzrok to słaby punkt tych, którzy męczą oczy patrzeniem przez obiektyw i na tekst. Przez okno swojego gabinetu i przez szkło okularów, które bez przerwy nosiłeś na nosie, nie widziałeś już światła. Moje królestwo było na zewnątrz, Twoje w domu".

Pisanie w rodzinie

Jak wspomina w nowej książce, „zdjęcia (do „Wierności") rozpoczęły się, kiedy definitywnie doszło do rozstania". Po 17 latach wspólnego życia Sophie Marceau postawiła Andrzejowi Żuławskiemu ultimatum: alkohol albo ja – i odeszła.

Żuławski wydał wtedy bolesną dla byłej partnerki powieść „Niewierność", fabularyzowany paszkwil, pełen nienawiści i chęci odwetu, w którym rysuje portret Marceau jako zakompleksionej, zdradzającej i zdradzanej. Aktorka z kolei napisała scenariusz i wyreżyserowała po rozstaniu film „Mów mi o miłości", opowiadający o rozwodzie pary z 15-letnim stażem – kobieta z trójką dzieci odchodzi od męża pisarza. Żuławski obraził się, bo odebrał film jako personalny atak.

Mateusz Żuławski, romanista i brat Andrzeja, który po wyprowadzce Marceau zamieszkał z nim w wielkim domu w Wesołej, w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej" powiedział: „Andrzej był kobietą w pięknym męskim ciele. Humory miał kobiece. Nie widziałem, żeby inny mężczyzna potrafił obrazić się jak on".

Pisanie było u niego rodzinną formą ekspresji. Stryjecznym dziadkiem Andrzeja był młodopolski pisarz Jerzy Żuławski (1874–1915). Pisarzem był też ojciec reżysera, dyplomata Mirosław Żuławski (1913–95). Sam Andrzej napisał ponad 20 książek, których język był równie kontrowersyjny, erotyzujący i wulgarny jak jego filmy. Sophie Marceau też pisała i publikowała już w przeszłości: w 1996 r. wydała krótką powieść „Menteuse" (Kłamczyni), a w 2023 r. zbiór opowiadań i wierszy „La Souterraine" (Podziemie). W 2019 r. tom poezji zatytułowany „Szarlatan i inne wiersze" wydał też syn Marceau i Żuławskiego, Vincent Zulawski (posługujący się nazwiskiem ojca bez polskich znaków diakrytycznych). Interesuje się też reżyserią. Xawery – starszy syn Żuławskiego ze związku z Małgorzatą Braunek – to reżyser, laureat Paszportu POLITYKI za ekranizację „Wojny polsko-ruskiej" Doroty Masłowskiej.

Sophie Marceau po rozstaniu z Andrzejem miała kilku życiowych partnerów (w tym producenta Jima Lemleya, z którym ma córkę, czy znanego aktora Christophera Lamberta), ale najważniejszy okazał się dla niej – jak podkreśla – Żuławski. „Wydaje mi się, że przeżyłam z Tobą całe życie" – pisze – „z nikim więcej nie jadłam śniadań, tylko z Tobą (...). Inni mężczyźni przejeżdżali jak pociągi pełne pasażerów na czas, nie było sensu do nich mówić rano. Włączali radio i szybko wychodzili".

Wspominając ostatnie spotkanie z reżyserem, Marceau opisuje swój powrót do Wesołej, do domu, w którym nic się nie zmieniło od dekady. Umierającemu Żuławskiemu gotuje wtedy rosół, kupuje kremówki, pączki z konfiturą różaną, nosi jego sweter. A czytelników zostawia z wrażeniem, że ta francusko-polska miłość, choć teraz jednostronna, trwa.

KINGA STRZELECKA-PILCH

eprasa.pl fe2da71bd4

Spór o Kuroniów



Magdalena Popławska i Arkadiusz Jakubik jako Gaja i Jacek Kuroniowie

© ANNA WŁOCH/NEST FILM

Film o walce o polityczną wolność Jacka i Gajki Kuroniów stał się areną głośnego konfliktu o wolność twórczą. Scenarzysta usunął swoje nazwisko z czołówki „Naszej rewolucji". Dlaczego? I jak się zmieniała koncepcja filmu?

JANUSZ WRÓBLEWSKI

Jacek Kuroń miał charyzmę trybuna ludowego, naturę ekshibicjonisty, temperament sangwinika (nie hamował się w słowach nawet w mieszkaniu naszpikowanym podsłuchami) i moralną odwagę, która nie zawsze szła w parze z polityczną ostrożnością. Wychowany na robotniczej legendzie strajków 1905 r. i socjalizmu spod znaku bojowców PPS, uczył Polaków krytycznego patriotyzmu. Przed gomułkowską odwilżą współorganizował drużynę walterowską (tzw. czerwone harcerstwo), potem pracował w kwaterze głównej ZHP. Po 1964 r. wraz z Karolem Modzelewskim stanowili trzon rodzącej się antykomunistycznej opozycji.

Działalność opozycyjną, zwłaszcza pod koniec lat 70. po powstaniu KOR, Kuroń traktował jako walkę o wolność i ludzką godność. Nie potrafił jednak i nie chciał brać udziału w gabinetowych grach i układach. Sprzeciwiał się odwetowi. Adam Michnik twierdzi, że jego życiowym credo był fragment wiersza Seweryna Goszczyńskiego: „Sadźmy, przyjacielu, róże! [...] Sadźmy je dla innych, Szczęśliwszemu sadźmy światu!".

Grażynę Borucką, czyli Gajkę Kuroń, autorki biografii „Jacek" (Anna Bikont i Helena Łuczywo) opisują jako figurę samodzielnej, opiekuńczej, cierpliwej kobiety, pozostającej w cieniu aktywności męża. Nie była jednak bierna – współtworzyła przestrzeń, w której mogła rozwijać się działalność opozycyjna, a dla Jacka była najważniejszym punktem odniesienia. Łączyła w sobie subtelność, pracowitość, klasę z determinacją wewnętrzną.

„Razem z nią zaczęło się prawdziwe życie. Ona właśnie uczyniła je sensownym" – pisał Kuroń o żonie. To wyznanie nie było tylko romantycznym ozdobnikiem. Może posłużyć za klucz do zrozumienia człowieka, którego publiczny wizerunek przesłaniał prywatne motywacje. Na tej właśnie sprzeczności oparł swój projekt Maciej Pisuk, pomysłodawca i scenarzysta „Naszej rewolucji". Pracę nad historią Kuroniów rozpoczął w 2004 r. jeszcze z inicjatywy Andrzeja Wajdy – długo przed opowieścią o Paktofonice „Jesteś Bogiem" i „Zieloną granicą" Agnieszki Holland, które przyniosły mu uznanie.

Kuroniem fascynował się już jako nastolatek. – *Był bohaterem mojej młodości, absolutnym autorytetem, którego i życiorys, i teksty w jakiś sposób mnie ukształtowały* – przyznaje Pisuk. Przez dwie dekady zbierał materiały, rozmawiał ze świadkami, konsultował się z historykami, m.in. z prof. Andrzejem Friszkem, próbując rozgryźć emocjonalny mechanizm łączący silną uczuciowość Kuronia z jego politycznym zaangażowaniem. Wierzył, ▶

eprasa.pl fe2da71bd4

▶ że obiecując rzetelne przedstawienie historii ludziom, którzy pamiętali Kuroniów i współtworzyli ich świat, uda mu się jednocześnie stworzyć atrakcyjne widowisko dla szerokiej publiczności.

Gajka i Jacek poznali się, gdy ona była 15-latką, a on miał niewiele ponad 20 lat. Przeżyli ze sobą 27 lat, z czego siedem (niektóre źródła podają, że dziewięć) Jacek przesiedział w kryminale – nie licząc zatrzymań na dobę czy dwie. Jego energia do walki z systemem nie wynikała z rozczarowania, z gniewu, tylko przede wszystkim z miłości do żony i z miłości do ojczyzny.

Do Pisuka szybko dotarło, że obie te emocje były komplementarne, wzajemnie się uzupełniały. Kuroń starał się nieustannie dorastać do ideału, jaki widziała w nim Gajka. Chciał żyć na poziomie wyobrażeń o nim. Chciał być dla niej taki, jakiego ona go sobie wymarzyła. Scenarzysta, dodatkowo zainspirowany przetaczającymi się akurat przez Polskę marszami czarnych parasolek, uznał więc, że nie powinien pracować nad opowieścią o jednym bohaterze. – *Zrozumiałem, że to musi być film o Kuroniach. Jednocześnie chciałem przywrócić Gajce podmiotowość, jakiej często odmawiały jej narracje skupione na męskim świecie opozycji.*

Najbardziej ryzykowny i dramaturgicznie obiecujący element tej koncepcji dotyczył choroby Gajki podczas stanu wojennego. Według interpretacji Pisuka, opartej na relacjach naocznych świadków, do których nikt wcześniej nie dotarł, Grażyna była świadoma powagi swojego stanu, ale ukrywała przed mężem pełnię tej wiedzy, nie chcąc doprowadzić go do załamania i politycznej kapitulacji. Jacek, zamknięty w celi podczas internowania, miał przeżywać konflikt między lojalnością wobec sprawy publicznej a pragnieniem ratowania najbliższej osoby. Nagle on, pacyfista i zwolennik rozwiązań pokojowych, zaczął wzywać rodaków do narodowego powstania. W prywatnych zapiskach i listach pojawiały się myśli o ustępstwach, wyjeździe z kraju czy gotowości do rozważenia kroków, które w świetle jego publicznej legendy mogłyby się wydawać nie do pomyślenia.

Nie oznacza to oczywiście, że Kuroń brał pod uwagę współpracę z komunistyczną władzą. Tragizm tego wątku polegał na wyolbrzymieniu granic wytrzymałości człowieka postawionego w sytuacji bez wyjścia. Pisuk chciał pokazać, że nawet moralny autorytet może zostać wystawiony na próbę, a jego wielkość nie musi polegać na nieobecności wahań, lecz na zmaganiu się z nimi.

W 2017 r. Pisuk przedstawił projekt Agorze. Dwa lata później podpisał umowę z Next Film, spółką należącą do grupy Agora, reprezentowaną przez Roberta Kijaka. Miał pełną świadomość, że korporacja, z którą zamierza pracować, wyrasta z opozycyjnego środowiska związanego m.in. z Adamem Michnikiem i Jackiem Kuroniem, którzy współtworzyli etos „Gazety Wyborczej", a biografia jego bohatera pozostaje częścią symbolicznego kapitału Agory. Pisuk i Kijak umówili się na kino odważne, społecznie zaangażowane i zakorzenione w realiach historycznych. Kontrakt, który podpisali, przyznawał producentowi szerokie uprawnienia do modyfikowania tekstu i powierzania jego przeróbek innym osobom. Pisuk twierdzi jednak, że Kijak przedstawiał te zapisy jako korporacyjną formalność, zapewniając go, iż w razie różnic zdań strony będą szukały kompromisu. Dał mu na to słowo honoru.

Pierwsza zaakceptowana wersja scenariusza powstała z udziałem reżysera Bartosza Kruhlika, z którym Pisuk pracował nad konstrukcją opowieści. Wspólnie rozwijali projekt pod roboczym tytułem „Bez ciebie mnie nie będzie. Historia Grażyny i Jacka Kuroniów". Już w 2020 r. pojawił się jednak spór o rangę postaci Gajki. Według Pisuka producent chciał ograniczyć jej rolę, a scenarzysta bronił koncepcji, w której żona Kuronia nie jest jedynie emocjonalnym zapleczem bohatera. Konflikt udało się wówczas załagodzić, lecz w styczniu 2023 r. niespodziewanie Kruhlik został odsunięty od projektu. Pisuk protestował, wskazując, że reżyser miał istotny udział w wypracowaniu kształtu scenariusza. W liście do Kijaka podkreślał, że Kruhlik spędził długie miesiące na poznawaniu historii, a scenariusz analizowali wspólnie scena po scenie. Domagał się, by jego wkład został uznany choćby w formie współpracy scenariuszowej.

Kiedy do projektu dołączył kolejny reżyser Piotr Domalewski, scenarzysta liczył na kontynuowanie obranego kierunku. Zamiast tego, jak twierdzi, w marcu 2025 r. otrzymał gotową reżyserską wersję scenariusza, która zasadniczo zmieniała akcenty i sens tego, co zostało wcześniej ustalone. Producent tłumaczył modyfikacje względami budżetowymi – koszt produkcji miał zostać obniżony o kilka milionów złotych – oraz potrzebą nadania filmowi bardziej komercyjnego, melodramatycznego charakteru. Pisuk odebrał to nie jako rutynową korektę, lecz złamanie ustalonych wcześniej zasad, co zdaniem Kijaka jest nieprawdą.

W liście do Heleny Łuczywo, Adama Michnika i Seweryna Blumsztajna, czyli dawnych przyjaciół Kuronia i współwłaścicieli Agory, Pisuk nie krył oburzenia. Donosił, że „dramatyczne losy pary głównych bohaterów zostały przekształcone w kiczowaty romans", a projekt może zostać odebrany jako „próba zmonetyzowania dziedzictwa Kuronia i jego etosu". Twierdził, że zmiany naruszają integralność jego wizji i zniekształcają historię, którą przez lata rekonstruował z dokumentów i relacji świadków.

W sporze o przeszłość ścierają się najczęściej dwie koncepcje: patetyczna i intymna. Pisuk chciał połączyć oba porządki. Obawiał się, że po niekonsultowanych z nim zmianach Gajka zostanie sprowadzona do funkcji wiecznie czekającej, wspierającej żony, a jej sprawczość zniknie za romantyczną legendą Jacka. Jeżeli Gajka – jak utrzymuje Pisuk – świadomie ukrywała przed mężem prawdę o swojej chorobie, jej milczenie nie sprowadzało się do biernego cierpienia. Stawało się swego rodzaju grą, wprowadzało do historii niejednoznaczny ton.

Pisuk nie zaakceptował również usunięcia z tekstu postaci Ewy Dobrowolskiej, siostry Gajki, która w jego scenariuszu przenosiła grypsy między internowanymi małżonkami. Nie była to według niego postać dekoracyjna, pełniła istotną funkcję w dramaturgii obu części filmu, którego akcja rozgrywa się między założeniem KOR i karnawałem Solidarności a stanem wojennym. Wykreślenie jej wymuszało zastępcze rozwiązania fabularne, które scenarzysta uważał za niewiarygodne. Pojawiała się np. scena, z której wynikało, że po 13 grudnia działały telefony. Albo Marek Edelman z własnej inicjatywy odwiedza gen. Czesława Kiszczaka, sugerując gotowość Kuronia do porozumienia z komunistyczną władzą.

Pisuk uznawał ten drugi pomysł za szczególnie szkodliwy: nie tylko za niezgodny z faktami, lecz także stawiający

eprasa.pl fe2da71bd4

Edelmana w niekorzystnym świetle jako „antysemicką kalkę Żyda obłudnika i intryganta", o czym alarmował w innym piśmie do Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej, opisując przebieg całego konfliktu i zawiadamiając o decyzji wycofania swojego nazwiska.

Latem 2025 r., po mediacyjnym spotkaniu z udziałem m.in. Agnieszki Holland, podjęto próbę zażegnania konfliktu. – *Domalewski przyznał w trakcie tego spotkania, że on sam nie dokonał zmian w scenariuszu opatrzonym nagłówkiem „wersja reżyserska". Zrobił je producent, ponieważ ja rzekomo odmówiłem dalszej współpracy* – twierdzi Pisuk. Kilka dni przed rozpoczęciem zdjęć do „Naszej rewolucji" Kijak miał poprosić Pisuka o pomoc w usunięciu błędów historycznych. Scenarzysta zgodził się bez dodatkowego wynagrodzenia przekazać uwagi, a wstępne porozumienie, tzw. Deal Memo, przewidywało zwrot w ciągu miesiąca praw do jego pierwotnego tekstu, na wypadek gdyby w przyszłości chciał wydać książkę albo rozwinąć go w serial.

Do porozumienia jednak nie doszło. – *Pod koniec września producent odmówił zwrotu należnych mi praw i w sposób jednoznaczny powiązał to z kwestią przywrócenia mojego nazwiska w napisach czołowych. Zaproponował, żebym się wstrzymał z odmową do momentu zobaczenia gotowego filmu.*

Pisuk uznał to za wycofanie się z ustaleń i szantaż. Odrzucił zaproszenie na pokaz i podtrzymał żądanie usunięcia swojego nazwiska z czołówki oraz z napisów końcowych. Robert Kijak w obszernym oświadczeniu, opublikowanym na stronach Agory 27 lipca 2026 r., odpierał jego zarzuty. Producent powołał się na to, że Next Film posiada prawa majątkowe do scenariusza, wypłacił uzgodnione wynagrodzenie, a Pisuk konsekwentnie odmawiał obejrzenia ostatecznej wersji montażowej. Oskarżył scenarzystę, że ten z kolei złamał dżentelmeńską umowę. Miała polegać na tym, że Kijak zgodził się na ewentualne wydanie przez niego scenariusza w formie książkowej w zamian za zobowiązanie, że strony nie będą się wzajemnie atakować. Tymczasem miesiąc później w branżowym piśmie „Press" ukazał się krytyczny artykuł z udziałem Pisuka.

Kijak uważa, że główną pretensją Pisuka był brak zaproszenia go do bezpośrednich prac nad tekstem z Piotrem



© ADAM SZYMAŃSKI/FORUM

Jacek i Gaja podczas spotkania z okazji rocznicy Marca '68 na Uniwersytecie Warszawskim, 1981 r.

Domalewskim. Podczas gdy – zdaniem Kijaka – producent wraz z reżyserem mają pełne prawo do wprowadzania poprawek realizacyjnych również na planie. Z punktu widzenia producenta jedyną istotną zmianą była marginalizacja postaci Ewy Dobrowolskiej na rzecz wzmocnienia roli Marka Edelmana oraz korekta sceny Edelmana z Kiszczakiem. Jednak poparcie, którego udzieliła Pisukowi Gildia Scenarzystów Polskich, dowiodło, że konflikt dotknął szerszego problemu: pozycji scenarzysty w systemie, w którym po przekazaniu praw majątkowych może on utracić wpływ na utwór, choć to właśnie jego nazwisko ma legitymizować opowieść.

Piotr Domalewski uzasadniał na festiwalu w Gdyni ostateczną wersję filmu, tłumacząc się próbą wyjścia poza „streszczenie podręcznika do historii". On również nie chciał budować kolejnego monumentalnego portretu zasłużonych postaci, oglądanych z perspektywy kolan. I także interesowała go – jak podkreślał – prywatność Kuroniów: miłość wystawiona na próbę rozłąki, codzienne koszty politycznego zaangażowania, cierpienie syna Maćka i pytanie, które może postawić sobie również współczesny widz: „Co ja bym wtedy zrobił?". Reżyser chciał, by historia dwojga ludzi stała się zrozumiała przede wszystkim dla młodszej publiczności, nieobciążonej osobistą pamięcią o PRL. Dramatyczne listy małżonków miały być emocjonalnym rdzeniem kameralnego dramatu, a nie jedynie ilustracją wydarzeń politycznych.

Paradoks polega na tym, że pytanie „Co ja bym wtedy zrobił?" ma sens tylko wtedy, gdy widz rozumie, co właściwie oznaczało „wtedy": jak działał aparat represji, jakie były granice kompromisu, czym ryzykowali opozycjoniści i dlaczego ich wybory nie sprowadzały się do prostego podziału na odwagę i tchórzostwo. Bez tego zostaje melodramat, w którym polityka jest tłem, a historia dostarcza jedynie przeszkód dla miłości.

W całym tym sporze trudno wskazać zwycięzcę. Maciej Pisuk zapłacił stosunkowo wysoką cenę za swoją pryncypialność. Poszła fama, że ma trudny charakter, zbyt wiele żąda. Obecnie nie otrzymuje od producentów i reżyserów żadnych propozycji pisania nowych scenariuszy. Rozważa zmianę zawodu, pracę dla teatru albo poświęcenie się powieściopisarstwu. Żałuje, że jego wieloletni wysiłek przy Kuroniach zostanie zapamiętany przede wszystkim jako konflikt branżowy.

Producent musi się liczyć z nadszarpniętym zaufaniem – jeśli zarzuty dotyczące sposobu prowadzenia rozmów i niedotrzymania porozumienia znajdą potwierdzenie. Domalewski z kolei został uwikłany w kryzys, którego poszczególne etapy i zakres jego odpowiedzialności wymagają rozróżnienia: reżyser ma prawo do własnej wizji, ale jego artystyczna wolność nie zwalnia go z odpowiedzialności za sposób przedstawiania realnych postaci.

Największą stratę ponosi jednak sam film. Zamiast dyskusji o tym, jak opowiedzieć historię Kuroniów nowemu pokoleniu, uwagę przyciąga pytanie, kto i na jakich warunkach przejął kontrolę nad scenariuszem. A przecież stawka była większa niż spór o autorstwo. Chodziło o to, czy można pokazać legendarnych opozycjonistów jako ludzi z krwi i kości, bez odbierania im godności, ale też bez zamieniania ich życia w bezpieczną bajkową przystań.

Kuroń nie potrzebuje ochrony przed własną złożonością. Jego znaczenie nie polegało na tym, że nigdy się nie wahał, lecz na tym, że próbował żyć zgodnie z ideałami w świecie, który nieustannie wystawiał je na próbę. Gajka również zasługuje na coś więcej niż rolę kobiety, której cierpienie nadaje głębi męskiej legendzie.

Największą ironią jest jednak to, że dramat poświęcony ludziom, którzy potrafili podporządkować własne ambicje sprawie większej niż oni sami, stał się polem walki o autorstwo, kontrolę i zawodowy prestiż. W tej wojnie o pamięć najtrudniejsze pytanie nie brzmi, kto ma ostatnie słowo, lecz czy opowieść o przeszłości potrafi unieść prawdę bardziej skomplikowaną niż legenda.

JANUSZ WRÓBLEWSKI

eprasa.pl fe2da71bd4

FELIETON

Sulej



Ministra i moda

Ministra Cienkowska poszła w pokazie mody. Olaboga! O tempora, o mores! Co za narcyzka! Dawno nie przeczytałam tak seksistowskich komentarzy. To, co usiłowano przedstawiać jako zaniepokojenie powiązaniem polityki z dotacjami ministerialnymi, było złośliwym docinaniem kobiecie, która ośmieliła się być widoczna w sferze mody. Oto polityczka zrobiła rzecz, którą uznaje się za kobiecą, w obszarze kultury, który uznaje się za kobiecy. No, gorzej być nie może, śmiech na sali!

I to pod warunkiem, że uważamy modę za obszar kultury, bo zwykle uchodzi za pustą aktywność konsumencką. Bywa i tak, owszem, ale pustej aktywności konsumenckiej można się spokojnie również oddać w obszarze książek, filmów, kulinariów czy sportu. Tu cel był jeden: wyśmiać kobietę w polityczce i wyśmiać aktywność, w którą się zaangażowała, a wszystko po to, by z wielu powodów złożonego rodzaju zrobić jeden powód – wiadomo, kobieca próżność...

No to teraz zastanówmy się, jakie byłyby reakcje, gdyby na wybiegu pojawił się polityk w garniturze i przeszedł się w świetle reflektorów. Czy również komentowano by jego wygląd? Dyskredytowano jego kompetencje? Pomijano, w jakiej sprawie się tam znalazł, jakie to było wydarzenie, o co chodziło w tej widoczności? Czy nie ustawiono by się od razu w kolejce do niego po komentarz? Czy nie akcentowano by, że oto polityk przyszedł na wydarzenie i brata się z wyborcami? Czy nie szeptano by z dumą, jakich to mamy przystojnych mężczyzn w polityce? Albo jeszcze inaczej – załóżmy, że mamy mecz, to taka bardzo mocno kojarzona z mężczyznami aktywność, i na tym meczu polityk wchodzi na boisko i wykopuje piłkę. Ale by było! Równy gość, taki fajny, chłopacki. To jest zawsze na plus.

> Polityczka zrobiła rzecz, którą uznaje się za kobiecą, w obszarze kultury, który uznaje się za kobiecy. Gorzej być nie może!

Pojawiały się też argumenty, że ministra zachowała się nieetycznie, ponieważ pojawiła się na wydarzeniu sfinansowanym z dotacji, którą sama przyznała. Czy pytano, jak w istocie przebiegało dotowanie, czym jest projekt, którego zwieńczeniem był pokaz? Ale do tego jeszcze wrócę. Na razie powtórzę, że ministra dała twarz i całą osobę sprawie, na którą ministerstwo dało pieniądze. To chyba dobrze, prawda? To się nazywa odpowiedzialność.

Od razu zaznaczam – jestem częścią fundacji, która dotacje dostała, ale jestem też kobietą, obywatelką, dziennikarką i jako taki tożsamościowy pakiet 3 w 1 postanowiłam się wypowiedzieć, bo najważniejsze były klikalne tytuły. ReFashioned to nie jest „pokaz mody". To trwający kilka miesięcy program dla projektantek i projektantów z Polski, Ukrainy i Białorusi (w dużej części z doświadczeniem migracji), którzy wspólnie, pod okiem mentorów, tworzą autorskie kolekcje z materiałów z drugiego obiegu.

Finałowy pokaz to zaledwie jeden wieczór, za którym stoi kilkanaście sesji mentoringowych, warsztaty i pięć wizyt studyjnych (łącznie ponad 170 godzin pracy z uczestnikami), a do tego dziesiątki godzin, które każdy z twórców poświęcił na własne kolekcje. Moda jest tu tylko narzędziem: platformą spotkania, integracji i wsparcia psychospołecznego dla ludzi, którzy odbudowują swoje życie zawodowe w nowym kraju.

Ministra zdecydowała się wesprzeć młodą projektantkę z Ukrainy (jej sukienkę włożyła później na premierę „Matek Chersonia" w Operze Narodowej) – z ludzkich pobudek, ale też jako polityczka, by pokazać, że nie podobają jej się narracje nienawistne wobec Ukraińców, którzy wybrali Polskę na swój dom, że mogą oni stać się częścią naszej różnorodnej kultury, nie tylko pracować na budowach i w dyskontach, lecz także tworzyć wspólnie z nami piękne rzeczy i opowieści.

Ach, finansowanie! ReFashioned jest organizowany przez Fundację Kraina wspólnie z Międzynarodową Organizacją ds. Migracji (IOM Poland) trzeci rok. Projekt otrzymał dofinansowanie ze środków ministra kultury i dziedzictwa narodowego w ramach programu własnego Instytutu Przemysłów Kreatywnych „Polska Kreatywni: MODA", czyli w otwartym konkursowym naborze rozstrzyganym przez Instytut. Część mentoringową i integracyjną finansuje ponadto IOM Poland, a swój wkład wnosi też sama Fundacja. Oprócz ministry na wybieg, pro publico bono, weszli też inni ambasadorzy ze świata kultury, mediów i organizacji pozarządowych, m.in. Marzena Figiel-Strzała, Joanna Klimas, Kiryl Masheka, Natalia Panczenko, Jana Shostak, Mariusz Szczygieł.

Wszyscy przyszli, by użyczyć swojej widoczności twórcom, którym w życiu jest po prostu trudniej. Odciąganie uwagi od tej wartości, żeby podbić chwytliwy i seksistowski news, przekreśla pracę wielu ludzi, wagę solidarności społecznej, przeczy tezie, jakoby w polityce panowała genderowa równość, nie ma nic wspólnego z dziennikarską rzetelnością, rzuca cień na zwykłą ludzką życzliwość, niweczy sens dobrej politycznej roboty, a nie partyjnej gierki. To jest felieton, w którym staram się nieco rozmontować twitterowość rozmawiania o polityce. Może chociaż będzie klikalny.

KAROLINA SULEJ

eprasa.pl fe2da71bd4

FELIETON

Chutnik Plebanek



Było sobie lustro

„Czułem, że nie żyję na próżno, że walczę o drogie mi prawdy, że zostawiam ślad po sobie w świecie, ślad w duszach moich czytelników” – tak Leopold Tyrmand podsumował cztery lata pisania dla „Tygodnika Powszechnego”. Jego „Dziennik. Źródła” z 1954 r. daje wgląd w potrzebę i intymność komunikowania się twórcy z odbiorcą. Podobnie jak rękopisy wierszy Wisławy Szymborskiej, które można przejrzeć w archiwum portalu Polona, przybliżają czytelnikowi proces literackiego tworzenia. Skreślenia, poprawki, wielokrotne przepisywanie – drobne pismo poetki z dala wygląda jak biegnące po kartce robaczki, odręczny zapis zamienia się w czcionkę maszyny do pisania, skreślenia krzyżykami zamazują pierwotny fragment. Jakie to ludzkie: pisać, skreślać, zmieniać. Jakie to dobre, że krok po kroku możemy przyglądać się ewolucji myśli poetki.

Ale refleksja, czy to pisarki, czy czytelnika, to dziś luksus. Czas stał się towarem ściśle reglamentowanym, a książka to już nie rozmowa, wymiana myśli, tylko produkt. Stawia się na błyskawiczne przygotowanie tekstu, grafiki, zdjęcia. Na modłę wydajności ChatGPT, który tekst wypluwa w sekundę, wymaga się tej samej sztuczki od człowieka. A że nie jest on w stanie wygenerować natychmiastowego „kontentu”, zostaje zastąpiony maszyną.

> Paradoksalnie, w kapitalizmie wyśmiewa się artystów i artystki, gdy za diagnozy społeczne żądają zapłaty.

Wydaje się, że – jak pisała Szymborska w wierszu „Lustro” – sztuczna inteligencja działa „bez zarzutu, z zawodowym brakiem zdumienia”. Przyjmuje polecenia i je realizuje, bez męczących negocjacji, podnoszenia kwestii praw pracowniczych czy personalnych niesnasek. Samym artystom pozostaje udzielanie się w mediach społecznościowych, gdzie ich zadaniem jest skrupulatne klecenie „marki”. Bez marki nie ma człowieka, w każdym razie pisarza, bez odpowiedniej liczby followersów nie ma co marzyć o podpisaniu umowy na wydanie książki. Bo niby jak montować promocję?

Hiperproduktywność, rugowanie ludzi z procesu twórczego, byle tylko jak najwięcej sprzedać i zarobić, rodzi się ze zwykłej ludzkiej bezwzględności. Maszyny są ślepymi wykonawcami w naszych rękach. Pielęgnujemy porządek oparty na sile, a przemoc normalizujemy tak w relacjach zawodowych, jak i rodzinnych. Instytucjonalne formy organizacji życia społecznego opierają się wciąż, mniej lub bardziej dyskretnie, na prawie pięści. Przemoc przychodzi z pałką albo w białych rękawiczkach, z kastetem lub w kształcie tradycyjnej szpili wbitej umiejętnie, koniecznie z uśmiechem. Dotyczy to również środowiska samych artystów i procesu tworzenia.

W znakomitej powieści „Saturn” Jacka Dehnela ojciec pomiata synem. O tym synu z pogardą wyraża się również jego syn, który powiela zachowanie dziadka. Najmłodszy z czterech pokoleń Goyów nie przeżywa, jakby oddawał walkowerem generacyjną ścieżkę upokorzeń. Jednak największy przemocowiec to sam Franciszek Goya, wybitny malarz, duma Hiszpanii, autor malowidła ściennego „Saturn pożerający własne dzieci”.

I my żyjemy w spirali powielania złych słów i gestów. Próbujemy ją przedstawić, powstają wtedy gęste freski, jak „Saturn”, opowieść o tworzeniu i zjadaniu się nawzajem, o jawnych miłostkach i skrytym kochaniu do końca. Splot głosów, spod których wygląda malowanie i pisanie (z błędami ortograficznymi, do ukochanego), gdzie puka też muzykowanie. Piszemy o pogardzie, upokorzeniu, tych podwalinach ludzkich relacji, które unieszczęśliwiają. I o odwadze wychodzenia z twardych wzorów przemocy.

Stendhal twierdził, że powieść to lustro obnoszone po gościńcach życia. Pytanie tylko, czy dziś nie jest to życie generowane na potrzeby nieuważnego łykania papkowatej fabuły. Żeby pokazać głębię, trzeba się napracować, znaleźć czas. W kulturze instant tak się nie da, a ona sama nie daje możliwości wykorzystania w pełni surowca, jakim jest ludzka wyobraźnia. Gombrowicz opisuje w „Ferdydurke” moment, gdy niespodziewane stanięcie oko w oko z własnym odbiciem wytrąca człowieka z pewności, czy to on stoi tam, „po drugiej stronie”. A więc i odbiorca potrzebuje czasu, żeby się w dziele odnaleźć.

W przymusie produktywności pożeramy się, stawiając na tanie zabawianie. Marnujemy to, co w nas najlepsze, energię tworzenia, która równoważy ludzkie barbarzyństwo. Paradoksalnie, w twardej kapitalistycznej rzeczywistości wyśmiewa się artystów i artystki, gdy za diagnozy społeczne żądają zapłaty. Toż to ich powołanie, natchnienie, misja! Twórcy o pieniądzach rozmawiać nie wypada, nawet w szczycie wyzyskiwania ludzi przez miliarderów, w czasach manifestacji ulicznych, gdzie demonstranci własną piersią bronią bożka siły nabywczej pieniądza, protestując przeciw podwyżkom cen benzyny.

Saturn zjada własne dzieci. Kiedy zabraknie mu jednych, sięgnie po kolejne, po twórcach przyjdzie czas na inne grupy społeczne. Przybiera postać polityków, algorytmu, big techów, ale i nas samych, przyzwyczajanych do ekstremalnych wrażeń. Być może lustro już pękło, tylko tego w pośpiechu nie zauważyliśmy.

SYLWIA CHUTNIK, GRAŻYNA PLEBANEK

eprasa.pl fe2da71bd4



Herezje zaginionej księgi

Najnowszą powieść Olgi Tokarczuk „Świata jest za dużo" kupiłem w dniu premiery, żeby uniknąć wszelkich recenzji i omówień. Rekomenduję państwu to samo. Noblistka wprawdzie nie pisze książek sensacyjnych ani fantastycznych w ścisłym znaczeniu, ale szanuje dobrą popkulturę (wiem to z pierwszej ręki!), a co za tym idzie, sięga po takie jej narzędzia jak „suspens" (czyli zagadka utrzymująca czytelnika w napięciu) albo „plot twists", zaskakujące zwroty akcji. Dobrze więc na początku lektury za dużo nie wiedzieć o fabule – i obiecuję, że niczego nie zdradzę w tym felietonie.

Rok temu z okazji wznawiania trylogii „Czas nieutracony" Stanisława Lema wyraziłem marzenie o współczesnej powieści opisującej odbudowę Polski po 1945 r. To fascynujący temat, może nawet najciekawszy z wszystkiego, co się wydarzyło w naszym kraju w zeszłym stuleciu, ale słabo obecny w literaturze. W czasach PRL odbudowa była polityczno-cenzuralnym polem minowym, czołowi pisarze więc tego unikali. Skoro nie można było szczerze napisać, że krasnoarmiejcy gwałcili ośmiolatki i osiemdziesięciolatki oraz kradli wszystko, co dało się załadować na pakę ciężarówki, lepiej było w ogóle nie opisywać tzw. wyzwolenia. Pisano więc albo takie powieści, w których akcja działa się podczas wojny, albo takie, w których zaczynała się już dobre kilka lat po niej. Niewiele było takich, w których dzieje tych samych bohaterów śledziliśmy w latach, dajmy na to, 1920–70.

> Odbudowa po 1945 r. to fascynujący temat, być może najciekawszy z wszystkiego, co się wydarzyło w Polsce w XX w.

W wolnej Polsce niewiele się zmieniło. Transformacja dostarczyła nam pilnych tematów, przez dłuższy czas nikt nie miał serca do peerelowskich wypominek. Dopiero w ostatnich latach, między innymi za sprawą serii głośnych biografii, zaczęliśmy sobie uświadamiać, że nie da się zrozumieć dzisiejszej Polski bez zrozumienia PRL, a PRL z kolei bez jego korzeni. Paskudnych, nieprawych, niegodnych, zrodzonych z jałtańskiej zdrady i totalitarnego ludobójstwa, ale niezbędnych do zrozumienia tego, co przeżywali nasi rodzice i dziadkowie. A jeśli nie zrozumiemy ich, nie zrozumiemy samych siebie.

Nowa powieść Tokarczuk to spełnienie moich marzeń. Akcja zaczyna się w dniu upadku Festung Breslau – tu nie zdradzam żadnego zwrotu akcji, dowiadujemy się tego na samym początku. Do zrujnowanego miasta przybywają rozbitkowie z dawnej II Rzeczpospolitej. Nikt nie kieruje się pragnieniem odbudowy Wrocławia. Przeciwnie, na początku popularna wśród nich jest idea, która krążyła wtedy także po Warszawie – że nie ma sensu tego odbudowywać, lepiej zostawić morze ruin jako pomnik historii i zbudować nowe miasto od zera gdzieś obok.

W Warszawie te pomysły upadły, bo ludzie zaczęli odgruzowywać ruiny, nie czekając na decyzje władz. We Wrocławiu (jeśli wierzyć noblistce) było podobnie. Bohaterowie książki chcą odbudować swoje własne życie z wojennej katastrofy – i *nolens volens* przy okazji odbudowują Wrocław (a także Wałbrzych i inne „miejsca na W" w których dzieje się akcja książki, symbolika tej litery ma tu znaczenie, którego nie zdradzę).

W tle odbudowy rozwija się poboczny wątek pewnej sławnej zaginionej powieści. Celowo nie napiszę jakiej, to jeden z tych zwrotów akcji, którymi fajnie jest być zaskoczonym. Ja dosłownie podskoczyłem z wrażenia gdzieś około strony 140 (gdzie ten wątek się zaczyna rozwijać). W naszej rzeczywistości z tej powieści ocalało tylko jedno zdanie w relacji pewnego literata, który twierdził, że podczas okupacji miał dostęp do maszynopisu. Musimy mu jednak w tej sprawie wierzyć na słowo, a ja z natury jestem człowiekiem małej wiary. U Tokarczuk zaginiony manuskrypt w 1945 r. przybywa do Wrocławia. Tutaj znajduje pewnego wiernego czytelnika, który przepisuje go na maszynie w kilku kopiach. Część suspensu to pytanie: czy choć jedna ukaże się drukiem? Ocaleje od zapomnienia?

Związana z tym jest oryginalna konstrukcja narratora. Tak jak w „Empuzjonie" występuje w liczbie mnogiej, ale tym razem już nie rodzaju żeńskiego (a więc nie „my, narratorki", tylko „my, narratorzy"). I tak jak w „Empuzjonie" kolejna część suspensu to pytanie: kto nam tę historię właściwie opowiada? Odpowiedź jest związana z pewną heretycką koncepcją opisaną w zaginionym maszynopisie... Powieść Tokarczuk prowokuje pytania. Czy ma nadzieję, że ta zaginiona księga jeszcze kiedyś się odnajdzie? Czy w tych wrocławsko-wałbrzyskich opowieściach umieściła historię kogoś ze swojej rodziny lub kręgu znajomych? Na ile opisane tu herezje stanowią część jej własnego, osobistego światopoglądu?

Miesiąc temu pewien dziennikarz „Rzeczpospolitej" lamentował, że wydawnictwo nie zgodziło mu się na wywiad z pisarką, i opublikował pytania, które chciał jej zadać. Teraz widzę, że wymyślił je bez czytania książki. Trzy były o sztuczną inteligencję (!), jedno o tytuł, a jedno o „narratorkę" – której w „Świecie" po prostu nie ma. Smutne to świadectwo kondycji dzisiejszych mediów, że tak szacowna niegdyś redakcja nie mogła do wywiadu z pisarką oddelegować kogoś, kto lubi czytać książki.

WOJCIECH ORLIŃSKI

eprasa.pl fe2da71bd4

Na każdy temat z każdej strony

Z nauką po imieniu

Adam
Mirek



tokfm

Ściągnij app i słuchaj.

eprasa.pl fe2da71bd4



PiS tańczy i śpiewa

Prezydentowi zarzuca się niską skuteczność po tym, jak w trakcie wejścia do Trybunału Konstytucyjnego nikomu nie przyłożył z byka ani z liścia, a nawet nie zdołał przewrócić sędzi Korwin-Piotrowskiej, chociaż jest od niego niższa i słabsza. Trudno się z taką oceną zgodzić; moim zdaniem to, że sędzia się nie przewróciła, to jej wina, a nie prezydenta, który w tej sprawie swoje zrobił, tzn. przepchnął ją, udowadniając, że jest dziś najsilniejszym politykiem prawicy. A potem jeszcze przez kilka godzin konsekwentnie siedział w środku tylko po to, żeby wyjść, nie wyjaśniając, po co w ogóle wszedł.

Na plus trzeba prezydentowi zapisać, że w ramach przywoływania Korwin-Piotrowskiej do porządku przestał publicznie wypowiadać jej nazwisko, zastępując je pogardliwym określeniem „pani dwojga nazwisk". Ta surowa kara pokazuje, że prezydent ma określone narzędzia, tylko musi mieć odwagę ich użyć. Rozczarowanie budzi natomiast, że w swoim wystąpieniu Karol Nawrocki – nie wiadomo, czy na skutek przejęzyczenia, czy wyczerpania ćwiczeniami na siłce – na głos wymówił nazwisko uczestnika zamachu stanu sędziego Berka, co tylko rodzi niepotrzebne domysły i podejrzenia.

O tym, do jak wielkiej tragedii doprowadził Tusk swoim zamachem, najlepiej świadczy wokalno-taneczny występ wiceprezesa PiS posła Wójcika i red. Kłeczka z TV Republika, który w przerwach między utworami sprzedawał zegarki protestującym przed TK patriotom. Wójcik zaznacza, że śpiewał na prośbę zmarzniętych patriotów. Jeśli tak, to miał szczęście, że nie poprosili go o coś bardziej rozgrzewającego, np. o żonglerkę pochodniami albo utworzenie piramidy, w której on, Kłeczek oraz posłowie Gosek i Matecki stają jeden na drugim.

Mam natomiast żal, że w obliczu narodowej tragedii, jaką jest pełzający zamach stanu i zapowiadane przez prezesa PiS ataki na opozycję z użyciem broni maszynowej, Wójcik, zamiast śpiewać o potrzebie gromadzenia zapasów jedzenia, lekarstw oraz spakowania plecaka ewakuacyjnego, śpiewał o tym „Jak minął dzień", chociaż doskonale wiedział, że jeśli coś tego dnia poszło dobrze, to najwyżej sprzedaż zegarków, czego dowodem był wesoło podskakujący na scenie Kłeczek.

Ze strony polityków Rozwoju Plus padł zarzut, że Wójcik z Kłeczkiem swoim występem realizują scenariusz Tuska. Powiem jasno: jeśli to prawda, Donald Tusk jest skończony i powinien podać się do dymisji. Po cichu liczę jednak na to, że w specjalnym oświadczeniu odetnie się od tej dwójki i kategorycznie zaprzeczy, że miał z ich występem coś wspólnego.

GALERIA POLITYKI



ISKRA, ZNANY JAKO AUTOR „SMUTNYCH HISTORII SPISANYCH NA KACU I TANIM PAPIERZE"

POLITYKA

WYDAWCA POLITYKA Spółka z o.o. SKA
ADRES ul. Słupecka 6, 02-309 Warszawa

RECEPCJA GŁÓWNA
tel. 22 451-61-33, 451-61-34
e-mail: polityka@polityka.pl

PREZES I REDAKTOR NACZELNY
Jerzy Baczyński
tel. 22 451-60-00

CZŁONKOWIE ZARZĄDU
Mariusz Janicki (*Wiceprezes, Pierwszy Zastępca Redaktora Naczelnego*), Bartek Chaciński (*Zastępca Redaktora Naczelnego*), Katarzyna Białek (*Dyrektor Zarządzający*)

Z-CA REDAKTORA NACZELNEGO TYGODNIKA POLITYKA
Witold Pawłowski

SEKRETARZ REDAKCJI
Artur Podgórski *tel. 22 451-60-22, 22 451-61-84*

BIURO REKLAMY, KAMPANII I PROJEKTÓW SPECJALNYCH
Izabela Kowalczyk-Dudek *(Dyrektor)*
tel. 22 451-61-45, e-mail: reklama@polityka.pl
ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ REDAKCJA PONOSI ODPOWIEDZIALNOŚĆ W GRANICACH WSKAZANYCH W UST. 2 ART. 42 USTAWY PRAWO PRASOWE

PION WYDAWNICZY
Piotr Zmelonek *(Dyrektor) 22 451-61-85*
PION CYFROWY
Joanna Chmielecka *(Dyrektor) 67 210-86-30*
ADMINISTRACJA
Jadwiga Kucharczyk *(Dyrektor)*

SERWIS INTERNETOWY polityka.pl
REDAKTOR NACZELNA
Aleksandra Żelazińska
Aktualne teksty i komentarze autorów Polityki - siedem dni w tygodniu, bieżące wydania Polityki, podkasty i wideokasty oraz wiele więcej.

NEWSLETTERY POLITYKI
polityka.pl/newslettery

MEDIA SPOŁECZNOŚCIOWE
facebook.com/TygodnikPolityka
Instagram: @tygodnikpolityka
X (dawniej Twitter): @Polityka_pl
LinkedIn: linkedin.com/company/polityka

PRENUMERATA PAPIEROWA
sklep.polityka.pl
e-mail: prenumerata@polityka.pl
Cena rocznej prenumeraty (52 wydania) – 679 zł

SUBSKRYPCJA CYFROWA
polityka.pl/cyfrowa
e-mail: cyfrowa@polityka.pl
Cena rocznej subskrypcji – 299 zł

PORTAL POPULARNONAUKOWY projektpulsar.pl
REDAKTORKA NACZELNA
Katarzyna Czarnecka
Codzienny serwis popularnonaukowy, bieżące wydania miesięczników WIEDZA I ŻYCIE oraz ŚWIATA NAUKI/SCIENTIFIC AMERICAN, podkasty i wideokasty poświęcone nauce.

Sprzedaż bezumowna numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona.

COPYRIGHT © POLITYKA SPÓŁKA Z O.O. SKA
Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.

Przedruki: Justyna Sadowska
tel. 22 451-61-50
e-mail: przedruki@polityka.pl

DRUK P/mint

eprasa.pl fe2da71bd4

Pulsar płynie do Szczecina



W morzach jest coraz cieplej, w rzekach jest coraz mniej wody. Antropogeniczna zmiana klimatu nie oszczędza wód. Jest w nich także coraz brudniej. Choćby dlatego, że nie nauczyliśmy się jeszcze, że kupowanie i wyrzucanie nadmiernych ilości plastiku stwarza zagrożenie – często śmiertelne. Dla organizmów wodnych, ale też dla żywiących się nimi zwierząt i ludzi. A nam na wodach przecież zależy. Nie tylko umożliwiają biologiczny byt, ale także pozwalają wymieniać się towarami, są źródłem pożywienia czy przestrzenią, w której stawiamy elektrownie wiatrowe.

Jak więc pogodzić interesy ludzi z dobrostanem ekosystemów wodnych? Kto powinien partycypować w kosztach ochrony wód? Jak sprawić, by morza i rzeki nie umierały? M.in. te pytania zadamy **19 listopada o godz. 15 w Morskim Centrum Nauki** im. prof. Jerzego Stelmacha (ul. Nad Duńczycą 1) podczas spotkania pulsara z cyklu „Podróż po wiedzę". Dyskutantami będą ekolożka morza Kaja Bałazy, prawnik Stanisław Kordasiewicz i ekspert energetyki wiatrowej Michał Wilczewski.

Sponsorem cyklu jest Enea.

Cepelii czar

Ad vocem do artykułu Piotra Sarzyńskiego „Ośmiornica w kierpcach" (POLITYKA 43). W Cepelii przepracowałam 20 lat na stanowisku specjalisty etnografa w Nadzorze Etnograficznym i przez cały ten okres (1970–89 r.) byłam nie tylko świadkiem, ale i czynnym uczestnikiem jej „zachłanności i zagarniania pod siebie coraz większych aktywów, by w pewnym momencie przypominać potężną ośmiornicę, która sięgała swymi mackami w najprzeróżniejsze obszary życia społecznego, gospodarczego i kulturalnego". Brzmi to demonicznie, choć ośmiornice to całkiem inteligentne stworzenia. Kiedy rozpoczęłam pracę, Cepelia zatrudniała już etnografów, którzy współpracowali z tymi z muzeów regionalnych, profesorami uniwersytetów, Stowarzyszeniem Twórców Ludowych. A cel nas wszystkich był jeden: by sztuka ludowa przetrwała, by nie zagubić żadnej uzdolnionej hafciarki czy wycinankarki i co najważniejsze – by każdy twórca działał w swoim miejscu zamieszkania, by nie mieszać stylów i kolorów. I tak, gdy twórczyni była z regionu łowickiego, pilnowaliśmy, by wszystko, co robi, było związane z tym regionem. Wyciągaliśmy ze skrzyń haftowane koszule i tylko te wzory mogły być przetwarzane na serwety czy obrusy. Ani jeden ścieg nie mógł być zmieniony. Twórczyni mogła przedstawiać swoje wzory, ale musiał je zatwierdzić nadzór etnograficzny, właśnie po to, by nie odbiegały od tradycji. Dlatego polska sztuka ludowa była tak kolorowa i różnorodna. Pamiętam boje, jakie toczyliśmy z prof. Romanem Reinfussem, o to, by zezwolił garncarzom na stosowanie elektrycznego koła garncarskiego. I w końcu się udało. Organizowaliśmy obozy etnograficzne, pracując na rzecz poszczególnych spółdzielni, a ludowych


Ośmiornica w kierpcach

było ponad 100, zatrudniały parę tysięcy twórców. Najzdolniejsi wyjeżdżali za granicę, prezentując swoje rękodzieło. Otrzymywali Nagrody Kolberga i stypendia.

Papier na wycinanki sprowadzaliśmy z Holandii, bo tam był optymalny, a tiul – z Czechosłowacji. Twórcy dostawali wszystko co najlepsze, bo też wymagaliśmy, by ich wyroby były perfekcyjne. (…) Sprzedawcy w sklepach cepeliowskich przechodzili specjalne szkolenia, by dokładnie wiedzieli, co prezentują na swoich półkach. Twórcy robili swoje rękodzieło już dla innego niż kiedyś odbiorcy. Byli to koneserzy sztuki i wszyscy ci, którzy chcieli mieć w swoim domu coś specjalnego, nietuzinkowego. Gdy zatem ktoś pisze, że „ludowość Cepelii została skonstruowana jako towar", to głęboko się myli. Ta ogromna rzesza etnografów pracowała nad tym, by tej ludowości nikt nie psuł, by była naprawdę autentyczna, choć paradoksalnie była masowa, bo masa twórców na nią pracowała. Ale aby być masową, musiała, mimo swojej unikatowości, nie być droga. (…) Na szczęście Cepelia była organizacją samą w sobie. Więc każda spółdzielnia miała dodatkowo działalność artystyczną nieobjętą takimi regułami, a poza tym były spółdzielnie typowo artystyczne, które zarabiały na całą organizację – jak np. Orno czy Ład. Cepelia przyciągała też najlepszych plastyków, którzy dla niej projektowali meble czy gobeliny. Wyposażaliśmy zamki i pałace. Na tym się zarabiało. (…) Twórców traktowaliśmy jak własną rodzinę, załatwiając im leki i sprawy urzędowe. Nikt od nas niczego nie oczekiwał. To my chcieliśmy wszystkim dogodzić.

A „styl cepeliowski" to był styl dobrego smaku, bo ten styl się smakowało. Rzeźbiarze, malarze na szkle i wszyscy inni kształcili się w Cepelii, bo ona stanowiła dla nich „uniwersytet", innego nie kończyli. Dziś wszystkie muzea chwalą się, że posiadają ich dzieła. Kolekcjonerzy tych dzieł są na całym świecie. A haftów i koronek nie da się nobilitować, bo nobilitują się same. Wydobywając dla świata piękno sztuki ludowej, powoli stawaliśmy się przedmiotem krytyki. Bo ciągle chciano od nas więcej i lepiej, a my chcieliśmy, by było tak jak dawniej. By piękny gliniany garnek samą swoją formą zachwycał, choć już nie był używany do przechowywania mleka. By jego twórca cieszył się tym, co robi, choć zmienił się odbiorca.

No i znów mamy „macki ideologii". To prawda, mogliśmy tak działać, bo promowaliśmy sztukę ludową. Tę ze skrzyń i strojów ludowych, ale także szlacheckich dworków, pasów słuckich i wszystkiego, co się z polską kulturą kojarzyło. I to była ta ideologia!

Kiedy już komunizm upadł, dowiedzieliśmy się, że Cepelia finansowała Polskie Stronnictwo Ludowe i wszyscy prezesi spółdzielni musieli być w PZPR – ale nie my. Solidarność w Cepelii była tak silna, że jak nam kazano podpisać lojalki, to nikt tego nie zrobił. I co? Nikt nas nie ruszył, chociaż wszyscy mieliśmy w spodnie wpięte oporniki. (…) Wystawę w Krakowie obejrzałam. Jest niewielkim rzutem oka na to, co robiła Cepelia. Jest początkiem dyskusji, ale pomimo jej niekompletności polecam, bo wszystko, co tam jest, jest po prostu piękne!

JOANNA KURELLA

eprasa.pl fe2da71bd4



Przyczajony tygrys

Pewnie mało kto o tym wie, ale Turcja produkuje doskonałe wina. Choć sami winomani nie mają tu łatwego życia.

Pozdrawiam serdecznie z Turcji, gdzie uczestniczę w winiarskiej wycieczce dla Masters of Wine z wielu krajów, którzy odkrywają jeden z najmniej znanych i najbardziej niedocenianych zakątków winiarskiego światka. Bo kto w ogóle wie, że w Turcji robi się wino? W końcu to muzułmański kraj, gdzie – poza kurortami *all inclusive* – z konsumpcją alkoholu lepiej się nie afiszować. Tymczasem zdumionym podniebieniom doświadczonych degustatorów objawił się zaiste piękny krajobraz: dynamiczne winiarnie – młode, butikowe albo takie ze stuletnią tradycją, zadbane, malownicze winnice we wszystkich zakątkach kraju, od europejskiej Tracji, przez Wybrzeże Egejskie, aż po górskie rejony południowo-wschodniej Anatolii. Nowoczesne, wysmakowane etykiety, oryginalne smaki i wysoka jakość – wśród 300 spróbowanych win nie trafiłem na żadne niedobre. Szok i niedowierzanie.

Wino tureckie ma niewątpliwie wielką przyszłość – ale odległą. Na razie musi walczyć z całym światem. W Turcji alkohol pije tylko 20 proc. społeczeństwa, a winomani nie mają łatwego życia. O moralną czystość i trzeźwość narodu dba ustawa antyalkoholowa uchwalona w 2013 r. przez rządzących islamistów z Partii Sprawiedliwości i Rozwoju. Najbardziej drakońska w cywilizowanym świecie: na jej mocy wina nie wolno sprzedawać w nocy, w pobliżu meczetów, na stacjach benzynowych, na imprezach sportowych i plenerowych; nie wolno nim częstować, pokazywać go w telewizji, w filmach (butelki z alkoholem są zamazywane) czy w internecie. Tureccy winiarze nie mogą prowadzić stron internetowych, organizować degustacji ani promować swoich produktów w sklepach za pomocą np. zawieszek lub broszur. Profile w mediach społecznościowych, sklepy internetowe, blogi winiarskie są blokowane. Alkohol obłożono też specjalnym podatkiem od używek sięgającym 70 proc. Brzmi znajomo? To może być inspiracja dla rodzimych aktywistów, którzy są bliscy wprowadzenia podobnych przepisów w Polsce (nowelizację ustawy rozpatruje Senat). Ale to dygresja.

Wino w Turcji historię ma długą i chwalebną. To w północno-wschodniej Anatolii, Armenii i Gruzji człowiek po raz pierwszy udomowił winny krzew. Z Azji Mniejszej wino zawędrowało do Grecji i Rzymu, a dalszy ciąg tej historii znamy. W „Iliadzie", której akcja rozgrywa się w jednym z czołowych tureckich rejonów winiarskich, „napój posilny" regenerował utrudzonych mężów. Troja, Efez, Smyrna, Konstantynopol nie tylko mnóstwo wina konsumowały i nim handlowały, lecz także je produkowały w ogromnych winnicach. Tak to wyglądało przed nastaniem islamu. Ale i w pierwszych stuleciach imperium winiarstwo rozwijano m.in. na terenach dzisiejszej Grecji, Macedonii, Bułgarii czy Albanii. A wielkim zwolennikiem wina jako symbolu nowej europejskiej, świeckiej tożsamości Republiki Tureckiej był jej założyciel – Atatürk, który zliberalizował przepisy. W pierwszych latach po założeniu nowego państwa w 1922 r. powstały działające do dziś winiarnie: Kavaklıdere, Doluca i Sevilen. Ale to z dzisiejszego punktu widzenia też dygresja.



Wojciech Bońkowski
– dziennikarz i krytyk winiarski od 1999, od 2023 r. pierwszy polski Master of Wine.

Wielką siłą Turcji, poza niesamowitymi siedliskami dla winnic (od 0 do 1,5 tys. m n.p.m., od morskich wybrzeży po wysokie góry), jest tysiąc lokalnych, historycznych odmian winorośli. Białe: narince, emir, sıdalan, yapıncak, bornova misketi, karkuş, kolorko, hasandede, czerwone: öküzgözü, boğazkere, kalecik karası, çal karası, papaskarası, karasakız, adakarası, kösetevek, karaoğlan, acıkara, karalahna... I choć rozpowszechnione są również importowane cabernety i chardonnay, to właśnie wśród rdzennych szczepów należy szukać najciekawszych win tureckich. Znalezienie ich nie jest jednak łatwe – nieliczne eksportowane są do Niemiec i USA; w Polsce dostaniemy zaledwie jednego rodzynka. W 15-milionowym Stambule znalezienie winoteki graniczy z cudem, a w przyzwoitej restauracji butelka podstawowego wina kosztuje nieraz równowartość 40 euro. Ale zapewniam, że warto. ■

Paşaeli CSKS, 58,50 zł (winoland.com)
Paşaeli Papaskarası, 92 zł (winoland.com)
Vinkara Atelier Öküzgözü, ok. 15 euro (internety zagraniczne)
Kayra Vintage Narince, ok. 25 euro (internety zagraniczne)
Kavaklıdere Côtes d'Avanos Kalecik Karası Amfora, ok. 40 euro (internety zagraniczne)

eprasa.pl fe2da71bd4

Kronika popkulturalna Kuby Wojewódzkiego



MEA PULPA

Wirtualna Polska dopytuje: „Czego Robert Lewandowski nie rozumie, czego nie czuje?”. Cdn.

Edyta Górniak o prezydencie i zamieszkach przed TK: „W takiej sytuacji, w takim napięciu i niepewności odezwała się w nim kultura osobista”. Zgadzam się. I to w półdystansie.

„Robert i Tomasz Stockingerowie na premierze filmu. Maja Rutkowski zagrała nogą” – informuje Plejada. To chyba pierwszy film, w którym aktorka zagrała wyłącznie w ten sposób.

„Hakiel i Serowska znów zostali rodzicami. Ujawnili imię dziecka”. Przypomina mi się Bob Woodward i Carl Bernstein. Oni też ujawnili.

Wirtualna Polska donosi: „Robert Lewandowski nie wywiązuje się z zadania”.

Afera wokół TK i sędzi Anny Korwin-Piotrowskiej odbiła się na popularności Karoliny Korwin-Piotrowskiej, która zaczęła dostawać pogróżki. Różnica pomiędzy fanatykiem prawicy a ślepcem jest taka, że ślepiec wie, że nie widzi.

Bohaterka „Lalki” z Netflixa, czyli Sandra Drzymalska, została twarzą Tatuum Stuudio. Uczcie się dzieci. Takie są konsekwencje przeklinania, chu...ców borsuczych i zażywania narkotyków.

Wirtualna Polska grzmi: „Dotychczasowe statystyki Lewandowskiego nie spełniają pokładanych w napastniku nadziei”.

„Taka jest różnica pomiędzy Borkiem a jego żoną”. Demaskują media. To 10 lat. Bezkompromisowe dziennikarstwo. Prawie jak Stanowski pytający prezydenta, czy lubi siadać na ławeczce.

Izabela Kuna i Vanessa Aleksander w kampanii PKO BP promują oszczędzanie na emeryturę. Czyli niewielką sumę transferowaną przez ZUS do aptek za pośrednictwem emeryta.

Wirtualna Polska dramatycznie: „To już dramat. Co się dzieje z Lewandowskim?”.

Małgosia Ohme poinformowała naród, że udawała orgazmy, a te najlepsze zapewnił jej obcokrajowiec, z Grecji. Zupełnie nowego znaczenia nabiera powiedzenie „Udawać Greka”.

„»Bokser z pałacu prezydenckiego« – ostro nagadał Nawrockiemu”. To o Krzysztofie Skibie. Wzrusza mnie najbardziej słowo „nagadał”. Dalej powinno być: „Co się patrzysz? Bo mam oczy”.

Wirtualna Polska ujawnia: „Lewandowski coraz częściej macha rękami i kłóci się z sędziami”.

„Nie rozumiem, dlaczego kobieta, która fizycznie atakuje prezydenta, nie ma wyłamanych rąk przez funkcjonariuszy SOP”. To Krzysztof Stanowski komentujący z zagranicy. Chyba z piwiarni w Monachium.

Tomasz Sakiewicz ruszył z promocją swojej książki „Bajki dla moich dzieci”. Wzruszające, jak pięknie mówi o widzach TV Republika.

Wirtualna Polska martwi się: „Licznik wstydu bije”.

Kizo zamieścił na Instragramie filmik Drzecika poświęcony prezydentowi Nawrockiemu pod tytułem „Się wjeżdża”. Według słownika slangu to wproszenie się do kogoś na imprezę bez zaproszenia.

„Daniel Martyniuk wygłasza tyradę o sporze wokół Trybunału Konstytucyjnego”. To Jastrząb Post. Przypomina mi się książka „Frankenstein”. Też trochę eksperyment naukowy i trochę horror.

Uczestnicy programu „Hotel Paradise” 13 ustalili gremialnie, że oksymoron to podajnik tlenu. 13 to nie numer sezonu. To poziom IQ.

Wirtualna Polska triumfuje: „Lewandowski zamknął usta krytykom”.

„Joanna Krupa w akcie furii broni Karola Nawrockiego. »Tusk, złaź z drogi!«” – pisze Jastrząb Post. Media sugerowały romans Joanny z posłem Tarczyńskim. To bzdura. Oni po prostu dużo rozmawiali.



© SHUTTERSTOCK, RAFAŁ MASŁOW, TVN, FOTON/PAP

eprasa.pl fe2da71bd4

24/7, czyli zapraszamy na stale aktualizowane strony **polityka.pl**, na nasze blogi i podkasty

Pytania po zamachu



Zamach z Krakowa zderza nas z rzeczywistością znaną wielu społeczeństwom Zachodu, w której radykalizacja „zwykłych ludzi" prowadzi do bezsensownych tragedii, a celem ataku może stać się każdy. **„Nie postawimy policjanta pod każdym blokiem, potrzebny będzie wysiłek całego społeczeństwa", pisze na polityka.pl Marek Świerczyński. Wydarzeniom z Krakowa poświęcamy w naszym serwisie serię tekstów i wywiadów z ekspertami.**

Wojna czy reset?



Co wynika z awantury o Trybunał Konstytucyjny? W podkaście „Polskie demo" mówi o tym prof. Sławomir Sowiński (UKSW). Ekspert tłumaczy, kto wizerunkowo zyskał, a kto stracił i jaki sens ma forsowana przez różne strony koncepcja resetu konstytucyjnego. „Premier i prezydent dużo bardziej ze sobą współpracują, niż są gotowi przyznać", uważa nasz gość. Zachęcamy do słuchania i komentowania.



Korona na RBN

Udział ugrupowania postrzeganego jako prorosyjskie w posiedzeniu Rady Bezpieczeństwa Narodowego budzi duże kontrowersje. W dodatku kilka godzin przed spotkaniem u prezydenta Donald Tusk alarmował o niepokojącej aktywności Rosjan na granicy. **Marek Świerczyński na polityka.pl pisze, że Karol Nawrocki igra z ogniem, i analizuje, „co mogłoby interesować rosyjską stronę i jej ewentualnych informatorów".**

To, co czujesz, to, co jesz



W podkaście psychologicznym POLITYKI temat pozornie z psychologią niezwiązany: mikrobiota. Prof. Aneta Brzezicka, psycholożka, kierowniczka Centrum Badań Neuropoznawczych (Uniwersytet SWPS), wyjaśnia, jak to, co jemy, wpływa m.in. na nasze samopoczucie i pamięć. Obalamy mity i staramy się ustalić, czy jelita to faktycznie nasz drugi mózg. Rozstrzygamy też, czy wolno pić kawę i w jakich ilościach.

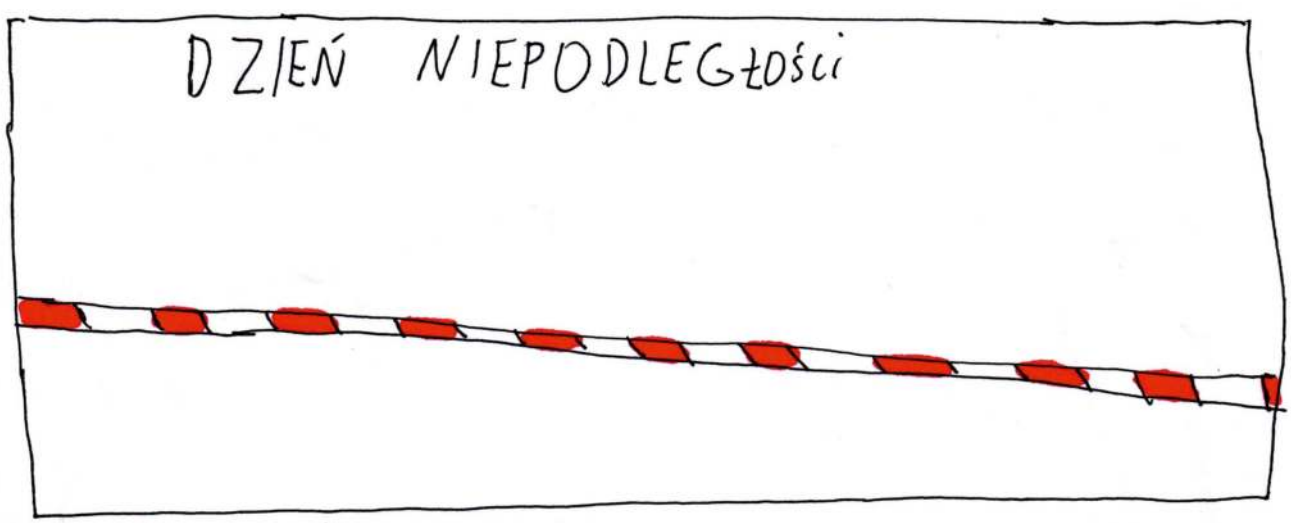


Popławska o Kuroniach i roli kobiet

A w podkaście kulturalnym gości Magdalena Popławska, odtwórczyni roli Grażyny „Gajki" Kuroń w filmie „Nasza rewolucja". Aktorka opowiada o pracy na planie, współpracy z Arkadiuszem Jakubikiem i o samej Gajce. „Historia pamięta głównie frontmanów dziejowych przemian, tymczasem tuż za ich plecami stały kobiety, bez których ten męski świat nie miałby szans zadziałać" – mówi Januszowi Wróblewskiemu.

© JAN GRACZYŃSKI/EAST NEWS, ANNA AMAROWICZ (2), MAREK BORAWSKI/KANCELARIA PREZYDENTA RP, LESZEK ZYCH

GALERIA POLITYKI



JAN KOZA

eprasa.pl fe2da71bd4

CMS
I WRACASZ DO GRY

www.cms-online.pl
www.probawysilkowa.pl
www.rezonans-magnetyczny.waw.pl
www.tomografiakomputerowa.waw.pl
www.fizjoterapia.cms.waw.pl

CENTRUM MEDYCYNY SPORTOWEJ



Klinika ortopedyczna

Szpital
operacje ortopedyczne

Poradnia Medycyny Sportowej
dla dzieci, młodzieży i dorosłych:
- Badania wstępne, okresowe i kontrolne
- Orzeczenia sportowo-lekarskie
- Pracownia prób wysiłkowych i wydolnościowych

Poradnia Leczenia Bólu
Zabiegi interwencyjne:
- blokady / neurolizy współczulne
- blokady / neurolizy nerwów obwodowych
- termolezja

Poradnia Podologiczna
- Konsultacje i zabiegi podologiczne

Dietetyka
- Dietetyka kliniczna
- Dietetyka sportowa
- Porady dla dzieci i dorosłych

Rehabilitacja
- Rehabilitacja ortopedyczna:
  - stawów rzepkowo-udowych
  - stawów barkowych
  - kręgosłupa
  - stawów kolanowych
  - kontuzji sportowych
  - po zwichnięciach stawów
  - urazów mięśni
  - więzadeł
  - po złamaniach
- Fizykoterapia
- Masaż leczniczy
- Diagnostyka funkcjonalna
- Rehabilitacja w uroginekologii
- Terapia przeciwobrzękowa

Rezonans Magnetyczny 3T
- Dwa aparaty przystosowane do badań sportowców w zakresie ortopedii, neurologii i kardiologii

Tomografia Komputerowa
- Pełny zakres badań

Diagnostyka
- RTG, USG, EEG, EMG

CMS i Wracasz do gry!

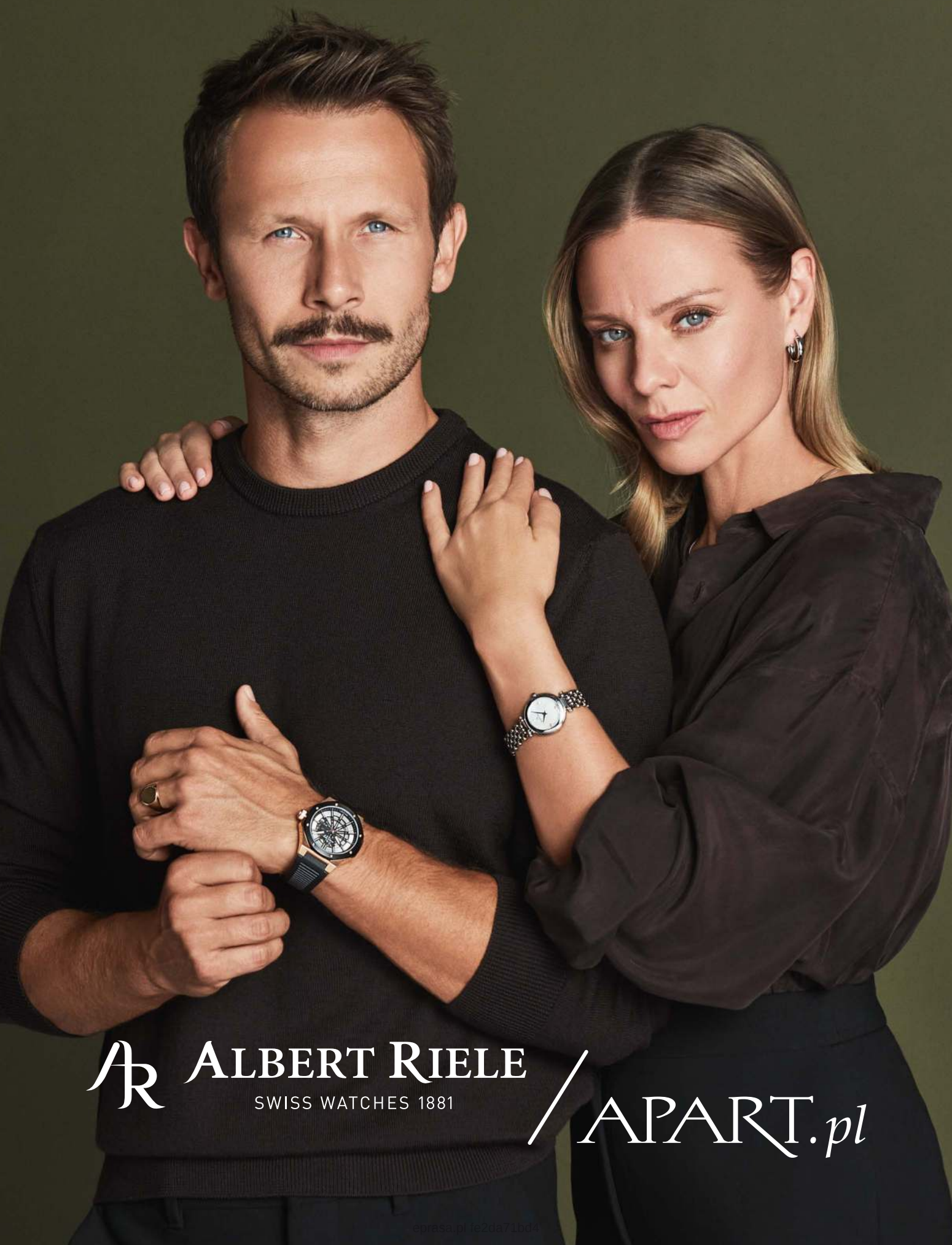
Centrum Medycyny Sportowej to ośrodek leczniczo-rehabilitacyjny, specjalizujący się w leczeniu urazów ortopedycznych. CMS wykorzystuje najnowocześniejsze technologie w diagnozie, leczeniu i rehabilitacji.

CENTRUM MEDYCYNY SPORTOWEJ - WARSZAWA ul. Wawelska 5

tel. 22 592 93 05 do 10

www.cms.waw.pl

eprasa.pl fe2da71bd4


ALBERT RIELE
SWISS WATCHES 1881
APART.pl